

JERRY AHERN

SKAZANIEC

CYKL: KRUCJATA TOM 4

(PRZEŁOŻYL: STANISŁAW KONIŃSKI)

JERRY AHERN

SKAZANIEC

CYKL: KRUCJATA TOM 4

(PRZEŁOŻYŁ: STANISŁAW KONIŃSKI)

Wszelkie podobieństwo do postaci żywych lub martwych, rzeczywistych miejsc, produktów, firm, organizacji i instytucji jest czysto przypadkowe i niezamierzone.

Walterowi - dziękując za wszystko, co było beznadziejnie nieodpowiednie, a mimo to znowu się zdarza. Wszystkiego najlepszego.

ROZDZIAŁ I

Doktor John Thomas Rourke zakończył pakowanie plecaka i upewnił się, że jest on dobrze umocowany na bagażniku Harleya. Sprawdził jeszcze, czy ogień jest wygaszony i czy czegoś nie zapomniał. Spodziewał się, że przed końcem dnia zabraknie mu benzyny, musiał więc ruszyć ku jednej ze strategicznych cystern paliwowych, której położenie wskazał mu Samuel Chambers, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych II.

Upłynął blisko tydzień od czasu, kiedy Rourke opuścił Schron, gdzie uzupełnił ekwipunek i odczekał jeszcze dzień, by Paul Rubenstein mógł przygotować się do podróży. Wyjechał w tym samym dniu, w którym Paul wyruszył na Florydę w poszukiwaniu swych rodziców, być może ocalałych po apokalipsie Nocy Wojny. “Czy to ostatnia wojna światowa?” - zastanawiał się John, patrząc na mglistą, poświatę wokół wschodzącego słońca. Przymocowany do ramy Harleya licznik Geigera wskazywał normalny poziom promieniowania, jednakże mężczyzna był pełen obaw i niepokoju o najbliższych. W czasie tych siedmiu dni poza schronem nie odnalazł żadnego śladu żony ani dzieci - Michaela i Annie.

Zmierzał na wschód sądząc, że Sarah i dzieci z jakiejś przyczyny kierowali się ku wybrzeżu Georgii, może w celu uniknięcia spotkania z bandytami lub Rosjanami. Na tych domniemaniach Rourke opierał wszystkie nadzieje.

Ujął w dłoń colta CAR-15, odłączył trzydziestonabojowy magazynek, sprawdził zamek i usunął uwięziony w komorze pocisk. Następnie napełnił magazynek amunicją i odwodząc kurek, zamocował go na miejscu w otworze.

Pochyliwszy głowę, przerzucił przez plecy półautomat ze składaną kolbą.

Kopnięciem złożył stopkę motocykla i włączył silnik. Jednostajny pomruk maszyny uspokoił Johna.

Wybrał tego Harleya przed wojną, bo czuł, że jest najlepszy. I rzeczywiście, nigdy dotąd go nie zawiódł. Podobnie niezawodny okazał się zegarek Rolex Submariner, karabin i pistolet Detonic oraz sześciocalowy rewolwer Python. Sprawnie działające wyposażenie pomogło mu wyjść cało z wielu opresji.

Spojrzał na przełęcz w dole i podążył wzrokiem za drogą pnącą się od koryta rzeki w górę zbocza.

Czy Rubenstein żyje? Czy odnalazł swoich rodziców? Znajdowali się oni gdzieś na Florydzie, która - podobnie jak pozostała część Stanów Zjednoczonych - należała do Armageddon, z tym że było tam jeszcze gorzej, gdyż władzę na Półwyspie sprawowali komuniści kubańscy za przyzwoleniem Sowietów, nominalnych zwycięzców wojny. “Sarah, Michael, Annie... Wkrótce - myślał Rourke - będą dorastać.” Michael miał prawie siedem lat, Annie - niecałe cztery.

John zapalił motor i ruszył z małej polany, gdzie biwakował w nocy, starając się jechać w pobliżu gór, zanim zbliżył się do Piedmont. Szukał jakiegoś śladu obozowiska, śladu podków zostawionego przez konie, na których Sarah z dziećmi wyjeżdżała z Tennessee, aby go odszukać.

Poprawił okulary słoneczne. Ruszył krętym szlakiem zwierząt, który wiódł poza las.

Dojeżdżając do skraju lasu zwolnił, by zlustrować widoczną teraz przełęcz w dole. Postawił kołnierz skórzanej kurtki, osłaniając się przed zimnem. Osobliwe zmiany pór roku również go niepokoiły - według kalendarza było lato.

Słyszał szum wody, ale to nie dlatego zgasił silnik i zaczął nasłuchiwać, wstrzymując w napięciu oddech. Uśmiechnął się. Zapalił jedno ze swoich małych, ciemnych cygar i wyteżył słuch, zaciągając się szarym dymem i wypuszczając go obficie przez nozdrza.

Dobiegł go odgłos serii z karabinów, hałas silników. "Bandyci - pomyślał - na drodze w dole, biegnącej wzdłuż przełęczu". Zsiadł z motoru, zwalniając stopkę i podszedł do krawędzi, z której rozciągał się widok na kanion rzeki. Z futerału pod kurtką wyciągnął lornetkę Bushnella i skierował szkła na drogę poniżej. Zobaczył motocykl z kierowcą pochylonym nisko, a sto lub mniej jardów z tyłu ze dwa tuziny cyklistów. W niewielkiej odległości za nimi sunęło kilka półciężarówek, wypełnionych bandytami. John skupił wzrok na kierowcy motocykla. Była to kobieta. Pęd powietrza rozwiewał jej długie, rude włosy.

Nagle kobieta straciła panowanie nad pojazdem i maszyna wysliznęła się spod niej. Podniosła ją, bandyci byli coraz bliżej. "Pewnie chcą ją zgwałcić, obrabować, a potem zamordować" - pomyślał. Postawiła motocykl i znowu zapuściła silnik. Ścigający byli teraz nie dalej niż trzydzieści jardów za nią. Znowu odezwał się ogień karabinu. Wyprowadziła motor na drogę; Rourke widział, jak skurczyła się, kiedy wśród skał odbił się echem wystrzał z pistoletu. Zgarbiła plecy, zachwiała się na motocyklu i pochyliła się jeszcze niżej nad kierownicą. Rourke ustawił dokładniej ostrość. Dziewczyna musiała być ranna. Powiódł wzrokiem wzdłuż drogi. Pościg trwał. Strzelanina nie ustawała ani na chwilę.

Schowal lornetkę do futerału. Odbezpieczył i zarepetował karabin.

Powoli wrócił do Harleya, przerzucił prawą nogę przez siodełko i usadowił się na nim, po czym kopnął stopkę.

- Niech to szlag! - zaklął.

Ruszył wśród linii drzew, rozglądając się w poszukiwaniu odpowiedniego zjazdu z przełęczu.

Ścieżka wiodąca do wąwozu była stroma. Rourke kierował maszynę w dół, wlokąc nogi po ziemi. Odgłosy strzałów stawały się coraz głośniejsze, a twarz dziewczyny była teraz wyraźnie widoczna. Kiedy młoda kobieta podniosła głowę i obejrzała się na ścigających, John dostrzegł, że jest piękna.

Rourke wypadł na drogę. Harley podskoczył na kopczyku gliny. Mężczyzna dodał gazu i pochylił się nad maszyną. Dudniący ryk silnika stawał się coraz głośniejszy. John dogonił dziewczynę. Ta przywarła do motocykla. Z tyłu dobiegł huk wystrzałów. Rourke dobył CAR-15, odbezpieczył go i zaczął strzelać, nie oglądając się na ścigających. "Trochę ognia z karabinu może ostudzi ich zapal - myślał Rourke. - Tylko idiota pchałby się pod kule."

Zarzucił karabin z powrotem na ramię i znowu dodał gazu. Ruda dziewczyna była teraz mniej niż dziesięć jardów przed nim, jej japoński motocykl zdawał się pracować na pełnych obrotach. John usłyszał serię. "Broń automatyczna" - ocenił i skręcił w lewo. Jechał teraz wzdłuż brzegu rzeki. Dziewczyna przed nim straciła równowagę - motocykl zachybotał się.

Droga z przodu skręcała, mimo to Rourke prowadził Harleya na pełnym gazie, stale zmniejszając odległość między nim a ranną dziewczyną. Pięć jardów, cztery, sześć stóp, pięć. Trzy stopy. Był tuż przy niej.

Odsunął w bok karabin i wyciągnął do niej rękę. Dziewczyna popatrzyła na niego. Jej spojrzenie było pełne strachu.

- Chodź! - krzyknął. - Szybko!

Nie zwalniając, w pełnym biegu, pomógł jej przesiąść i na swój motocykl. Z trudem utrzymywał równowagę. W końcu dziewczyna usiadła za nim. W tym samym momencie motocykl dziewczyny osunął się w dół kanionu i po chwili z głośnym pluskiem wpadł do rzeki.

John zmniejszył prędkość i szerokim łukiem wszedł w zakręt. Strzelanina z tyłu wzmogła się. Słyszał ciężki oddech pasażerki. Poczul, jak jej głowa opada bezwładnie na jego plecy.

- Trzymaj się, do cholery! - krzyknął.

ROZDZIAŁ II

Rourke dodał gazu, oglądając się za siebie, skąd dobiegał terkot broni bandytów. Spojrzał na ostre wzniesienie zbrocza przed sobą. Dziewczyna jęczała z bólu.

Balansując poderwał w górę swój wielki motor, przeskoczył garb terenu i znalazł się na wąskim grzbiecie. Skręcił kierownicę w lewo i ruszył wzdłuż grobli. Pościg zbliżał się.

Rourke prowadził motocykl wzdłuż grzbietu, mając za sobą motory i półciężarówki. Zauważywszy szczególnie stromy zjazd, wiodący z powrotem na drogę, zmniejszył prędkość i zawrócił. Przemknął o niespełna jard przed pierwszą z ciężarówek i oddał dwa szybkie strzały z pistoletu w przednią szybę samochodu. Ciężarówka stoczyła się po zboczu. Za moment rozległ się huk eksplozji. Rourke poczuł na twarzy gorący podmuch. Znowu dodał gazu. Zjeżdżał już na drogę, kiedy usłyszał słaby głos dziewczyny:

- Kim jesteś?

Spojrzał za siebie. Na rozbitą ciężarówkę wpadła inna i nastąpił drugi wybuch. Bandyci jednak nie zrezygnowali. Kule coraz częściej świstały obok Johna i dziewczyny. Droga pięła się teraz pod górę.

Stojący na ciężarówkach mężczyźni i kobiety strzelali ponad kabinami z broni szturmowej. Rourke wyciągnął Detonicsa, odwiódł kurek i czterema strzałami wyeliminował z gry najbliższego motocyklistę.

- Trzymaj się! - zawołał John do kobiety.

Strzały z ciężarówki nie milkły. John dodał gazu i na najwyższych obrotach wjechał do strumienia. Dotarłszy na drugi brzeg, znów chwycił za pistolet. Kolejny przeciwnik ugodzony kulami, wpadł do wody, a jego motocykl rozbił się na wielkim kamieniu leżącym pośrodku strugi. Rourke zawrócił swój pojazd w kierunku drogi.

Jazda w górę była jednak coraz trudniejsza. Dziewczyna traciła siły. Zmęczenie dawało się we znaki i Johnowi. Pościg nadal nie ustawał. Harley wyśliznął się spomiędzy ud mężczyzny. Rourke wstał, wyciągnął pistolet i zabił kolejnych napastników.

- Dalej, chodź! - wrzasnął do dziewczyny, stawiając motocykl. Modlił się w duchu, żeby nie był uszkodzony. Udało mu się jednak zapuścić silnik i ruszył w stronę brzegu rzeki.

Obejrzał się. Jedna z półciężarówek nie wyrobiła zakrętu i stoczyła się w przepaść. Za nim ciągle jechało trzech motocyklistów. Dwie ciężarówki, plujące z przyczep ogniem, powoli zjeżdżały z drogi na pochyłość.

Przyspieszył, oceniając już dystans od brzegu rzeki do przymocowanego tam promu. Jakiś tuzin stóp. Starł się oszacować długość promu, długość pojazdu przy brzegu rzeki. Mając przed sobą dwieście jardów, przesunął na bok karabin i powiedział szybko do dziewczyny:

- Cokolwiek się stanie, trzymaj się, a kiedy krzyknę: "puść!", zrób to!

W odległości stu jardów skręcił w lewo. Teraz zauważył, że odległość między brzegiem a promem jest większa - liczyła teraz około osiemnastu stóp. Do dużej sosny, rosnącej jakieś pięć lub

sześć stóp od wody, była przywiązana gruba lina.

Rourke znowu krzyknął do dziewczyny:

- Trzymaj się mocno!

Zawrócił motocykl, kierując go prosto ku nabrzeżu. Harley podskakiwał na nierównym gruncie. John zwiększył obroty, poderwał przód pojazdu i motor wyskoczył ponad wodę. Za chwilę tylne koło uderzyło o deski pokładu, motor wpadł w poślizg. A ponad piskiem opon i warkotem silnika wciąż brzmiały odgłosy strzałów.

Zatrzymanie motocykla wymagało wiele wysiłku, w końcu Harley stanął nie dalej niż sześć cali od skraju pokładu. Rourke osadził go w miejscu i natychmiast rozpoczął gęsty ostrzał z karabinu. Strzelając biegł przez pokład.

Dopadł liny przytrzymującej prom przy brzegu i krzyknął do dziewczyny:

- Zabezpiecz mój motor, jeśli dasz radę!

W lewej ręce miał chromowany nóż szturmowy, którego obosiecznym ostrzem ciął teraz linę. Ta postrzępiła się i pękła. Nurt porwał prom. John rozsunął teleskop karabinu i zdjął osłony obiektywów. Skierował szkła ku najbliższemu z bandytów na motocyklach i wypalił niemal natychmiast, gdy linie celownika znieruchomiały.

- Jeden - warknął, kiedy pierwszy spadł z maszyny. Przesunął lufę wzdłuż brzegu rzeki.

- Drugi - szepnął po kolejnym wystrzale, gdy następny kierowca spadł ze swego pojazdu, a jego motor wpadł do wody. Szukał teraz następnego celu. Wzdłuż rzeki jechały dwie półciężarówki. Namierzył kierowcę pierwszej.

- Trudny strzał - mruknął, po czym pociągnął za spust. Nie chybił.

Głowa kierowcy opadła do tyłu, a pojazd zjechał w lewo, uderzając o brzeg i wpadając do wody. Mężczyźni i kobiety już zeskakiwali z przyczepy samochodu.

- O, nie - mruknął pod nosem, kierując celownik na uciekających. Wypalił raz, drugi, trzeci, dosięgając niektórych jeszcze w powietrzu, kiedy opuszczali przyczepę. Innych trafił, gdy biegli.

Podniósł lufę karabinu. Zobaczył resztę ocalałych bandytów, umykających z przystani. Nie miał ochoty na dalszą wymianę ognia.

Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę o rudych włosach. Ruszył ku niej szybkim krokiem, aby ją złapać, zanim zwali się przez burtę w nurt wody. Chwycił w samą porę. Była już nieprzytomna, a jej lewe ramię ciągle krwawiło. Przesunął dłonią po jej plecach i znalazł ranę po kuli.

ROZDZIAŁ III

- Tylko ja umiem jeździć motocyklem, więc sądziłam, że jestem wybrana. Zawsze mówiłam o równości płci, a to była moja wielka szansa. Kiedy rodzice dają ci imię w rodzaju: Sissy, nie można siedzieć beczynnym i być wiecznym niemowlęciem.

Rourke spojrzął na dziewczynę, oczy mu się uśmiechały.

- Więc Sissy musiała udowodnić, że nie jest "Sissy"! Dlatego ryzykowałeś?

Dziewczyna skrzywiła się nieco, gdy John sprawdzał bandaż na jej lewym ramieniu, gdzie ugodziła ją kula.

- Mam szczęście... - zaczęła, lecz zaraz syknęła przez zęby, gdy zdjął z niej koc i zajął się raną po prawej stronie klatki piersiowej. - Mam szczęście, że jesteś lekarzem.

- Masz szczęście, że ta kula nie połamała ci żeber. Trafiła cię dokładnie pod kątem prostym, prześliznęła się między drugim i trzecim żebrzem i tam utkwiała. Za kilka dni będziesz czuła się dobrze. Czas na ten stary dowcip o facecie, który jest ranny w obie ręce. Pyta lekarza: "Mówił pan, że po zdjęciu bandaży będę mógł grać na skrzypcach?" Lekarz potakuje, a facet na to: "Świetnie! Nigdy przedtem nie umiałem grać na skrzypcach!" Nic ci nie będzie...

- Po tym, jak zemdlałam, czy ja... aaa... - zająknęła się dziewczyna.

- Co chciałaś powiedzieć przez to swoje "aaa"? Ale tylko zemdlałaś. Poprowadziłem prom w dół rzeki, zrobiłem około dwudziestu pięciu mil i tutaj usunąłem ci kulę spomiędzy żeber. Potem zdecydowałem, że możemy sobie zrobić mały postój. I oto jesteśmy. - Mężczyzna wskazał nadbrzeżną polanę, półkole jasnozielonych sosen i kilka cedrów po drugiej stronie, za którymi wznosiły się wzgórza.

Nic wtedy nie mówiłam? - zapytała znów dziewczyna. Rourke przyklęknął obok niej. Popatrzył jej w twarz, na której widać było, oprócz ulgi, którą czuła mimo bólu, również niepewność i lek.

- A czego nie powinnaś mówić? - spytał cicho.

- Nie... po prostu...

- Nie sądzę, żeby ci bandyci ścigali cię z innego powodu oprócz tego, że byłaś sama i bezbronna, a oni szczególnie lubią wykorzystywać takie sytuacje. Ale dlaczego mówiłaś, że byłaś jedyną osobą, umiejącą prowadzić motor, i do czego zostałaś wybrana?

- Po prostu... Kilko moich przyjaciół. Od początku wojny byliśmy... wysoko w górach i musieliśmy... aaa... - dziewczyna przerwała.

- Jak będziesz następnym razem mówiła "aaa", ostrzeż mnie wcześniej, żebyś zdążył wyjąć z apteczki szpatułkę i zbadać ci migdałki - powiedział John.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Chodzi tylko o to... aaa... - roześmiała się, lecz w chwilę później w kącikach oczu pojawiły się łzy, gdy dotknęła opatrunku na klatce piersiowej.

- Zapomniałem ci wspomnieć, że nie powinnaś się śmiać - rzekł powoli Rourke.

- Po prostu obiecałam...

- Aha. - John podał jej wyciągniętą z portfela kartę identyfikacyjną.

- Agent CIA?

- Na emeryturze. Nie sędzę nawet, żeby CIA jeszcze istniała. Chodzi mi tylko o udowodnienie ci, że możesz mi zaufać...

Rourke wyjął swoje małe, ciemne cygaro i przypalił je w ogniu zapalniczki.

- No więc? - zapytał.

- Nazywam się Sissy Wiznewski, właściwie doktor Wiznewski. Jestem pewnego rodzaju geologiem - zaczęła.

- Jakiego rodzaju?

- Sejsmologiem. My, to znaczy dr Jarvus, dr Tanagura, Peter Krebs i ja, byliśmy obsadą stacji pomiarowej w górach.

- Nie rozumiem.

- Cóż, może o tym nie wiesz - zaczęła znowu - ale tu...

- Wokół znajdują się pęknięcia tektoniczne - wpadł jej w słowo. - Ale natężenie wstrząsów na tym terenie było dotychczas nieznaczące.

- Owszem, to prawda. Dlatego tu byliśmy. Rejestrowaliśmy wstrząsy powierzchni dla porównania z ruchami tektonicznymi w Kalifornii i wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Być może czytałeś albo widziałeś w telewizji coś o tym, jak naukowcy próbują poznać sposoby łagodzenia trzęsień ziemi, zanim ciśnienie między płytami skalnymi staje się tak poważne, że jedna z nich osuwa się i następuje duże trzęsienie ziemi.

- Tak... - powiedział w zadumie, przypatrując się uważnie dziewczynie. Zauważył, że miała zielone oczy. - Więc badacie te ruchy płyt, aby dotrzeć do przyczyny tego, co, poza erą geologiczną, przyczyniło się do stabilności i aby dowiedzieć się, co możecie zdziałać w procesie łagodzenia.

- Tak - przerwała mu. - Aby dowiedzieć się, co moglibyśmy zrobić dla ustabilizowania płyt na Zachodnim Wybrzeżu. Gdybyśmy zbadali rezultat systemu pęknięć, wówczas, być może, potrafilibyśmy znaleźć sposoby likwidacji napięć tektonicznych w tamtym rejonie.

- Dawało to jakieś skutki? - spytał.

Tak, tak sędzę. To znaczy, wszystkie gromadzone przez nas wstępne dane zdawały się wskazywać, że prace badawcze posuwają się we właściwym kierunku. Ale było jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć, a potem... - dziewczyna przerwała i spuściła głowę.

- Co? Byłaś czymś w rodzaju gołębia Noego? Wysłali cię żeby sprawdzić, czy uchoowało się jeszcze coś ze świata?

- Nie - odparła głosem tak cichym, że Rourke ledwie ją słyszał.

Sędził, że dziewczyna ma mniej więcej dwadzieścia siedem lub dwadzieścia osiem lat. Domyślał się, że jest coś, co ją przeraża bardziej niż pościg bandytów, czy nawet sama wojna.

- Odkryliście coś. Coś, z czym nie możecie już dłużej czekać - odpowiedział jej John.

- Owszem, odkryliśmy. Był to w zasadzie przypadek, ale jesteśmy tego pewni na tyle, na ile można być pewnym bez szczegółowych badań. Nie wiem, czy jest to możliwe. Pomyśleliśmy, że ktoś powinien powiedzieć armii, a nawet gdyby Rosjanie wygrali wojnę, powiedzieć im. Ktoś musi to zrobić. I nie ma czasu na zwłokę.

- Powiedzieć, co? - zapytał, obserwując żarzący się czerwony czubek cygara.

- Kto wygrał wojnę? - Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Ponieśliśmy klęskę... Sowieci mają tu trochę wojska, ale... jesteś naukowcem, powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie. Jeśli teraz jest lato, to czemu nosimy ciepłe ubrania, czemu temperatura

spada nocą do zera? Co odkryliście?

- Powiedz mi najpierw jedną rzecz. Czy Zachodnie Wybrzeże zostało mocno zbombardowane?

- Masz tam bliskich?

- Tak, ale... muszę to wiedzieć ze względów naukowych. Wiesz?

- Widocznie linie tektoniczne zerwały się pod wpływem eksplozji. Cóż - westchnął Rourke - dawne obawy o osunięcie się Kalifornii do morza ziściły się. Nie ma już Zachodniego Wybrzeża. Zniknęło pod wodą.

Dziewczyna przeżegnała się ze wzrokiem utkwionym w ziemię, zaszlochała cicho.

Rourke wstał i ruszył ku brzegowi rzeki, patrząc na wodę, czubek cygara, nosy swych czarnych wojskowych butów. Za sobą usłyszał głos, słowa trudne do zrozumienia wśród łkania:

- Zbombardowali Florydę? - spytała i nie czekając na odpowiedź, patrząc prosto przed siebie, sama sobie odpowiedziała: - Tak... więc mieliśmy rację. To ta noc bombardowania.

- Masz na myśli Noc Wojny? - zapytał niemal szeptem.

- Bombardowanie spowodowało coś, co nie wydawało się możliwe, ale jednak się stało. Wytworzyło sztuczne pęknięcie tektoniczne - chyba tak byś to określił. Instrumenty, które mieliśmy zainstalowane wzdłuż całego wybrzeża, oszalały, kiedy tamtej nocy spadły bomby. Były jednak tak skonstruowane, żeby wytrzymać silne wstrząsy i większość z nich przetrwała. Potem znaleźliśmy nową, stopniowo powiększającą się linię tektoniczną, której nie było tam przed wojną. To może się zdarzyć za kilka dni, ale równie dobrze za kilka godzin. Nastąpi trzęsienie ziemi, jedno z najsilniejszych, jakie kiedykolwiek notowano. Mogą zginąć tysiące ludzi, może miliony. Nie wiem, ile osób tam żyje po rozpoczęciu wojny. Ale wkrótce... - dziewczyna znowu zaszlochała. Rourke zrobił ku niej kilka kroków, po czym przyklęknął obok. - Wkrótce będzie trzęsienie ziemi wzdłuż tej nowej linii tektonicznej, które oddzieli Florydę od reszty kontynentu i półwysep obsunie się do morza. Fale wstrząsów rozejdą się po całym wybrzeżu, dotrą również do Zatoki. A cały półwysep zniknie z powierzchni ziemi.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok, obracając się niezgrabnie z powodu ran. Rourke ujrzał w jej oczach niemą prośbę. Wziął ją w ramiona, pozwalając jej się wypłakać.

- Tak wielu, tak wielu ludzi... Jezu... - łkała. Rourke przez chwilę patrzył na nią, potem spojrzał Rourke stronę promu. W motocyklu na pokładzie prawie całkiem skończyło się paliwo.

- Paul - szepnął Rourke. - Mój Boże...

Przez jakiś czas John nie przerywał płaczu dziewczyny. "Musi rozładować napięcie. Tyle przecież przeszła..." - pomyślał. Sądził, że niektórzy ludzie, zabici w trzęsieniu San Andreas, które zmiotło Kalifornię, musieli być jej bliscy. A teraz wiedziała, że ma się to powtórzyć. Jeszcze nic o tym nie mówiła, ale Rourke zrozumiał teraz, dlaczego została wysłana przez resztę załogi. Wiedza o grożącej katastrofie zmusiła ich do działania. Rourke zastanawiał się w duchu, czy można by jakoś nakłonić Kubańczyków albo też Rosjan do pomocy w ewakuacji. Z pewnością trzeba powiadomić rząd Stanów Zjednoczonych II. Rourke myślał: ilu mężczyzn, ile kobiet i dzieci przeżyło Noc Wojny i okupację komunistów kubańskich.

John myślał o poszukiwaniu Sarah i dzieci. Choć może znajdą się oni w pobliżu wybrzeża, gdzie wznagające się fale przyływów będą niosły ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. "Przynajmniej będą mieli szansę" - pomyślał Rourke. Ale jego przyjaciel, Paul Rubenstein, prawdopodobnie już teraz przebywał na Florydzie. Jemu nie pozostanie żadna szansa. Rourke zamyślił nad tym młodym człowiekiem. Przed Nocą Wojny nawet nie wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. A potem, w

przeciągu kilku godzin po katastrofie odrzutowca, którym podróżowali, John Rourke i Paul Rubenstein - jedyne ocalałe osoby spośród pasażerów i załogi - nawiązali przyjaźń, którą nieśli poprzez dwie trzecie Stanów Zjednoczonych. Nagle Rourke uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, dlaczego ten nowojorski redaktor czasopisma handlowego najpierw znalazł się w Kanadzie, a potem zmierzał do Atlanty. Rourke pokręcił głową i uśmiechnął się.

Przez chwilę zastanawiał się nad sobą. W życiu poznał niewielu przyjaciół, nigdy nie miał licznych krewnych.

- Przyjaciele... - szepnął do siebie.

Żona, Sarah, nie zawsze była jego przyjacielem - może dlatego przed wojną tak często się kłócili, tracąc cenne godziny, gdy żadne nie chciało wyciągnąć ręki do zgody. "Natalia - to najciekawszy z moich przyjaciół" - pomyślał. Pamiętał ich spotkanie w Teksasie, które w końcu doprowadziło do ostatecznej rozprawy z jej mężem. Rourke zdał sobie sprawę, że być może teraz ta kobieta go nienawidzi. Jedynym jego przyjacielem mógł być teraz Paul Rubenstein.

- Pomogę ci - szeptem powiedział Rourke do dziewczyny, czując na piersi jej głowę i słabnący już szloch. - Możemy popłynąć promem w dół rzeki. Chyba potrafię znaleźć jakiś kontakt w Wywiadzie Wojskowym w Savannah. Spróbujemy zrobić coś, aby pomóc ludziom wydostać się stamtąd, zanim to się zdarzy. Nie wiem, jak wiele jesteśmy w stanie zdziałać, ilu ludzi można ewakuować w jakikolwiek sposób. Ale ty i twoi koledzy mieliście rację. Coś trzeba zrobić. I sędzę, że teraz to zadanie należy do nas.

Dziewczyna podniosła na niego oczy wciąż wilgotne od łez, twarz miała bladą. Rourke skonstatował, że było to spowodowane utratą krwi i szokiem od poniesionych ran. Zastanowił się, jak może wyglądać jego własna twarz. Musiał niezwłocznie rozpocząć poszukiwanie Sarah, Michaela i Annie - jego rodziny. Może Paul był dla niego kimś w rodzaju brata, którego nigdy nie miał. Rourke uśmiechnął się do własnych myśli. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś Sarah mu mówiła, że to zimne wyrachowanie planować własne ocalenie, kiedy inni nie mają na nie szansy. Ich długi spór na temat jego przygotowań do katastrofy i jej optymizmu, co do pokoju światowego, został raz na zawsze zakończony w Noc Wojny, gdy gorzka rzeczywistość udowodniła, że to on miał rację. Ale nigdy nie potrafił przekonać żony co do tego, że przetrwać można tylko samemu. John uświadomił sobie, że do poszukiwań Sarah i dwojga dzieci skłoniła go miłość do nich, jako do najbliższych mu ludzi. Jak do znalezienia Paula Rubensteina nagliła go "interesowna" pogoń za przyjaźnią. Swego ojca pochował Rourke wiele lat temu, niedługo potem - matkę. "Jeśli Noc Wojny nauczyła mnie czegokolwiek - myślał Rourke - to tego, że ludzkie życie jest zbyt cenne, aby o nie walczyć w jego obronie."

ROZDZIAŁ IV

Sarah Rourke wsparła rękę na brzegu siodła. Klacz Tildie skubała kępę trawy. Oczy Sarah omiotły dolinę pod niewielkim wzgórzem, na którym się zatrzymali. Obejrzała się za siebie. Michael bez trudu utrzymywał się w siodle Sama - dużego, siwego konia jej męża. Uśmiechnęła się do małej Annie, a ona kiwnęła jej ręką. Pokręciła głową, z trudem mogąc uwierzyć, że jej dzieci mogły wytrzymać to, co przeszły. Uważnie przyjrzała się swym dłoniom. Paznokcie były krótko obcięte, a za nimi nabierało się sporo brudu. Zawsze hodowała je długie, nawet wtedy, gdy zajmowała się domem, fermą i dziećmi. "Przynajmniej paznokcie u lewej ręki zachowały się w prawie nienagannym stanie" - pomyślała z uśmiechem. Spojrzała na złotą obrączkę ślubną, zastanawiając się, czy druga do pary tkwi jeszcze wciąż na palcu żywego człowieka. Szepcząc coś cicho do swej klaczy, gdy ta ruszyła, podniosła obie dłonie do karku, by odwiązać z głowy błękitno-białą chustkę. "Czy John jeszcze żyje?" - zadawała sobie pytanie.

Przypomniała sobie farmę Mary Mulliner. Mogła u niej zostać, nawet na zawsze, gdyby chciała; dzieci miałyby wysepkę normalności na świecie, czy raczej na tym, co z niego pozostało. A jednak spakowała juczne torby i płócienny worek, wyczyściła karabin, zabrany kiedyś jednemu z ludzi, którzy chcieli ją zgwałcić i zabić. Musiała przy tym pokazać rudowłosemu synowi Mary, "jak się rozbiera na czynniki pierwsze" - w taki sposób to nazywał - karabin i automatyczny colt, "czterdziestkę piątkę" męża. Tego ranka osiodłała konie. Annie płakała, Michael mówił o tym, jak będzie się opiekował swoją siostrzyczką i mamusią. Było lato, choć trudno było to zgadnąć na podstawie pogody. Oglądając się na dwójkę swoich dzieci, mruknęła do siebie:

- Michael skończy dopiero siedem lat Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Sześciolatek chłopiec, który zabił człowieka, aby ratować jej życie; sześciolatek, który ponownie ocalił ją przed śmiercią, kiedy napiła się skażonej wody. Kąciki jej szarzielonych oczu zmarszczyły się w uśmiechu - podobieństwo Michaela do ojca było nie tylko fizyczne. Przyjrzała się twarzy syna: ciemne oczy, gęste, czarne włosy. Czoło miał niższe niż ojciec, ale Michael był jeszcze chłopcem. Te ramiona, ta szczupła sylwetka. Jednakże siła, którą chłopak zdawał się mieć wewnątrz siebie, zarazem dodawała jej otuchy i przerażała. Był Johnem w każdym calu - kochający, rozważny, praktyczny, choć także marzycielski. Dopiero wojna uświadomiła jej, że szaleństwo męża na punkcie przygotowań do katastrofy nie było koszmarem, lecz snem o przetrwaniu, kiedy sama cywilizacja upadnie. Gdyby wojna, czy jej następstwa zabiły Johna, zabiłyby tym samym Michaela - a przecież Michael był teraz tu, obok niej.

- Michael... - odezwała się, patrząc na chłopca z uśmiechem.

Odwzajemnił jej uśmiech mówiąc:

- Czemu się tak uśmiechasz?

- Bo cię kocham. - Przeniosła spojrzenie na Annie. - I ciebie też kocham.

- Wiemy to - odparł chłopak.

- Wiem, że wiecie - roześmiała się. Potem ujęła cugle Tildie i rzuciła przez ramię: - Jedziemy,

dzieciaki...

Urwała, ściągnając wodze pod wpływem fali wewnętrznego strachu na myśl: "Jedziemy - dokąd?" Kręcąc głową, zwolniła lejce i przycisnęła kolana do ciepłych boków Tildie.

- Jedziemy - powtórzyła głośno.

Jechali bez przeszkód przez ponad pół godziny, jak oceniła po położeniu słońca, które było wciąż daleko na wschodzie. Po opuszczeniu farmy Mullinerów zamierzała skierować się do Georgii. Jednakże pomyślała, że czyha tam zbyt wielu bandytów, aby był sens czekać lub próbować ich ominąć. Wówczas postanowiła skrócić na wschód ku Karolinie, próbując dotrzeć do Georgii - jak oceniała to dwa dni temu - bliżej wybrzeża atlantyckiego. Przekonywała samą siebie, że może Savannah wciąż jeszcze istnieje. Znów ściągnęła cugle klaczy, patrząc to na dolinę, to na góry. "Przed wojną - myślała - warkot silnika samochodu był swojski, czasem nawet przyjemny." Lubiła, kiedy ktoś nieoczekiwanie zatrzymywał się przy farmie. Słyszając dudniący warkot, wyglądała przez okno swego gabinetu czy kuchni, aby ujrzeć podjeżdżający pod dom znajomy pojazd. Od wybuchu wojny hałas silników oznaczał dla niej tylko jedno - bandytów.

- Dzieci! - zawołała. - Pospieszcie się!

Spięła Tildie, pochylając się w siodle i śledząc, jak Michael opada nad szyją swego konia, a Annie klepie maleńkimi dłońmi zad jej wierzchowca. Dzieci ruszyły.

- Szybko! - krzyknęła znowu, przenosząc prawą rękę z grzywy klaczy do kolby czterdziestki piątki, wciśniętej za pas wyblakłych Levis'ów. W dolinie, którą jechali, byli widoczni jak na dłoni.

Teraz potrafiła umiejscowić źródło tego dźwięku - tuż za wzgórzami schodzącymi do doliny. Jedyne schronieniem z przodu był dom farmerski.

- Tam! - krzyknęła wreszcie, pragnąc z całych sił, żeby dzieci popędziły prędzej swoje zwierzęta, i żałując, że pozwoliła Annie jechać samej. Córka nie miała jeszcze pięciu lat, brakowało jej czterech miesięcy. - Szybciej, dzieci - powtórzyła, oglądając się na wzgórze, gdy odgłos silników stał się głośniejszy i wyraźniejszy. Rozpoznała ciężarówki, wiele ciężarówek, ale poza tym jeszcze inny odgłos. Jeździła kiedyś z Johnem na motocyklu, od początku wojny wciąż słyszała motocykle i rozpoznała teraz hałas ich silników.

- Bandyci! - wrzasnęła. - Pędem! Na miłość Boską... - I ściągnając wodze, aby zrównać się z dziećmi, dodała szeptem do siebie: - Na naszą miłość...

Znów obejrzała się na wzgórze i słysząc wzmagający się ryk motorów, popatrzyła na dzieci. Cofnęła lejce przy wyciąganiu zza pasa przy siodle zmodyfikowanego AR-15, po czym przewiesiła go przez plecy.

- Ruszaj, mała - sapnęła, spinając klacz i pochylając się nisko nad rozwianą grzywą, która siekała ją po twarzy, wyciskała łzy z oczu.

Sarah, wyprzedzając Annie, wyciągnęła prawą rękę i uderzyła jej wierzchowca po zadzie. Gdy spojrzała w tył, wydało jej się, że widzi kontur wynurzającej się zza horyzontu ciężarówki.

- Szybciej, mała - popędziła swą klacz. Michael już zwalniał, mając przed sobą domek.

- Michael! - krzyknęła kobieta. - Wprowadź konia do środka! Szybko!

Gdy syn zaczął zsiadać, Sarah zwolniła i zeskoczywszy sprawnie z siodła, przesunęła AR-15 na plecy, po czym oburącz złapała wodze konia Annie. Przytrzymała wierzchowca i zdjęła z niego dziewczynkę.

- Biegnij do tego domu! - Sarah popchnęła przed sobą Michaela, dzierżąc teraz lejce wszystkich trzech koni.

Michael mocował się z drzwiami domku, więc Sarah odsunęła chłopca na bok i próbując przekreślić klamkę, pchnęła całym swoim ciężarem nie malowane deski, obcierając dłonie o szorstkie drewno. Drzwi ustąpiły i Michael i Annie weszli do środka. Widziała teraz wyraźnie grzbiet wzgórz. Pomyliła się - to nie były ciężarówki. Jechały tam czołgi z czerwoną gwiazdą na pancierzach.

- Rosjanie - mruknęła, poganiając przed sobą konie. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie bezwładnie.

Nagle usłyszała okrzyk Michaela:

- Mamo!

Odwróciła się na pięcie z automatyczną czterdziestką piątką w rękę i kciukiem na bezpieczniku. Przez głowę przemknęły jej jednocześnie dwie myśli: jak bardzo przyzwyczała się już do niebezpieczeństwa i do chronienia przed nim siebie i dzieci oraz kim był ten człowiek w koszuli poplamionej krwią, który pojawił się nagle.

Mężczyzna wycharczał z akcentem mieszkańca Południowej Georgii:

- Jestem z ruchu oporu...

Gdy Sarah ruszyła ku niemu przez pokój, zdała sobie sprawę, że przed domem są Rosjanie, a ją czeka nowy obowiązek.

ROZDZIAŁ V

John Rourke obserwował, jak wskazówka licznika Harleya drga w pobliżu zera. Miał jeszcze do pokonania dziesięć mil do stacji strategicznych rezerw paliwowych, zaznaczonej na mapie podarowanej mu przez Samuela Chambersa, prezydenta Stanów Zjednoczonych II. Rourke nauczył się tej mapy na pamięć, po czym ją zniszczył, odtwarzając potem z pamięci kopię, którą ukrył w swej kryjówce, gdzie również Paul Rubenstein nauczył się jej na pamięć.

Nigdy wcześniej Rourke nie musiał korzystać z rezerw paliwowych - na swej drodze zawsze odnajdywał benzynę. Ale też nigdy przedtem nie oddalił się tak bardzo od swej kryjówki.

Spłynął promem tak blisko Savannah, na ile było to bezpieczne, potem porzucił go i zostawił dziewczynę w najbezpieczniejszym miejscu, jakie udało mu się znaleźć. Nie chciał, żeby ranna kobieta opóźniała jego rajd po paliwo, a poza tym nie widział potrzeby zbędnego narażania jej. Wiedział doskonale, że Sowieci zajmowali okolice Savannah, wykorzystując tę miejscowość jako najdogodniejszy obecnie główny port południowo-wschodni. W dodatku w okolicy byli bandyci, czego dowiodło wcześniejsze spotkanie. Rourke zostawił dziewczynie małego dwucalowego colta oraz żywność i wodę, na wypadek, gdyby jemu coś się przytrafiło.

Przed sobą zauważył wzniesienie, więc dodał gazu i wjechał na górę. Spoglądając na czarną tarczę Rolexa, stwierdził, że dotarcie do stacji zabierze mu kolejne dziesięć minut. Grunt był nierówny, nie uczęszczany przez pojazdy. "W gruncie rzeczy - pomyślał Rourke - doskonale miejsce na strategiczną rezerwę ropy i benzyny. Z dala od tych bitych traktów, dostępne jedynie dla motocykla lub największych ciężarówek." Rourke współczuł kierowcom cystern, którzy musieli kiedyś przebyć tę wyboistą drogę, aby dostarczyć paliwo.

Po następnych kilku minutach jazdy wskazówka licznika paliwa opadła poniżej zera. Rourke zatrzymał motor, bo zdawało mu się, że silnik pracuje trochę nierówno. Odtworzył w myśli punkt na mapie i sprawdził soczewkowaty kompas, aby upewnić się, że zapamiętane współrzędne się zgadzają. Powoli ruszył maszyną w dół wzniesienia. Zdał sobie sprawę, że teraz jest prawie całkiem bezbronny. Łatwo go było zatrzymać na odkrytej przestrzeni, z unieruchomionym w czasie tankowania motocyklem.

Rourke okrążył wokół polanę, po czym zatrzymał się, rozkładając stopkę. Zsiadł z motoru, szarpnął w tył zamek karabinu i puścił go naprzód, ładując pocisk do komory. Z odbezpieczoną bronią wyszedł na polanę i ponownie porównał wskazówki kompasu z mapą. Zauważywszy grupkę drzew wyglądającą na jego cel, ruszył w tym kierunku, przepychając się kilka stóp wśród konarów sosen. Wreszcie znalazł zawór.

Chambers wyjaśniał mu, że w przeciwieństwie do innych zapasów do użytku cywilnego, przemysłowego i militarnego, pokazane na mapie rezerwy paliwa są zasobami awaryjnymi. Ze względu na przeznaczenie awaryjne zastosowano tutaj pompy pneumatyczne, a nie - jak w cysternach cywilnych - elektryczne. A to oznaczało, że czas tankowania przeciętnego samochodu - jak tłumaczył Chambers - miał wynosić mniej więcej od dziesięciu do dwunastu minut. Był to proces powolny.

Rourke uśmiechnął się na tę myśl. Zastanawiał się, czy będzie jeszcze kiedykolwiek prowadził "zwyczajny samochód".

Wrócił do Harleya, po czym podprowadził go do linii drzew i rozpoczął tankowanie. Nawet przy znacznie mniejszych niż w samochodzie zbiornikach (licząc jeszcze dodatkowy kanister) Johnowi wydawało się, że czynność ta trwa nieskończenie długo, kiedy śledził poziom paliwa po uruchomieniu pompy, zostawiwszy uprzednio kluczyk w stacyjce. Uświadomił sobie, że przy tłoczeniu ręcznym i pustym niemal do cna baku, może łatwo popełnić omyłkę zakładając, że zbiorniki są już pełne, podczas gdy naprawdę będzie inaczej. Przy napełnianiu Harleya, a potem zbiornika zapasowego lustrował wzrokiem polanę i nierówną drogę, która ją przecinała. Był wciąż bezbronny.

Nagle znieruchomiał, słysząc ludzki głos. Ktoś mówił po rosyjsku. Mimo ogarniającego go lęku, John kontynuował tankowanie. Głos dobiegał zza niskiego pagórka, przez który John dojechał na polanę. Rourke ocenił sytuację - było co najmniej dwóch ludzi, prawdopodobnie zbliżający się sowiecki patrol.

Wziął do ręki broń i rozłożył kolbę. Zerknął na zapasowy zbiornik paliwa. Był prawie pełny. Zakręcił przykrywkę baku Harleya, omiatając wzrokiem teren, aby sprawdzić, czy poza odciskami opon nie zostawił innych śladów swej obecności. Przydeptał kilka rozlanych na ziemi kropli benzyny. Kanister był pełen i John przestał pompować. Spoglądając przez ciemne okulary ku wzniesieniu, zamknął szybko pojemnik i umocował go przy motorze.

Ukrył na swoim miejscu wąż, po czym zakręcił i założył szyfrową blokadę - wraz z mapą, Chambers dał mu również szyfr.

Teraz usłyszał ich wyraźniej. Nie zapalając silnika, zaprowadził motocykl na środek polany i wrócił, by zatrzeć, najlepiej jak potrafił, wszelkie pozostawione ślady, używając przy tym zdjętej z pleców skórzanej kurtki. Ubrawszy się ponownie i złożony kolbę CAR-15, Rourke wszedł na Harleya i czekał. Jeśli głos się nie zbliży, postanowił zaczekać, aż całkiem ucichnie, a potem wejść na pagórek i jeżeli wszystko będzie w porządku, czmychnąć. Miało to kluczowe znaczenie, żeby nie zwrócić uwagi Sowieców na polanę i nie wskazać im drogi do zapasów paliwa.

Wyraźnie dosłyszał, jak ktoś mówił po rosyjsku coś o śledzeniu śladów kół. Uśmiechnął się, sięgnął do plecaka na bagażniku i zsiadłszy z motoru nazbierał trochę patyków. Po ścięciu nożem kory z kilku gałązek, podpalił je zapalniczką i wyciągnął paczkę żywności firmy Mountain House. Czekając przykucnął przy małym ognisku. Jeśli Rosjanie zjawią się na pagórku, ujrzą obozowisko, a Rourke postara się skutecznie ich przekonać, że zatrzymał się tu na posiłek. Jeśli poda im przyczynę swojej bytności tutaj, być może nie znajdą powodów do dalszych poszukiwań. Patrzył na kontur pagórka, rozrywając opakowanie z żywnością. Było to tureckie tetrazini. Nabrał o dłoń garść spreparowanego prowiantu i zaczął jeść po trochu, czekając aż ślina zacznie reagować z pokarmem, dając smak.

- Nie ma sensu marnować tego wszystkiego - mruknął do siebie.

Wreszcie Rourke dosłyszał drugi głos - zaczynał już sądzić, że Rosjanin po drugiej stronie wzniesienia jest nerwowo chory i rozmawia sam ze sobą. Słyszał teraz dość dobrze rozmowę. Dwa głosy mówiły o tym, że ślady prowadzą poprzez pagórek.

Kręcąc głową, zawiesił na szyi rzemień karabinu CAR-15, z lufą w dół i odbezpieczonym zamkiem. Z pochwy przy pasie wy dobył sześciocalowego Pythona, po czym wziął do ust nieco więcej tureckiego tetrazini, czekając na to, co miało nieuchronnie nastąpić.

Spojrzał z ukosa na słońce, czując na rękach ciepło małego ogniska i mając nadzieję, że Rosjanie

się pośpieszą. Nad szczytem pagórka zobaczył czubek radzieckiej furazerki, a potem głowę żołnierza.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Mężczyzna próbował chwycić za swój AK-47. Rourke, przykucnięty obok ognia, wyciągnął pistolet, trzymając go oburącz i zgrywając idealnie muszkę ze szczerbinką. Pociągnął dwukrotnie za cyngiel i lufa podskoczyła nieznacznie, gdy rewolwer wypalił.

- Kocham tę zabawkę - mruknął do siebie, prawie nie czując odrzutu.

Po chwili był już na nogach i biegł co sił w kierunku motocykla.

Gdy dopadł Harleya i wskoczył na siodełko, zobaczył wyłaniającą się zza pagórka drugą postać z AK-47 w rękach. Kiedy Rosjanin otworzył ogień, Rourke strzelił z Pythona raz, potem drugi. Radziecki żołnierz runął na plecy.

John wsadził colta do pochwy i zapuścił silnik. Z tyłu odezwała się strzelanina, wzbijając wokół pył. Stwierdził, że silnik znów pracuje dobrze, kiedy dopadł przeciwnej strony wzniesienia i przeskoczył przez nie, aby dotrzeć do drogi znajdującej się jakieś dwieście jardów z przodu. Za sobą słyszał pojazdy, okrzyki i strzały - ciągle nie miał pojęcia o liczbie sowieckiego patrolu, ale żywił nadzieję, że nabiorą się na trik z obozowiskiem. Wjechawszy na drogę, Rourke spojrzął w tył wzdłuż rzeki. Zbliżała się niewielka radziecka ciężarówka w barwach maskujących. Wprowadził motor w ostry zakręt i wyhamował, wyciągając Pythona i odbezpieczając go. Rosyjski pojazd był na pagórku. Rourke oddał trzy szybkie strzały. Z maski ciężarówki uniósł się obłok pary i pojazd zatrzymał się pośrodku grzbietu pagórka. John schował colta i ruszył naprzód, wyciągając z kieszeni jedno ze swych małych cygar.

ROZDZIAŁ VI

General Warakow stał na półpiętrze, patrząc na główną salę. W czasie, gdy wykorzystywał leżące nad jeziorem muzeum w charakterze swej kwatery głównej, od przybycia z Moskwy wkrótce po wybuchu wojny, często przyglądał się ustawionym tutaj szkieletom mastodontów. Warakow uśmiechnął się - to właśnie w pomieszczeniach muzeum lub nad jeziorem wykonywał w tych dniach większość pracy umysłowej. Spróbował przypomnieć sobie, gdzie czynił to najczęściej w Moskwie, ale zdał sobie sprawę, że chyba tam nie pracował tyle, ile mógł. Kręcąc głową, oddalił się od balustrad i usiadł na jednej z niskich ławek, ciągle mając widok na salę. Znał prawie na pamięć raporty, które leżały na jego biurku, Kubańczycy, wciąż tylko Kubańczycy.

Po wybuchu wojny została im oddana Floryda, aby zadowolić komunistycznego przywódcę ich wyspiarskiego narodu. Warakow pomyślał, że był to błąd polityczny ze strony premiera i Politbiura. Raporty wskazywały, iż komuniści kubańscy przeprowadzili kilka wypraw na południowe krańce Georgii - terytorium pod okupacją radziecką. Były doniesienia o obozach koncentracyjnych i masowych egzekucjach Amerykanów. Tego rodzaju rzeczy, wiedział to Warakow, niweczyły wszelkie podejmowane przez niego próby złagodzenia nacisku ze strony grup Amerykańskiego Ruchu Oporu. Jego własne dowództwo też stworzyło więzienie dla schwytanych członków ruchu i innego podejrzanego elementu, ale obozy były prowadzone na humanitarnych zasadach - sprawdził to osobiście. Egzekucje były nieliczne i tylko na ludziach z ruchu oporu, którzy zostali wzięci do niewoli podczas akcji.

Ostatecznie, trwała przecież wojna. Doszło już do dwóch niebezpiecznych konfrontacji między patrolami radzieckimi i wojskiem kubańskim w Georgii. Bez wątplenia będą następne, wiedział to.

- Castro - mruknął Warakow.

Było jasne, że coś trzeba zrobić z tymi Kubańczykami, i to szybko. Nie pragnął konfliktów "granicznych" z powodu czegoś tak - według jego zdania - bezużytecznego jak Floryda.

Rządy komunistów na Kubie Warakow uważał za dziecinadę. "Wobec osób, które zachowują się jak nieodpowiedzialni, małoletni przestępcy, ostrożności nigdy za wiele" - skonstatował.

Po przejrzeniu raportów spędził prawie równą ilość czasu na czytaniu akt osobowych. Zatarł dłonie i wstając na obolałe nogi, podszedł z powrotem do balustrady, w nie dopiętym mundurze. Poruszając palcami w butach, generał patrzył w dół na główną salę. Towarzysz Konstantin Miklow był doskonałym człowiekiem - oficer doświadczony w postępowaniu z Kubańczykami po trzyletnim pobycie w ich kraju jako doradca wojskowy. Hiszpański Miklowa, jak zorientował się Warakow z akt, był nienaganny.

Na ustach generała zawisł uśmiech. W jedynej dziedzinie, gdzie Miklow wykazywał niejakie braki - tło wywiadowcze - Warakow potrafił je uzupełnić i jednocześnie osiągnąć cel uboczny. Natalia Tiemerowna. Niedawno awansował ją do stopnia majora. Doszedłszy już prawie zupełnie do siebie po pobiciu przez Władimira Karamazowa - jej nieżyjącego już (dzięki temu Amerykaninowi, Rourke'owi) męża - chciała otrzymać nowe zlecenie. Warakow wiedział, że jej znajomość

hiszpańskiego jest bez zarzutu, otwartość - cecha, która go w niej tak bardzo ujmowała - czyniła ją bardziej ważną i cenną niż pokrewieństwo. Wszystko to powinno jej ułatwić wyjaśnienie przyczyn, które kryją się za kubańskimi wyprawami do okupowanego przez Sowieków terytorium.

Przechylił się przez balustradę, rozbawiony własnymi myślami. Czy rzeczywiście wysyłał ją ze względu na swoje potrzeby, czy też raczej po to, by mogła dotrzeć do celu, który sama sobie wyznaczyła?

Odsunął od siebie ten dylemat, sądząc, że może z wiekiem stał się bardziej wujem niż przełożonym Natalii. Wiedział, że powinien był zaplanować zlikwidowanie Rourke'a po zamordowaniu przez niego Karamazowa. Jednakże Rourke w istocie nie zamordował męża Natalii - raczej wyglądało to na "uczciwy" pojedynek, w którym zwyciężył Amerykanin. Warakow wzruszył ramionami. Podobał mu się ten Rourke. "Dobry człowiek zawsze pozostanie dobrym człowiekiem - myślał generał - bez względu na politykę." Uśmiechnął się. Niezależnie od tego, czy Natalia przyzna się do tego przed sobą, czy nie, i mimo jej nienawiści do Rourke'a, gdy dowiedziała się o śmierci męża, ta niezwykle piękna kobieta kochała owego dzikiego i szalonego Amerykanina.

Warakow zaczął śmiać się w głos, odwracając się od barierki i ruszając po długich, niskich schodach ku głównej sali i przylegającemu do niej gabinetowi. Bawiło go, że tak bardzo się niepokoi zatargami między Rosją i Kubą. - Powinienem bardziej martwić się tym - mruknął, dotarłszy do podnóża schodów i zastanawiając się, co zrobi, jeśli kiedyś Natalia i Rourke się spotkają.

- Zabawne - rzekł, mijając wysoką, młodą sekretarkę i chichocząc znowu, kiedy jej oczy wyraźnie starały się rozszyfrować jego śmiech. - Nic takiego - powiedział do niej dobrodusznie, podchodząc do biurka. Po czym mruknął pod nosem: - Jeszcze nic.

ROZDZIAŁ VII

- Kto tam?

- Jeśli ktoś zbliżył się wystarczająco, żeby odpowiedzieć, zwykle jest już za późno, aby strzelać - powiedział Rourke, wychodząc z cienia niewielkiej grupki sosen o niespełna sześć stóp od kasztanowowłosej kobiety, której fryzura w świetle zmierzchu zdawała się prawie czarna.

- Mój Boże.. Czy ty zawsze...

- Nie, zwykle nie podkradam się do ludzi... Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś sama - odparł Rourke, robiąc dwa kroki i stając obok niej, siedzącej na ziemi z plecami opartymi o skałę. - Jak się czujesz, Sissy? - spytał, pochylając się nad nią.

- Zmęczona, zdenerwowana... ale chyba jednak lepiej - odrzekła. - Masz, weź to z powrotem. - Podawała Johnowi chromowanego colta, którego jej wcześniej zostawił. - Broń mnie denerwuje.

- Nie ma powodów, żeby broń źle na ciebie wpływała - powiedział cichym głosem. - Pistolet jest jak korkociąg, piła, stetoskop, skalpel... czy sejsmograf - dodał.

- A jednak sejsmografem nie można nikogo zabić - rzekła zmęczonym głosem.

Przypaliwszy jedno ze swoich cygar, Rourke zatrzasnął zapalniczkę i zaciągając się głęboko, obserwował jak wypuszczony dym wznosi się szarą smużką na tle ciemniejącego nad skałami nieba. - Ze wszystkiego można zrobić dobry lub zły użytek, broń nie jest inna. Mogę wziąć na przykład to - rozpiął kurtkę i wskazał na kolbę nierdzewnego Detonicsa pod lewym ramieniem - i zostać bandytą jak ci ludzie, którzy ścigali cię rano. Mogę też robić to, co ja robię - walczyć z bandytami. Mogę użyć tej samej broni do zupełnie różnych celów, prawda? Nie zmienia to jednak natury broni, bo sama broń jest jedynie martwym przedmiotem, czyż nie?

- No, chyba tak...

- Broń niepokoi ludzi, ponieważ tego nie rozumieją. Człowiek zwykle lęka się czegoś, czego nie rozumie. Spróbuj pokazać sejsmograf Buszmenowi, a rysik zostawiający na papierze dziwne linie przerazi go na śmierć tak samo jak ciebie to. - Rourke ważył w prawej dłoni małego colta, następnie schował go pod kurtkę

- Może i masz rację - odezwała się dziewczyna. - Ale... broń, wszelka broń... spowodowała to wszystko - powiedziała, patrząc na pomarańczowo-czerwony horyzont.

- Nie - szepnął Rourke. - Tak samo jak moje porównanie z bandytami. Energia nuklearna mogła zostać użyta w dobrych celach, w wielu dziedzinach została... i może nadal będzie. To znowu sytuacja, kiedy ludzie czegoś nie rozumieją i obawiają się tego. Rosjanie nigdy nas w istocie nie rozumieli, a my - ich. Ci nieliczni po obu stronach, którzy pragnęli porozumienia, nie rozpętali wojny. Zaczęli ją ludzie, którzy nigdy nie mieli czasu lub chęci na zrozumienie. Dlatego ty chcesz teraz zawiadomić wywiad o grożącej katastrofie, dlatego ja szukam żony i dzieci. Za mało ludzi rozumiało lub starało się zrozumieć. Z tego powodu jesteśmy teraz w obecnej sytuacji.

- Wszystko już się naprawdę skończyło... tak? - wyszeptała dziewczyna chrapliwie.

- Chyba tak... nie jestem pewien. Nie wiem, czy ktokolwiek to wie. Ale nie można po prostu

siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć. Póki wystarcza ci tchu w piersiach, zawsze jest jakaś szansa.

- Ale te wschody i zachody słońca, pogoda... to wszystko... - zaczęła kobieta.

- Zrobiliśmy coś, czego nigdy wcześniej nie dało się dokonać, a może ludzkość cofnęła się w rozwoju. Sam nie wiem - wyszeptał wolno. - Może historia naprawdę się powtarza. Całe to gówno, które wysłaliśmy do atmosfery - to nie zdarzało się od czasów masowej aktywności wulkanicznej, wiele milionów lat temu. Jakie to może mieć skutki, nie mam pojęcia. Jestem lekarzem, to ty jesteś naukowcem. Może wiesz?

- Nie, ale...

- Być może masz szczęście, może oboje je mamy. Rourke ponownie podniósł wzrok na niebo. Słońce już zapadło za horyzont i widać było gwiazdy, choć niebo zdawało się bardziej purpurowe niż czarne lub granatowe.

- Myślisz, że gdzieś tam ktoś jest? - zapytała cichym głosem, jak mała dziewczynka.

- Może to jest właśnie najbardziej tragiczne w tym wszystkim - odparł Rourke powoli.

- Może nigdy się nie dowiemy. Sądzę, że ktoś powinien tam być. Może gdybyśmy zetknęli się z cywilizacją, która przeszła ten garb technologiczny, i mimo to przeżyła, nauczylibyśmy się, jak tego dokonać.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, John... To znaczy, lekarz, który jeździ na motorze i nosi broń. Nie pasujesz do żadnego schematu.

- Przyjmuję to jako komplement. - Rourke uśmiechnął się w mroku. - Lepiej ruszajmy w drogę do Savannah, sprawdzić, jak można skontaktować się z rządem.

- A więc zdobyłeś benzynę do motocykla?

- Uhm - potaknął Rourke z roztargnieniem. Patrzył ku gwiazdom. Myślał.

ROZDZIAŁ VIII

- Chyba jestem ostatni... Chryste! Jak to boli!

Sarah pochyliła się nad lewym udem mężczyzny, zbliżając twarz. Rana nie cuchnęła, to dobry objaw. Żałowała, że nie potraktowała ongiś bardziej poważnie swojej ochotniczej pracy w szpitalu lub nie śledziła uważniej Johna, gdy kilka razy widziała go przy pracy. Pamiętała, jak wkrótce po ślubie spotkała lekarza, u którego Rourke odbywał praktykę, zanim ostatecznie porzucił medycynę i podjął pracę dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. "Ten człowiek - próbowała przypomnieć sobie jego nazwisko. - Feinstein? Feinburg..?" "Chyba jakoś tak" - stwierdziła. Ten człowiek, jakkolwiek się nazywał, powiedział jej pewną rzecz, kiedy John oddalił się na kilka chwil. W tamtych czasach jej mąż palił jeszcze papierosy i być może poszedł kupić nową paczkę. "To było wiele lat temu" - pomyślała. Lekarz powiedział jej, że Rourke jest najbardziej obiecującym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek pracował w medycynie - z wystarczającymi zdolnościami manualnymi, żeby zostać wybitnym chirurgiem, gdyby się na to zdecydował, i umysłem zdolnym do szybkiego podejmowania ważkich decyzji o życiu i śmierci, a potem do działania. Ta druga cecha - doktor nazywał się Feinmann, przypomniała sobie wreszcie - jest rzadką rzeczą, która czyni lekarza wielkim.

Sarah spojrzała na leżącego obok na kozetce bojownika ruchu oporu.

- Jak się pan nazywa? - Pamiętała, by zadać to pytanie.

- Harmon Kleinschmidt - powiedział napiętym głosem.

- No więc, panie Klein... - Przerwała, by zacząć od nowa:

- Panie Harmon, mój mąż, ojciec tych dzieci, jest lekarzem. Ja nie znam się na medycynie. Byłam na kilku kursach pierwszej pomocy, zawijałam jako ochotniczka bandażę i widziałam parę razy, jak mąż operuje nagle przypadki. Wiem, co robić, żeby oczyścić panu ranę, może nawet potrafię wyciągnąć kulę, o ile nie jest za blisko jakiegoś ważnego dla życia organu. Ale skoro ma pan tylko mnie na podorędziu i ponieważ wkoło są Rosjanie, może po prostu przestanie pan jęczeć i przygryzie zębami ręcznik czy coś takiego, żeby pozwolić mi zrobić to, co będę mogła. Okay?

Kleinschmidt opadł na zwinięty koc służący mu za poduszkę.

- Mogę mówić? - wysapał.

Nie podniosła na niego oczu, ale brzmiało to, jakby mówił przez zaciśnięte zęby.

- Pewnie... jeśli to pomoże - szepnęła. Rzuciła spojrzenie przez ramię. Michael i Annie wycierali konie nie patrząc. Była z tego zadowolona, bo rana nogi wyglądała okropnie, a oprócz niej była jeszcze druga - na ramieniu.

- Dorwali nas wszystkich... wszystkich prócz mnie. Większość kobiet i dzieciaków wyruszyła, gdy wszyscy mężczyźni dali się złapać. A ja próbowałem gdzieś uciec, gdziekolwiek... i trafiłem tutaj.

Sarah podejrzewała, że mężczyzna zaczyna majaczyć.

- Co się stało? - zapytała, nie dbając zbytnio o odpowiedź, ale starając się zająć czymś myśli. W górnej części uda partyzanta, bardzo blisko kości, tkwił duży, zdeformowany kawałek metalu i

wiedziała, że usunięcie go będzie bolało.

- No... hmm - chrząknął. - Więc, oni... czerwoni... Chcieliśmy im dołożyć. Myśleliśmy, że Savannah jest im potrzebne jako port morski. Chodzą słuchy, że Ruscy oddali Florydę armii Castro. Jeśli nie mogli wykorzystać Florydy, Savannah musiało stać się ważne jako port. No więc myśleliśmy, że możemy im zdrowo dopieprzyć... przepraszam panią - charczał - jeśli uprzykrzymy im życie. Radziliśmy sobie okay, aż zaczęliśmy koordynować wszystko z U.S. II.

- Co za U.S. II? - zapytała Sarah. Używała małych szczypiec z polowej apteczki pierwszej pomocy, którą skompletował John przed Nocą Wojny i którą później Sarah zabrała z domu. - Dom... - szepnęła do siebie.

- Co proszę pani? - spytał Kleinschmidt

- Nic, Harmon. Powiedz mi, co to jest U.S. II? No, dalej. - Zaczęła szukać szczypcami kuli. "Łada chwila ten człowiek zacznie krzyczeć."

- No więc sam tego dobrze nie rozumiem. Chyba jakiś facet zwany Samem Chambersem jedyny przeżył z gabinetu prezydenta. I on został nowym prezydentem. Wokoło krążył taki list, mieli go niektórzy. Mój kumpel, Jock Whitman, czytał mi jego kopię. Prezydent, ten prawdziwy, zabił się, żeby komuchy nie zmusiły go do kapitulacji.

- Nie wiedziałam o tym. Jesteś pewien? - dopytywała się.

- No... Tak pisało w tym liście, Jock mi mówił. Podobno kopie tego listu są w całym kraju. Podobno tajne służby zdobyły go dla niego. Kiedy zaczęliśmy pracować z U.S. II, mówili to samo. Ale chyba u nich jest jakiś problem. Jak zaczęliśmy wszystko z nimi uzgadniać, Rosjanie prawie jakby wiedzieli, co mamy robić, zanim to zrobiliśmy. Niektórzy myśleli, że tam, w U.S. II jest jakiś...aaa!

Podniosła wzrok. Jego ciało skrzywiło się gwałtownie, oczy miał zamknięte a twarz wykrzywioną grymasem bólu. Ale pierś wciąż unosiła się i opadała. Wydawało jej się, że kiedy szczypcami zaczęła dosięgać kuli, Harmon znów skulił się z bólu.

- Michael! - zawołała. - Chodź, przytrzymasz pana Kleinschmidta, żeby się nie ruszał, kiedy to robię. Annie, ty zostań przy koniach.

Po chwili Michael był obok.

- Nie patrz, synku - powiedziała.

- W porządku, mamó - odparł chłopiec cicho. Nawet jego głos, sposób mówienia, przypominał jej coraz bardziej Johna.

- Zdrajca? - rzekła, wyjmując z nogi kulę. Wydawało jej się, że utkwiała ona w mięśniu, ale nie była tego pewna.

- Co?

Spojrzała na syna, zmuszając się do uśmiechu.

- Nie, nie ty, skądże znowu... - szepnęła.

- Pan Kleinschmidt - ciągnęła badając ranę, żeby sprawdzić, czy kula nie pozostawiła żadnych odłamków - opowiadał mi, zanim zemdlął, że podejrzewa, iż ktoś donosi Rosjanom o tym, co robi on i reszta ludzi z ruchu oporu. Wiesz, to tak jak mąż i syn Mary Mulliner, oni też są w ruchu oporu. No więc on sądzi, że jest jakiś zdrajca.

Nie było żadnych odłamków i Sarah przyjrzała się przez moment kawałkowi metalu w szczypcach. Był wyraźnie zniekształcony, ale pozostał w jednej części.

- Taka maleńka rzecz - powiedziała, obracając kulę do światła.

Sarah Rourke popatrzyła na twarz Harmona Kleinschmidta. Wydawała się ona teraz bardziej spokojna. Wyobraziła sobie, że po umyciu i ogoleniu mężczyzna ten może okazać się przystojny. Wcześniej powiedział jednak, że jeśli mu pomoże, mogą ukraść łódź i dopłynąć do bezpiecznego miejsca na jednej z przybrzeżnych wysp. “Bezpieczeństwo” - pomyślała.

ROZDZIAŁ IX

Rourke spojrział na kobietę, mrugając w blasku słońca. - Tu będziesz bezpieczna, więc nie denerwuj się. Dotarcie pieszo do Savannah powinno mi zająć jakąś godzinę. Kiedy tylko znajdę kontakt, może uda mi się załatwić jakiś środek transportu, żeby szybciej wrócić.

- Ale czemu nie bierzesz ze sobą broni? Co zrobisz, jeśli...

Rourke przerwał jej:

- Jeśli zobaczą mnie z pistoletem, będę spalony. W okupowanych miastach Sowietci nie pozwalają Amerykanom nosić nawet scyzoryków, nie mówiąc o broni palnej. Powinno ci się to podobać - dodał Rourke. - Przymusowy pacyfizm.

- Tak - zaczęła - ale to co innego.

- Wyjaśnisz mi to kiedyś - powiedział Rourke, nie zwracając specjalnej uwagi na jej niekonsekwencję. Rozpoczął marsz. Po długim czasie noszenia butów wojskowych, teraz czuł się nieswojo w kowbojskich butach, wyjętych ze swojego plecaka. Rondo szarego kapelusza miał opuszczone nisko na twarz. "Nieumyślnie okłamałem tę kobietę" - myślał, ruszając w dół niewielkiego wzniesienia, na którym ją zostawił. Nie był całkiem bezbronny. Ciężka sprzączka u pasa podtrzymującego Levis'y mogła okazać się dobrą bronią w walce wręcz. "Poza tym mam jeszcze dwoje rąk" - przekonywał siebie. Bez pistoletu czuł się jednak nagi, ale może właśnie tak było najlepiej.

Zawsze istniała niepokojąca ewentualność, że kobieta straci zimną krew, ukradnie motor i ucieknie, zanim on wróci. On też potrafiłby ukraść motocykl. Drugi Harley, którego w Nowym Meksyku zabrał zabitemu bandycie, po tym jak rabusie wymordowali ocalałych pasażerów odrzutowca - ten motocykl był teraz w kryjówce. Przypuszczał, że potrafiłyby go przerobić, upodabiając go do typu Low Rider, który zostawił z Sissy.

"Największym problemem byłaby pozostawiona broń" - stwierdził, schodząc ze wzgórza i ruszając równolegle do dwupasmowej autostrady, prowadzącej do Savannah. Bliźniacze Detonics'y byłyby nie do zastąpienia, podobnie jak Python i CAR-15. W Schronie miał jeszcze seryjnie produkowany karabin AR-15 i colta Government 45. Mógłby zawsze używać magnum Gustom 357, poważnie zmodyfikowanego trzycalowego pistoletu, z wygrawerowanym na płaskiej lufie jego nazwiskiem. Była to bardzo dobra broń, ale jednak nie idealna. Używał też niegdyś z dużym powodzeniem pistoletu Smith and Wesson. Przypuszczał, że pistolet ten byłby uzupełnieniem listy jego ekwipunku.

Zatrzymał się, omiatając wzrokiem drogę w pewnej odległości od przełęczy, którą szedł; uśmiechnął się. Prawdopodobnie kobieta będzie tam, kiedy wróci, a wraz z nią broń i Harley. Ale te rozważania skróciły mu drogę. W oddali widział już przedmieścia Savannah.

ROZDZIAŁ X

Sarah Rourke podjechała na Tildie tak blisko Savannah, jak było to bezpieczne, zostawiwszy Michaela w roli opiekuna osłabionego, choć już przytomnego Harmona Kleinschmidta, a wraz z nim - Annie. Kleinschmidt upierał się, że jeśli Sarah dotrze do miasta i odnajdzie łódź, o której mówił, będzie mogła ją wziąć, a potem zabrać ich wszystkich na jedną z przybrzeżnych wysp, gdzie on mógłby wrócić do zdrowia, a ona i dzieci mogliby odpocząć. Zgodziła się.

Zostawiła karabin Kleinschmidtowi, biorąc ze sobą tylko automatyczną czterdziestkę piątkę. Po mniej więcej godzinie jazdy rozsiodła Tildie i zostawiła ją na polanie, nie obawiając się, że klacz ucieknie. Resztę upręży zaniosiła w zalesione miejsce opodal, po czym przebrała się. Uważała bowiem, że jej podróżny strój wzbudzi czyjeś zainteresowanie. Schodząc teraz ze wzgórza, czuła dotyk traw na obnażonych nogach poniżej drelichowej spódnicy - prezentu od Mary Mulliner, która dostała ją na Gwiazdkę od męża i nigdy nie nosiła. Sarah miała też na sobie cienką, błękitną koszulkę, a nawet założyła stanik, którego nie używała od opuszczenia farmy Mullinerów. Nie miała warunków do mycia włosów, ale te były dość długie, aby je upiąć, co też zrobiła.

Doszła do drogi i mogła już dostrzec przed sobą miasto. Czując się dziwnie zdenerwowana bez swego pistoletu, uśmiechnęła się.

- Mój pistolet - szepnęła, myśląc o tym, że przed wojną prawie nigdy nie dotykała broni, a od jej wybuchu zawsze ją nosiła za paskiem rajstop i razem z nią spała.

Ruszyła drogą do Savannah ku portowym dokom, gdzie według słów Kleinschmidta miała być ukryta łódź.

ROZDZIAŁ XI

Rourke zapalił cygaro. Swą zapalniczkę zostawił razem z bronią i motocyklem. To było oczywiste posunięcie. Benzynowe zapalniczki wymagają paliwa, nie były więc w powszechnym użyciu. Nikt prócz Rosjan i nielicznych, wybranych Amerykanów, którzy z nimi współpracowali, nie posiadał paliwa. John użył zapalek, osłaniając dłonią płomień przed lekkim wiatrem. Stał na końcu drewnianego mola i patrzył na przymocowaną tam, okazałych rozmiarów łódź rybacką. Łódź nazywała się "Stargazer II" - była to nazwa, którą przypomniał sobie z wyuczonej na pamięć listy, podarowanej ongiś Paulowi Rubensteinowi przez kapitana Reeda. Kapitanem "Stargazera II" miał być Cal Summers, lokalny pracownik Wywiadu Wojskowego. Rourke miał nadzieję, że to się nie zmieniło. Wyrzucił spaloną zapalniczkę i zaczął iść wzdłuż doku, w kowbojskim kapeluszu nasuniętym na oczy.

Na pokładzie pracował jakiś człowiek. Było na tyle wcześnie, że nie wszyscy tutejsi rybacy już wypłynęli, a Rourke rozumiał, że trudności z paliwem nie pozwalają wszystkim łodziom co dzień wypływać na połów. Rybołówstwo w ocalałych miastach wybrzeża - co powiedział mu Reed, a potwierdziły rozmowy z innymi osobami - było ważną częścią gospodarki. Jeszcze rok, a przeciętny Amerykanin, który przeżył Noc Wojny, będzie przymierał głodem. Kiedy Rosjanie zamienili centrum kraju w nuklearną pustynię, zniszczyli tym samym wiele głównych obszarów uprawnych Ameryki. Utrata Kalifornii, a wraz z nią zbiorów warzyw i owoców z doliny Imperia była dodatkową katastrofą. Floryda została tak dotkliwie zbombardowana, że bardzo niewiele można tam było wyhodować. Rourke pokręcił gwałtownie głową. Wraz z głodem nadejdzie jeszcze większa przemoc i gwałt

Zatrzymał się na pomoście tuż za rufą "Stargazera II". Pod sklepieniem stał mężczyzna pracujący w pobliżu przyrządów nawigacyjnych.

- Przepraszam! - zawołał doń Rourke.

- Czego chcesz? - odparł człowiek nie oglądając się.

Rourke uśmiechnął się, kuląc ramiona przed zrywającym się wiatrem. Bez skórzanej kurtki, kowbojska koszula, którą nosił, okazała się raptem nieodpowiednia.

- Wchodzę na pokład. Pan jest kapitan Cal Summers? - zapytał, stawiając krok z pomostu do łodzi.

Mężczyzna odwrócił się, a gdy to zrobił, spojrzenie Rourke'a pobiegło w stronę jego pasa. Nie było tam żadnej wypukłości, ale sweter podniósł się nieco, gdy mężczyzna się poruszył.

- Jazda z mojej łódki, kolego - stwierdził stanowczo mężczyzna w swetrze.

- Jeśli pan jesteś Cal Summers, to mam interes - kontynuował Rourke cichym, równym głosem.

- Jestem Cal Summers, ale nie mam z tobą żadnych interesów, kolego. A teraz spływaj, no jazda!

Rourke postąpił krok naprzód, oglądając się przez ramię i upewniając, że nikt nie patrzy. Kiedy człowiek w swetrze zaczął się ruszać, lewa ręka Johna wysunęła się do przodu, chwytając rękojeść pistoletu pod swetrem.

Zanim Cal Summers zdążył zareagować, broń była już w dłoni Rourke'a, który odskoczył i cofnął się ku rufie.

Trzymając zdobycz tuż przed sobą, powiedział na wpuł do siebie:

- Smith and Wesson 662,5, z uchwytem Barami Hip... Nieźle...

Summers ruszył ku niemu, Rourke podniósł wylot obciętej lufy nierdzewnego rewolweru.

Rybak zatrzymał się. Rourke ponownie rzucił spojrzenie za siebie, by sprawdzić, czy nikt ich nie widzi, po czym obrócił broń na palcu lewej dłoni i podał ją, skierowaną rękojeścią do przodu, Summersowi.

Kapitan, strzelając oczyma na lewo i prawo, porwał pistolet i wepchnął z powrotem za pas pod swetrem.

- Czego do diabła chcesz? Kim jesteś?

- Nie tutaj - odparł John. - Wejdźmy do środka.

- A więc - pod pokład - rzucił mężczyzna.

Cal zaczął schodzić na dół. Za nim, rozglądając się uważnie na boki, Rourke.

ROZDZIAŁ XII

Sarah zatrzymała się. Nagły wiatr szarpnął jej spódnicą, przesywając ciało chłodem. Spojrzała wzdłuż mola. Na przeciwnym końcu dostrzegła nazwę, której kazał jej szukać Kleinschmidt - "Ave Maria". Łódź zdawała jej się okropnie wielka, ale ruszyła pomostem, zdecydowana tak czy owak przyjrzeć się jej bliżej. Przy nabrzeżu, jeden przy drugim, przycumowane były kutry rybackie, tylko kilka miejsc było pustych. W pobliżu nielicznych łodzi kręcili się ludzie.

Raptem stanęła znowu, czując biegnący po plecach dreszcz, którego nie wywołało zimno. Zobaczyła kowbojski kapelusz, jaki czasami nosił John. Zastanawiała się, co na rybackiej łodzi robi człowiek w szarym Stetsonie.

Postać w kapeluszu wydawała się jej znajoma.

- Dziwne - mruknęła, po czym poszła dalej. Zerknęła na nazwę, wysoki człowiek w kowbojskim kapeluszu schował się już pod pokład. Łódź zwała się "Stargazer II". Kiedy zmierzała ku "Ave Marii", na końcu mola obejrzała się jeszcze na "Stargazera II". Ale mężczyzny, który przez mgnienie oka przypomniał jej Johna, nie było już widać.

ROZDZIAŁ XIII

Rourke szukał wzrokiem popielniczki, a nie znalazłszy jej, zaczął: strącać popiół z cygara do lewej dłoni.

- No więc, kimże do cholery jesteś? - Cal Summers opierał się o przeciwległą ścianę kajuty przy sekcji dziobowej, z prawą dłonią w okolicy paska spodni - blisko rewolweru pod swetrem.

- Nazywam się John Rourke. Wywiad armii podał mi pańskie nazwisko i nazwę łodzi.

- Której armii? - warknął Summers.

- Naszej... czy też tego, co z niej pozostało - odparł Rourke cicho. - Kapitan Reed, zna go pan?

- Tak. A skąd mam wiedzieć, że ty go znasz?

- No cóż, - mówił Rourke z namysłem - gdybym był Rosjaninem, już bym miał powód, żeby cię powiesić.

- Gówno prawda... Chciałbyś dotrzeć przeze mnie do innych, żeby się dowiedzieć, gdzie chowa się reszta ludzi z ruchu oporu.

- Jakie bliskie kontakty macie z U.S. II? - zapytał John.

- Nie twój zawszony interes. Rourke uśmiechnął się.

- Słyszałeś o tym, jak Rosjanie przydybali Chambersa?

- Może... - mruknął Summers.

- A więc słyszałeś o facecie, który wyciągnął go z tej kabały?

- Był z nim jeszcze jeden gość - rzekł Summers.

- Tak, ale Paul Rubenstein jest na Florydzie, próbuje znaleźć swoich rodziców.

- Nazwisk może nauczyć się każdy - burknął kapitan.

- No więc, czego chcesz?

- Było coś szczególnego w pistolecie tego faceta - zaczął Summers. - Przynajmniej tak słyszałem.

Rourke uśmiechnął się.

- Nie wiem, od kogo to słyszałeś, ale chodzi ci chyba raczej o pistolety niż pistolet. - Noszę zwykle parę nierdzewnych Detonics'ów. Zostawiłem je z resztą ekwipunku tuż za miastem. O to ci chodziło?

- Przepraszam - powiedział Summers, robiąc kilka kroków przez kabinę i wyciągając prawą dłoń. Rourke uściśnął ją, po czym kapitan cofnął się. - Zaraz... Gdzieś tu mam jakąś popielniczkę. - Zniknął w pomieszczeniu, które John uznał za kuchnię, by za chwilę pojawić się ponownie. W lewej ręce miał okrągłą, plastikową popielniczkę, którą postawił na płaskiej barierce obok Rourke'a.

Skinąwszy głową w podziękowaniu, John zapytał:

- Nie jesteś trochę lekkomyślny z tym pistoletem? Ktoś mógłby zobaczyć.

- Może i tak - zgodził się Summers. - Widzisz, komuniści wyłapali większość ludzi z ruchu oporu, może paru uciekło. Ich żony, dziewczyny, siostry, i co tam chcesz, wszystkie te kobiety i dzieci są na jednej z przybrzeżnych wysp. Próbuję przemycać tam żywność i niektóre medykamenty, kiedy tylko mogę. Ale w każdej chwili komuniści mogą mnie wykryć. I wolę raczej utopić się z bronią w rękę,

niż dać się KGB obedrzeć żywcem ze skóry, czy coś w tym stylu... Słyszałem trochę o ich metodach. Byłem kiedyś w wojsku.

- A więc jak to było? - zainteresował się Rourke. - Byłeś żołnierzem zawodowym, przeszedłeś do rezerwy, czy coś takiego, a potem, po wybuchu cię zwerbowali?

- Związałem się z ruchem... Ten kapitan Reed i jakiś sierżant wytropili mnie, kiedy już sam zgłosiłem się do ruchu oporu. Reed przywiózł mi radio, na wypadek gdybym musiał się z nim skontaktować. Nie powinienem był go brać - stwierdził Summers rzeczowo.

- Dlaczego?

- No cóż, w U.S. II jest chyba jakiś zdrajca, musi być. Ruch zaplanował wielką akcję na zeszły piątek w nocy...

- A jaki właściwie dzisiaj dzień? - wtrącił Rourke.

- Czwartek.

- No tak... I co się stało?

- Nadałem przez radio wiadomość, używając szyfru, którego czerwoni mieli nie złamać, tak przynajmniej mówił Reed. I kiedy akcja się zaczęła, zjawili się Ruscy. Zaskoczyli chłopaków z ruchu, niektórych zabili, resztę aresztowali. Zabrali ich do starej fabryki włókienniczej, z której zrobili więzienie. Z tego co wiem, nie ma tam luksusów, ale karmią ich i pilnują, niektórych też rozstrzelują. Myślę, że chyba muszą, uczciwie mówiąc. Może my byśmy robili to samo na ich miejscu. Oni robią, co muszą, i my robimy, co musimy, tak myślę. Jakaś pieprzona, duma zabawa w zabijanie ludzi. Chciałbym, żebyśmy mogli im wszystkim dołożyć i z powrotem wysłać do Moskwy. Może kiedyś się to uda, nie?

- Możemy tylko próbować - odparł Rourke wymijająco. - Ale mam teraz pilniejszy problem. Więc sądzisz, że nie złamali naszego szyfru, co?

- Przez dziesięć lat pracowałem w wywiadzie, zanim postanowiłem odejść, a potem aż do wojny byłem w rezerwie. Oni nie złamali szyfru, mogą dać głowę.

- Więc droga radiowa jest bezpieczna? - zapytał Rourke.

- To dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Właśnie tak - przyznał John. - Wczoraj rano zabrałem ze sobą kobietę. Jest naukowcem. Z kilkoma swoimi ludźmi odkryła pewną rzecz, o której musimy jak najprędzej powiadomić U.S. II. Właśnie po to tu przyszedłem.

Pomyślałem, że radio jest najszybszą drogą wysłania tej informacji.

- Jeśli musisz. Ale ja nie ufam tym ludziom z U.S. II. Jest tam jakiś szczur z czerwonym nosem. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem, ale nie mam żadnego wyboru - stwierdził Rourke stanowczo. - Gdzie jest to radio?

- Pomożesz mi odbić od brzegu. Chyba umiesz pływać... Ta woda jest dla mnie ostatnio za zimna.

John zmierzył mężczyznę wzrokiem, kiwając głową. Zsunąwszy Stetsona z powrotem na oczy, wyszedł na pokład. Stał tam, czując wiatr na twarzy, wdychając słony zapach morza. Idąc za wskazówkami Summersa, zaczął wiosłować, podnosząc wzrok na pomost. Stała tam jakaś kobieta - zdało mu się to dziwne - przyglądając się dużej łodzi rybackiej, o wiele większej od pozostałych. Rourke zmrużył oczy pod światło. Łódź nosiła nazwę "Ave Maria". Zwijając linę, przypatrywał się kobiecie. Wiatr podrywał jej z tyłu błękitną drelichową spódnicę, w którą była ubrana. "Ma ładne nogi" - pomyślał i przez chwilę przypominała mu Sarah. Kręcąc powoli głową, gdy kobieta zniknęła za jakimiś belkami na końcu pomostu, wrzucił do wody niedopałek cygara.

Jakkolwiek miały potoczyć się wypadki z przewidywanym trzęsieniem ziemi na Florydzie, chciał już mieć tę sprawę za sobą. Zastanawiał się, ile czasu pozostało mu na odnalezienie Sarah i dzieci. Wiatr wzmógł się i John zsunął rondo Stetsona na oczy.

ROZDZIAŁ XIV

Sarah oparła się o stertę belek, ułożoną na skraju pomostu. Zimny wiatr chłostał ją po twarzy. Spojrzała na "Ave Marię".

- Zbyt duża - szepnęła do siebie.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby Harmon Kleinschmidt był przez najbliższy tydzień, lub nawet dłużej, wystarczająco silny do sterowania kutrem. Odbić od brzegu mógłby pomóc jej Michael, ale jedynymi łodziami, z jakimi miała dotychczas do czynienia, były małe motorówki. Jeden raz prowadziła kiedyś nieco większą łódź, kiedy John jeździł na nartach wodnych. Potrząsnęła głową, wmawiając sobie, że nie potrafi nią sterować. Musiałaby coś ukraść, coś mniejszego. Ruszyła z powrotem pomostem, zauważając "Stargazera II", który wcześniej zwrócił jej uwagę. Za kołem sterowym stał człowiek w swetrze i wełnianej czapce, łódź odpływała od mola. Nie było znaku czyjejkolwiek innej obecności.

Łódź obok miejsca cumowania "Stargazera II" wydawała się mieć odpowiedni rozmiar, ale Sarah zastanawiała się, w jaki sposób kradnie się coś takiego. Wzruszywszy ramionami, zaczęła iść przód, kuląc się w przeszywającym chłodem wietrze.

- Co zrobiłby John? - zapytała siebie. Od Nocy Wojny nieustannie zadawała sobie to pytanie.

ROZDZIAŁ V

W pożyczonym płaszczu sztormowym, zostawiwszy swój kapelusz pod pokładem, Rourke dołączył do Summersa siedzącego za sterem łodzi rybackiej.

- Jak daleko wypływamy?! - zawołał, przekrzykując wiatr i hałas silnika.

- Jak daleko zechcemy. Nie ma chyba takiego miejsca na świecie, gdzie by Ruscy nie mogli dotrzeć... Ale to tylko jeszcze parę mil. Nie chciałem, żeby mnie złapali z radiem (Rosjanie zabrali je ze wszystkich łodzi, zanim pozwolili nam znów ich używać), więc wsadziłem aparat do wodoszczelnego pojemnika i schowałem na dnie pod skałami. Trzeba tam kawałek podpłynąć, ale tu nie jest bardzo głęboko. Kiedyś był ze mną ten facet, Harmon Kleinschmidt i on nurkował za każdym razem, kiedy radio było potrzebne. Zabili go chyba przy tamtej wpadce, chociaż nie jestem pewien. Z tego co wiem, nie ma go jednak w więzieniu. Umiesz pływać, tak?

Rourke skinął głową nie uśmiechając się. "Woda - pomyślał - powinna być cieplejsza niż powietrze."

Po następnym kwadransie Rourke spostrzegł, że łódź zwalnia. Wrócił z rufy, by znów stanąć przy Calu Summersie. - Masz jakiś sprzęt do nurkowania?

- Nic. Ruscy zabrali. Wymyślili chyba, że sprzętu do nurkowania można użyć do podkładania min, czy coś takiego. Nie będzie ci to potrzebne, jeśli umiesz dobrze wstrzymać oddech.

- Wspaniale! - krzyknął Rourke poprzez wiatr. Warkot silnika cichł, kiedy łódź zwolniła, poruszając się teraz niemal niedostrzegalnie.

Rourke zaczął ściągać z siebie pożyczoną sztormówkę, widząc, jak Summers sprawdza kompas. Oslonięta swetrem twarz starego człowieka wykrzywiła się w uśmiechu, oczy rozbliły.

- Dokładnie nad radiem, całkiem nieźle. Cholera, powinienem był służyć w marynarce, a nie w armii!

Rourke roześmiał się, drżąc przy rozpinaniu koszuli. Opierając się o reling bakburty, zsunął kowbojskie buty i zdjął Levis'y, po czym skarpetki.

- Chcesz, żebym ci pottrzymał zegarek?

Rourke spojrzał na kapitana i uśmiechnął się. - To Rolex, bardziej wodoszczelny niż ta krypa. Tak czy owak, dzięki.

Summers wskazał miejsce o jakieś sześć stóp od kadłuba.

- Tam, prosto w dół - rzekł.

John przerzucił przez reling lewą nogę, potem prawą. Stojąc tam, powiedział:

- Jeśli zjawią się Rosjanie, daj mi znać. - I nie czekając na odpowiedź odepchnął się nogami, skacząc do wody. Wiatr i temperatura wody przejmowały takim chłodem, że zaczął trząść się z zimna.

Rzucił jeszcze spojrzenie na łódź, widząc, jak Summers oddaje szybki salut, po czym zanurkował, zamykając usta przy przecinaniu powierzchni. Czuł ucisk w płucach, gdy opuszczał się w dół. "Przydałby się chociaż pas z ciężarkami" - pomyślał.

Woda była w miarę czysta i dostrzegał już piaszczyste dno. Klarowość wody wskazywała, że nic ostatecznie nie poruszało dna. Rourke zanotował w umyśle, żeby sprawdzić się licznikiem Geigera, na wypadek gdyby ocean tutaj był radioaktywny. Jednakże wątpił, czy Rosjanie pozwoliliby wówczas na łowienie ryb. A był niemal pewien, że okresowo kontrolują wodę. "Zwykły zdrowy rozsądek" - rozumował Rourke.

Wreszcie Rourke dotknął stopami dna. Natychmiast podniósł się z niego obok piasku i mułu. Ujrzał skupisko skał, o których mówił Summers i pokonał dzielące go od nich kilka stóp. Nawet gdyby kapitan nie opisał mu ich, myślał Rourke, sam zauważyłby w tym kopcu coś nienaturalnego. Kłęby mułu zgęstniały, kiedy John dotarł do skał. Wówczas zdjął ze szczytu kopca płaski kamień i upuścił go na dno obok, mącąc wodę wielką ilością mułu.

Rourke poruszał przed sobą lewą dłoń, jak robi się to w powietrzu rozpędzając kłęby dymu. Wewnątrz stożka z kamieni znajdował się wodoszczelny pojemnik. Przemknęła obok niego jakaś mała rybka, której nie zdążył rozpoznać. Sięgnął ręką w dół, ostrożnie podnosząc radio, na wypadek gdyby jakieś małe, morskie stworzenie zdecydowało się wybrać sobie to miejsce na gniazdo. Małe, morskie stworzenie, które potrafi kąsać lub kłuć.

W wodzie ciężar tego przedmiotu wydał mu się zbyt mały, ale uznał, że jest to jednak radio. Wodoszczelne opakowanie nie wykazywało śladów uszkodzenia. Pozostawiając kamień ze szczytu tam, gdzie upadł, z radiem pod lewą pachą, Rourke odepchnął się od dna i zaczął pięć się ku powierzchni. Rzucił okiem na Rolexa.

Był już pod wodą ponad dwie minuty i klucie w płucach wskazywało mu, że czasu zostało niewiele.

Widział światło sączące się przez powierzchnię, gdy dotarł do niej, czując, jak radio robi się nagle cięższe. Wynurzył głowę. Otworzył usta i wypuścił ciężki oddech, by chwycić łąpczywie powietrze przez usta i nos. Rozglądając się wokół, ujrzał łódź - wynurzył się od strony sterburty.

Ostrożności nigdy nie za wiele - myślał. Nie zawołał na Summersa. Zamiast tego podpłynął kilkanaście stóp do kadłuba. Przy burcie znajdowała się niewielka drabinka. Chwyciwszy się najniższego szczebla i opierając na nim brzeg radia, Rourke podciągnął się prędko dwa stopnie w górę, po czym zaczepił stopę na najniższym, wciąż trzymając radio. Zajrzał nad burtą do wnętrza łodzi. Summers stał, patrząc na lewo. Obserwując go, Rourke uśmiechnął się.

- Kapitanie... - powiedział cichym głosem. Summers obrócił się jak fryga, sięgając po broń". Jego twarz wykrzywił grymas, który wyrażał coś pośredniego między wściekłością i zaskoczeniem.

- Mój Boże, człowieku! O mało nie dostałem zawału serca ze strachu! - Kapitan schował rewolwer z powrotem za pas i ruszył przez pokład.

- Zachowałem tylko względy bezpieczeństwa - odparł Rourke. - A teraz pomóż mi z tym przeklętym radiem!

ROZDZIAŁ XVI

Warakow usiadł za biurkiem, zsuwając z nóg buty. Uśmiechnął się, patrząc wpierw na swoją bratanicę Natalię, potem na Konstantina Mikłowa, by wreszcie wrócić wzrokiem do Natalii.

- Ślicznie wyglądasz, moja droga... Zresztą jak zwykle - powiedział do niej.

Dziewczyna uśmiechnęła się, nic nie mówiąc.

Warakow również milczał przez chwilę, oceniając ją. Była ubrana na czarno - jak zawsze od śmierci Karamazowa - ale w czerni wyglądała pięknie i Warakow skonstatował, że wolałby widzieć ją w tym kolorze do końca swych dni, aniżeli myśleć o tym, że Natalia żyje z tym bydlęciem, które poślubiła.

Jej ciemne włosy spływały na ramiona i niżej, a w przeciwieństwie do jasnoniebieskich oczu biel skóry zdawała się jakaś nierzeczywista, wręcz zbyt doskonała. W tym momencie Warakow zdał sobie sprawę, że rozumie, dlaczego Karamazow bił ją, choć w żadnym razie nie był w stanie mu tego wybaczyć, mimo że pułkownik już nie żył.

Karamazow chciał w jakiś sposób skalać jej doskonałość, tę boską urodę. "Pewnie musiało być ciężko - myślał Warakow - człowiekowi pokroju Karamazowa - karierowiczowi i rabusiowi, którego Brytyjczycy nazwaliby przed drugą wojną światową w dniach ich imperium zakałą - żyć z wcielonym pięknem."

Westchnął napotykać spojrzenie Natalii.

Uśmiechnął się do niej, mówiąc poprzez biurko:

- Starym ludziom zdarza się czasem, że myśli odbiegają od innych rzeczy. To część życia.

Następnie zwrócił się do pułkownika Mikłowa:

- Zreferowano panu problem Kubańczyków, wyprawy przez granicę z Florydy i tak dalej?

Mikłow skinął głową. Warakow lubił jego małomówność.

- Dobrze... Natalia oficjalnie obejmuje funkcję asystentki. Jeśli oni dowiedzą się, że jest z KGB, to trudno. Nie mogą żadnemu z was nic zrobić. Zgnieciemy ich i doskonale zdają sobie z tego sprawę.

- A teraz ty, moja droga - mówił znów do Natalii. - Nie jest to znowu tak wyjątkowe zadanie wywiadowcze, chcę jedynie, żebyś dowiedziała się wszystkiego, co będziesz mogła, zwłaszcza tego, co oni chcą utrzymać przed nami w tajemnicy. Jeśli będą cię podejrzewać o przynależność do KGB, dostarczą ci fałszywych informacji. Dlatego wybrałem właśnie ciebie. Pragnę, aby to wszystko zostało przeprowadzone rzetelnie od początku do końca. Chcę poznać ich prawdziwą siłę, prawdziwe zamiary.

- Jak daleko mam się posunąć, towarzyszu generale? - zapytała ciepło.

Warakow odparł z uśmiechem:

- To zależy w zupełności od twojej rozwagi.

- Nie to miałam na myśli - zaśmiała się niemal, z lekko zarumienionymi policzkami.

- Wiem, co miałaś na myśli. Rób to, co należy - oświadczył. - Dopóty, dopóki nie wystawia to na niebezpieczeństwo bezpośrednio ciebie lub pułkownika Mikłowa. Ani negocjacje dyplomatyczne

pułkownika, ani zdobyte przez ciebie informacje nie przyniosą żadnego pożytku, jeśli zginiecie w jakimś nieszczęśliwym wypadku. Rozumiesz?

- Tak, towarzyszu generale.

- Dobrze - mruknął Warakow. Spojrzał na poczynione przez siebie notatki, po czym zwrócił się ponownie do Mikłowa. Zauważył, że zebranie trwało już ponad godzinę.

Mikłow i Natalia Tiemerowna mieli wyruszyć wczesnym wieczorem z lotniska wojskowego na północny zachód od miasta. Warakow zapytał Mikłowa, czy chciałby kieliszek wódki, ale ten odmówił, po czym generał odesłał go. Było późne popołudnie i generał zdecydował, że dość pracy na ten dzień. Siedząc w milczeniu naprzeciwko Natalii, podniósł oczy znad biurka i zapytał znienacka:

- Może poszłabyś ze mną na spacer nad jezioro? Jest zimno, wiem, ale...

- Dobrze, wujku - odparła cicho.

- To dobrze... Chcę porozmawiać. Tak niewielu jest dzisiaj ludzi, z którymi można pomówić.

Generał wsunął stopy w buty, po czym wyszedł zza biurka i pochylił się, aby je zasznurować. Nagle spojrzał na stojącą obok Natalię.

- Zaraz, wujku... Pomogę.

I zanim zdążył odmówić, padła już na kolana przy jego stopach.

- Nie jestem dzieckiem - próbował oponować.

- Kobieta może zawiązać mężczyźnie buty. To nie oznacza nic takiego.

- Uhm - chrząknął, ale nie spierał się.

- No i już - powiedziała, wstając bez wysiłku.

- Dziewczyno! - zawołał generał, nie mogąc sobie jak zwykle przypomnieć imienia wysokiej kobiety, która była jego sekretarką. Ale ta przychodziła, jakkolwiek ją nazywał.

- Towarzyszu generale!

Warakow popatrzył na sekretarkę, potem na Natalię. Były w zbliżonym wieku - przed trzydziestką. Przypuszczał, że pod ubraniem ich kształty też są podobne.

- Dziecko - zwrócił się łagodnie do sekretarki. - Mój płaszcz, proszę.

- Tak jest, towarzyszu generale. - Dziewczyna skrzywiła się nieco.

Zawołał za nią, zatrzymując ją w pół kroku:

- Twoja spódnica jest wciąż za długa!

Ruszyła dalej, a Warakow przeniósł wzrok na Natalię, której policzki spłonily się lekko.

- Może nie jest? - zapytał.

- Tak, wujku... ale wprawiasz ją w zakłopotanie. Nie do mnie należy to mówić, ale...

- Kiedy wrócisz z Florydy, sama jej o tym powiesz?

- Jak sobie życzysz, wujku - powiedziała Natalia, wciąż z rumieńcem na twarzy.

Następnie opuścili muzeum. Warakow zauważył, że Natalia uśmiechnęła się do sekretarki, gdy ta przyniosła płaszcz. Zeszli po schodach i ruszyli ku temu, co dawniej nazywało się Lake Shore Drive. Ruch pojazdów na ulicy był duży, ale przekroczyli ją bez problemów, mając za sobą słońce, a z przodu - chłodny wiatr znad wody.

- Nie jest ci za zimno, Natalio? - zapytał generał.

- Nie, wujku.

Widział, jak dziewczyna otula się długim, czarnym futrem. Wziął bratanicę pod rękę, prowadząc chodnikiem wzdłuż wąskiego półwyspu w stronę samego jeziora.

- Czy to futro jest naturalne?

- Tak, wujku - odparła, a jej głos wydał mu się dziwny. Sądził, że jest jej zimno, ale ma na tyle taktu, by o tym nie mówić.

- Dobrze się czujesz, nie jest tu zbyt zimno?

- Nie, czuje się dobrze - odrzekła.

- Dużo kosztowało?

- Co, wujku?

- Mam na myśli to futro.

- Owszem.

- Czy teraz jest łatwiej?

- Jak to?

- Chodzi mi o odejście twego męża. Powinienem o to zapytać. Być może samotność jest dla ciebie udręką. Właściwie, jestem pewien, że tak - powiedział, odwracając się do niej. - Płaczesz? Obserwował jej błękitne oczy.

- To przez wiatr, wujku - rzekła.

Z przodu widział już wody jeziora. "Wzburzone" - pomyślał.

- No tak. Ale czy nie jest trochę łatwiej? Zatrzymał się. Popatrzył w dół na fale, które opływały półwysep. Potem spojrzał znów na Natalię. W oczach wciąż miała łzy.

- Nie. Rourke go zabił. Obiecał, że tego nie zrobi, a potem go zamordował. Nie!

- Czy ty mogłabyś... Czy wciąż kochasz Rourke'a? - zapytał Warakow. - Czy mogłabyś go zabić za to, co uczynił?

- Tak - powiedziała, hamując łzy. - Kocham go, ale mogłabym go zabić. On nie miał żadnego prawa, żadnego powodu, żeby...

Wiatr wzmógł się. Warakow przerwał bratanicy:

- Żadnego prawa, żadnego powodu... Być może on uratował ci życie, ten Rourke. Karamazow był zwierzęciem. Ty o tym wiesz. Ja o tym wiem. Kto wie, może Rourke również to wiedział.

- To było zabójstwo z premedytacją, wujku. Jak ta walka, którą prowadził, zanim helikoptery znalazły nas w deszczu, tam na pustyni. Opowiadałam ci - dołączyliśmy do bandytów tylko po to, żeby ratować życie mieszkańców miasta, których oni chcieli zabić. Rourke walczył z przywódcą bandytów i dwoma jego ludźmi. Potem strzelał się z jeszcze jednym... i zabił go. Wtedy myślałam, że Rourke jest szalony. Ale... - Odwróciła się. W silnym wietrze generał ledwie słyszał jej słowa.

- Cieszyłam się, kiedy Rourke przeżył.

- Natalio... - zaczął Warakow.

Dziewczyna obróciła się twarzą ku niemu. Nie kryła już łez.

- Z Władimirem walczył tak samo, zabił go jak tamtego bandytę.

- Mówiłaś mi kiedyś, że ten bandyta popełnił okropną rzecz. Co to było?

- Nie pamiętam - powiedziała.

- Pamiętasz... zabił kobiecie małe dziecko, tak?

- Tak - przyznała słabym głosem.

- A jak sądzisz, dlaczego Rourke zabił Władimira Karamazowa?

- Nie wiem.

- Z zazdrości? Żeby mieć ciebie?

- Nie... nie z zazdrości, nie dla mnie - niemal krzyczała, patrząc mu w twarz.

- Masz racje i jej nie masz - oświadczył Warakow. - Nigdy bym ci o tym nie powiedział, ale widzę, co się z tobą dzieje od tamtego czasu. Gryziesz się, obwiniasz, ale nie powinnaś. Rourke zabił twego męża tylko dlatego, że ja go do tego zmusiłem, żeby ratować partyzantów ruchu oporu, schwytanych wraz z nim. Rozkazałem mu uśmiercić Karamazowa. - Generał obserwował jej twarz: rozszerzone oczy, usta otwarte, wargi rozchylone. Przestała płakać. - Ale on najwyraźniej nie chciał tego zrobić, więc zabił Władimira w najuczciwszy sposób, jak mógł - w pojedynku na pistolety, jak na amerykańskich westernach. Rourke zabił tego człowieka, ponieważ go do tego zmusiłem. On pociągnął za cyngiel. Ja wycelowałem broń - zakończył.

- Nie, nie mogę uwierzyć, że mógłbyś to zrobić.

- Twój Rourke jest inteligentny, bystry. Mógłby się zgodzić, a potem pomóc w ucieczce swoim towarzyszom, nie zabijając Władimira. Ale podałem mu powód, powiedziałem, co Karamazow uczynił tobie, dlaczego musi umrzeć.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie, odwracając się i uciekając od niego przez półwysep.

Warakow patrzył za nią, wzruszając ramionami, nie próbując jej gonić. Idąc za nią, pochylał się na wietrze i przytrzymywał daszek czapki. Krzyknął tylko raz: - Natalia!

Dziewczyna nie przestała biec. Widział ją na końcu półwyspu, gdzie zatrzymała się, bo nie było dokąd dalej uciekać.

Zabrało mu kilka minut, zanim dotarł na kraniec cypla, gdzie znajdowało się muzeum astronomii. Bolały go stopy i zwolnił krok. Podeszedł do niej.

- Natalio Tiemerowna, czy jesteś w stanie nadal kochać swego wuja?

Zatrzymał się kilka stóp za nią. Dziewczyna obróciła się, wyciągając ręce i podbiegła kilka kroków ku niemu. Zarzuciła mu ramiona wokół szyi. Nie mógł widzieć jej twarzy. Patrzył na fale, czując jej ciało przytulone do torsu i brzucha, słysząc przez wycie wiatru spazmy szłochu.

- Potrafisz nadal kochać swego wuja? - powoził pytanie cichym głosem, z ustami tuż przy jej uchu.

- Tak - odparła słabo.

Warakow uśmiechnął się. Nie zadał następnego pytania. Wiedział, że odpowiedź dotyczy Rourke'a i obawiał się jej.

ROZDZIAŁ XVII

Sarah Rourke zsunęła się z siodła Tildie, ześlizgując dłonie po szyi zwierzęcia. Zaczęła wycierać pianę z sierści konia. Przypomniała sobie, że wciąż nosi spódnice. Sięgnęła po dzinsy uwiązane przy jukach i otarła pot z dłoni. Potem wzięła spodnie i wyjęła z worka pistolet, prowadząc klacz ku domkowi farmerskiemu.

Spoglądała w jedną i drugą stronę, by upewnić się, że wokół nie ma śladu wojsk sowieckich lub bandytów. Zatrzymawszy się przy drzwiach, zapukała.

- Michael, to ja, mama - powiedziała głośno.

Drzwi otworzyły się i weszła do środka, ciągnąc za sobą Tildie i pochylając się, by ucałować syna.

- Czy coś się zdarzyło?

- Nie, nic. Znalazłaś te łódź, mamó? Pocałowała chłopca znowu.

- Znalazłam, ale...

- Pani Rourke, naprawdę znalazła pani te łódź?

Odwróciła się. Było jej dziwnie słyszeć, jak ktoś zwraca się do niej inaczej niż jako do matki. Spojrzała w głąb pokoju. Na tapczanie siedział Harmon Kleinschmidt, plecami oparty o ścianę. - Nie powinien pan siedzieć, Harmon, nie przy tych ranach - powiedziała.

- Ale znalazła ją pani?

Patrzyła przez chwile na Kleinschmidta, następnie odwróciła się do Michaela i podała mu wodze klaczy, mówiąc:

- Michael, wytrzymaj ją i nakarm. Niebawem będzie mi znowu potrzebna.

Chłopiec oddalił się, a Sarah Rourke ponownie zwróciła się do Harmona. Annie spała na jakichś kocach na podłodze i Sarah przechodząc przez pokój, pochyliliła się nad nią, pocałowała w czoło i poprawiła koce. Wciąż była zziębnięta.

- Odnalazłam pańską łódź, panie Kleinschmidt.

- Widziała pani "Stargazera II"? Pracowałem na nim kiedyś.

- Owszem, widziałam. Potrzebuję łodzi takich rozmiarów. Może byśmy zapytali właściciela, skoro pan kiedyś na niej pracował?

Przystanęła obok tapczanu, sprawdzając machinalnie bandaż. Nie wymagały jeszcze wymiany, orzekła:

- Nie mogę ryzykować uszkodzenia jego własności. Poza tym mogliby go obserwować, szukając mnie.

Sarah skinęła głową, nic nie mówiąc.

- Ale widziała pani "Ave Marię"... Widziała pani?

- Pan nie może prowadzić tej łodzi, Harmon - powiedziała, patrząc nań bez wyrazu. - A ja nawet z pomocą dzieci nie potrafię sterować czymś tak wielkim. Potrzebuję mniejszej, jak "Stargazer II". Potrzebne jest miejsce, gdzie można zostawić konie. Musi istnieć jakiś sposób dostania się do łodzi.

Może mi pan pomóc?

- Tak, ale nie rozumiem, czemu nie chce pani "Ave Marii". Dlaczego?

Sarah wstała i weszła za koc zawieszony na sznurze, który przywiązała wcześniej w przeciwległym kącie domu. Nie chciała wówczas rozbierać się przy Harmonie Kleinschmidcie, który mógł lada chwila się ocknąć i obserwować ją. Za osłoną zaczęła grzebać w jednym z podróżnych worków. Była tam para różowych szortów, które wrzuciła razem z džinsami, pakując się w pośpiechu, kiedy wyjeżdżali z domu na farmie w północno-wschodniej Georgii, zaraz po bombardowaniu. Kusiło ją już nieraz, aby wyrzucić spodenki, ale trzymała je, na wypadek gdyby pogoda się polepszyła. Przyglądała się szortom przez chwilę.

- Dobry strój do pływania - mruknęła do siebie. Następnie, zaczawszy się rozbierać za parawanem z koca, zapytała Kleinschmidta:

- Co pan mówił, Harmon?

- Czemu nie "Ave Maria"? To dobry statek.

- No właśnie - statek - odparła Sarah, zdejmując koszulkę, potem stanik i kładąc je na wierzchu spódnicy. Założyła szorty i ponownie koszulkę.

- Nie potrafię go poprowadzić tak, żeby uciec Rosjanom, gdyby się za nami zjawili - powiedziała wreszcie.

- No dobrze, ale mogłaby pani zabrać na nią konie.

- Nie wezmę "Ave Marii", Harmon. To moje ostatnie słowo. - Wciągnęła podróżne buty i schyliła się, by je zasznurować. - Michael - powiedziała - przynieś mi ten duży nóż z drugiego worka, tylko ostrożnie! - Wychodząc zza parawanu, rozpuściła włosy. "Do diabła, powinnam je umyć! - myślała. - A zresztą, niedługo i tak będą mokre."

- Mamo, czemu założyłaś szorty? Na dworze jest zimno. Chyba nie...

Przerwała chłopcu:

- Nie mam ochoty pływać w džinsach, Michael.

- Pływać, pani Rourke? - zainteresował się Kleinschmidt.

- Zadałam sobie pytanie, Harmon, co zrobiłby w takiej sytuacji mój mąż. No cóż, mój mąż jest bardzo dobry w tego typu rzeczach... Zawsze był. Myślę, że nie jest już chyba żadną tajemnicą, że pracował w CIA, był fachowcem od spraw przeżycia w trudnych warunkach, a poza tym lekarzem. Nie wiem, gdzie teraz jest. Właśnie tym zajmujemy się z dziećmi - szukaniem go. Powtarzam sobie, że i on nas szuka. Wiem, że szuka - poprawiła się natychmiast - Gdyby John, to jest mój mąż, robił coś takiego, wróciłby nocą do portu, wszedłby do wody, podpłynął do którejś łodzi i ukradł ją. Wziąłby ze sobą nóż - mówiła, podnosząc do oczu ostrze narzędzia, które podał jej Michael. - I przypuszczam, że użyłby go w razie potrzeby - dodała.

- Nie mogę pani na to pozwolić, pani Rourke.

- Czuję się już i tak wystarczająco stara, Harmon. Nazywaj mnie po prostu: Sarah - uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ XVIII

- Cholera - burknął Paul Rubenstein. Postawił kołnierz, by zasłonić się przed wiatrem i zapytał, mrużąc pod nosem: - Czemu jest tak zimno w St. Petersburgu? - Rozejrzał się wokół, potem opuścił wzrok na Harleya oraz na "Schmeissera" wiszącego pod prawym ramieniem. Stwierdził, że w polu widzenia nie było nic, co mogłoby mu dać odpowiedź. Patrzył na drogę w dole, obserwując sunące po niej wojska. - Kubańczycy - mruknął do siebie.

Rubenstein zdjął okulary w drucianej oprawce, rozłożył stopkę motocykla, zsiadł i ruszył między drzewa, aby oddalić się od drogi i zasłonić przed wiatrem. Pochylił się nad ziemią i przykucnął. Żałował, że nie zaczął znowu palić.

W prześwitach drzew ciągle mógł dojrzeć drogę i bacznie ją obserwował, aby być pewnym, że oddziały wojsk, sunące poniżej nie zbaczą z obranego kursu, co mogłoby oznaczać, że w jakiś sposób wykryli jego obecność. Żałował, że nie zna hiszpańskiego. Wówczas, gdyby się do nich zbliżył, być może, mógłby się czegoś dowiedzieć.

- Nie każdy może być Johnem Rourke - powiedział półgłosem, uśmiechając się do siebie. Przez chwilę zastanawiał się, co robi jego kompan. Czy już odnalazł Sarah i dzieci? A jeśli nie, to jak długo jeszcze będzie kontynuował poszukiwania?

Obserwując drogę, Rubenstein grzebał w piasku czubkiem noża Gerber Mk II, który dał mu Rourke na podróż. Zaczął rozważać w myślach szczegóły ostatniej sytuacji, aby móc ułożyć jakiś plan. Przebywał już w okolicach St. Petersburga od blisko trzech dni. Samo miasto zostało częściowo zrujnowane; wszędzie wokół znajdowały się obozy dla internowanych i koncentracyjne. Oglądał twarze wewnątrz, za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Przekonał się, że większość ludzi to starcy i przeważnie wydają się być Żydami, jak on sam. Było to jednak tylko odczucie, wiedział o tym. Być może wcale nie byli Żydami; może tylko uzbrojone straże i drut kolczasty sprawiały na nim takie wrażenie - widział filmy o obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Zdecydował, że przynajmniej niektórzy musieli być Żydami.

Będąc nocą w mieście, zsiadł cicho z motocykla i przemknął się ukradkiem, omijając patrole komunistów kubańskich. Domu, w którym mieszkali jego rodzice, nie było. Stał wprawdzie budynek - jeśliby można zań uznać dach i trzy ocalałe ściany - ale po pożarze i widocznym splądrowaniu. Nie było ich tam. Sprawdził całe sąsiedztwo, usiłując przypomnieć sobie, które domy należały do znajomych jego rodziców. Żadnego adresu nie był pewien, ale i żaden dom w sąsiedztwie nie wydawał się zamieszkały ani nadający się do zamieszkania.

- Muszę - wyszeptał do siebie, odrywając wzrok od drogi i patrząc na gmatwaninę linii, które wykreślił w piasku długim ostrzem noża. Był jeden duży obóz, większy niż kilka pozostałych razem wziętych. Gdzieś tam w środku, wmawiał sobie, mógł być ktoś, kto znał jego rodziców i może wiedział, co się z nimi stało. Jeśli nie żyli, musiał o tym wiedzieć. Na pewno.

Obozy koncentracyjne, przekonywał siebie, zostały utworzone po to, by pilnować ludzi wewnątrz, a nie na zewnątrz. Młody człowiek uśmiechnął się. Może po oględzinach głównego obozu

i zorientowaniu się, co jest w stanie działać, będzie mógł uwolnić niektórych więźniów. Rourke by tak zrobił, zdecydował.

ROZDZIAŁ XIX

Rourke zatrzymał Harleya na piasku. Mógł teraz ocenić, jak bardzo Rosjanie musieli być rozproszeni. Teren plaży został ogrodzony drutem kolczastym, ale w zasięgu wzroku nie było widać żadnych wart.

- Głupcy - mruknął.

- Co mówisz? - zapytała Sissy, siedząca z tyłu na motorze, rozluźniając uchwyt wokół tułowia Johna, gdy tylko się zatrzymali.

- Mówię, że Rosjanie są głupi, zostawiając wybrzeże, jak widać, nie strzeżone... Choć dla nas to dobrze - stwierdził. Co prawda nie było jakichś szczególnych przyczyn, jednak nie przepadał za tą dziewczyną.

- Aha - powiedziała wymijająco, prawie bezgłośnie.

- Aha - powtórzył jak echo, patrząc na przybrzeżne fale. W szarym zmierzchu dostrzegł światełko mrugające od morza. Rourke sięgnął do pasa pod kurtką, gdzie chwilowo trzymał latarkę. Rozejrzał się po plaży. Następnie, przesunawszy włącznik naprzód, wcisnął guzik, puścił i znów przycisnął. Nadał serię sygnałów długich i krótkich, a po chwili światło na morzu, które zdawało się już bliższe, zasygnalizowało odzew umówionym wcześniej kodem, który uzgodnił z Reedem przez radio. Wyłączył latarkę i podał ją Sissy.

- Włóż ją do tamtej bocznej kieszeni.

- Gdzie?

- W plecaku, Sissy, w plecaku.

- Dobrze - rzekła. - Czy to był samolot?

- Owszem, samolot-amfibia.

- Chcesz zostawić tutaj motocykl? - zapytała z dającym się wyczuć napięciem w głosie. Siedząc zblizający się samolot, pomyślał, że pewnie nadał mocuje się z latarką przy plecaku.

- Nie, zabieram go ze sobą. Oni mogą zbliżyć się na tyle, abym mógł wciągnąć go na trap i do samolotu. Motor nie powinien się za bardzo zamoczyć. Zresztą mogę oczyścić go z soli i wody, kiedy tylko wystartujemy.

- Nie możesz po prostu zdobyć innego motocykla? - indagowała.

- A po co? Ten nie jest zły.

- Ale czy to nie duży kłopot... To znaczy, czyścić go, wciągać na pokład? Nie lepiej...

- Miałaś swoje ulubione przedmioty codziennego użytku, kiedy jeszcze istniały? Pióra, zapalniczki, takie rzeczy?

- Tak, chyba tak - odparła, tonem jakby nieco obronnym.

- No to miałaś szczęście. Ja nie miałem. - Rourke nie dodał nic nadto. Dwusilnikowy samolot-amfibia podpłynął już na fali do brzegu. John ruszył Harleym w dół piaszczystego zbocza na jego spotkanie.

ROZDZIAŁ XX

- W Miami Beach mieszkało tak wielu kapitalistów... Uczyniłem właściwie, konfiskując najładniejsze budynki wzdłuż plaży i czyniąc z nich kwatery dla Armii Ludowej.

Natalia uśmiechnęła się, śledząc tłustą, nieco spoconą twarz Diego Santiago. Pamiętała jego akta. Diego - zgadzało się, ale Santiago było nazwiskiem przybranym od czasu, gdy wspiał się na promienne stanowisko w hierarchii kubańskich komunistów.

- Generał Santiago? - zapytała.

- Si, major Tiemerowna - odparł.

Uśmiechnęła się doń ponownie, po czym spojrzała przez werandę i ponad plażę ku atramentowej czerni, okalanej białą pianą przyboju.

- Czy to wszystko pana nie rozprasza? Przyznam, że mnie by rozpraszało - oświadczyła i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Pani mogłaby mnie rozpraszać, seniorita. Korzystam z tego domu, ponieważ jest centralnie położony; spełnia moje oczekiwania. Poza tym lubię pływać. To jedyny sport, na jaki mi pozwala mój napięty harmonogram zajęć. Być może będąc tu u nas, pani i pułkownik Miklow również wybierzecie się popływać. To świetny relaks. Przynajmniej dla mnie. - Uśmiechnął się znowu, po czym patrząc na jej kieliszek zapytał: - Jeszcze wina?

- Może odrobinę... ale tylko odrobinę, towarzyszu generale.

- Jest pani zbyt oficjalna, seniorita. Piękna kobieta nie potrzebuje nigdy być oficjalną. Proszę nazywać mnie: Diego. Nalegam. Może to pani przyjąć jako rozkaz, jeśli wola, od wyższego oficera zaprzyjaźnionej armii.

Z uśmiechem ucisnęła wyciągniętą prawą dłoń, czując jej lekką wilgoć. Patrzyła, jak wzrok generała wędruje za jej dekolt.

Cofnęła się do oparcia fotela, wyslizgując rękę z uścisku i opierając ją na białym obrusie. Obserwowała swą dłoń, wiedząc, że Santiago obserwuje ją. Przybyła tu z Miklowem, nie spodziewając się spotkania z generałem aż do rana. Odczuła wewnętrzną pustkę po wyznaniu swego wuja. Czowała się zmęczona i zakłopotana, kiedy adiutant generała Santiago przywitał ich na lotnisku obwieszczeniem, iż za dwie godziny ma być wydana oficjalna kolacja. Spojrzała na zegarek marki Rolex. Teraz dochodziła już dwudziesta trzecia.

Adiutant przywiózł ją wraz z Miklowem do domu generała na plaży - kolejna niespodzianka. Zabrała ze sobą wizytowy strój - zawsze to robiła przy tego typu zleceniach - i kiedy Miklow zmieniał ubranie, wzięła prysznic, umyła włosy, wysuszyła i ubrała się. Zanim zeszła na posiłek, zatrzymała się przed lustrem wielkości człowieka i zrobiła dwie rzeczy: wsunęła maleńki, cienki nóż do futerału przy podwiązce po wewnętrznej stronie lewego uda i sprawdziła swą prezencję. Miała na sobie czarną suknię wieczorową, niezbyt wiele biżuterii, czarne pantofle i małą torebkę w tymże kolorze - w środku był ukryty niewielki pistolet. Nie martwiła się, że ktoś może to odkryć. Gdyby Santiago miał powody podejrzewać ją o współpracę z KGB, bez broni podejrzewałby ją tym

bardziej.

Poruszyła się w niewygodnym fotelu, wygładzając spódnicę i przenosząc wzrok ze swej dłoni na pantofle, a potem w górę łydki do skraju sukienki. Santiago rozmawiał z Mikłowem, a ona starała się udawać brak zainteresowania.

- Sądzę, pułkowniku Miklow, że nie ma żadnych powodów, aby niepokoić pańskich przełożonych. Jest rzeczą całkiem naturalną, przyjąć, że między dwoma dynamicznymi narodami jak nasze, działającymi w tak bliskim sąsiedztwie, muszą od czasu do czasu występować pewne tarcia. Ale to właśnie ten dynamizm i ta siła czynią nas sojusznikami. To wszystko skutki wojny, nieprawdaż?

Natalia oderwała oczy od swej sukienki, by zobaczyć, że Diego Santiago przypatruje się jej.

- Ale, towarzyszu generale... Diego - odezwała się głosem cichym i miękkim; właśnie taką barwę chciała mu nadać. - Jeśli jesteśmy tak wartościowymi sojusznikami, to dlaczego nie potrafimy nauczyć się funkcjonować jak dobrze naoliwione tryby w maszynie komunizmu - razem? - Patrzyła w oczy Kubańczyka, dyskretnie się uśmiechając.

- Moja droga, młoda kobieto. Jesteś wyjątkowo piękna i równie inteligentna. Zawróciłaś nas z powrotem dokładnie do punktu wyjścia. Seniorita, czuję się pokonany. - I Santiago uklonił się w jej stronę.

Skóra na jej szyi i ramionach, na wszystkich częściach ciała, które były obnażone, pokryła się gęsią skórą pod jego spojrzeniem. Mimo to pochyliła się naprzód, wiedząc, że teraz będzie mógł łatwiej zaglądać jej za sukienkę.

- Towarzyszu generale - mówiła niemal szeptem - nie rozumiem. Ten piękny dom, kolacja... Byłam bardzo wyczerpana, kiedy przybyliśmy.

- Może zatem popływamy, jak proponowałem? - Nagle Santiago jakby przypomniał sobie o istnieniu Mikłowa. - Serdecznie zapraszamy pana z nami, pułkowniku.

Miklow, siwowłosa, o wystających kościach policzkowych i ciemnych oczach, uśmiechnął się.

- Ta młoda dama ma rację. Ja również jestem zbyt zmęczony i obawiam się, że mój wiek wyklucza morską kąpiel o północy. Powinienem już iść do łóżka. To był męczący dzień i z radością oczekuję podjęcia naszej rozmowy jutro.

- Towarzyszu pułkowniku - rzekł Santiago - jutro pokażę wam obojgu najlepszych spośród żołnierzy Ludowo-Demokratycznej Republiki Kuby. - Następnie zwrócił się do Natalii: - Ale dzisiaj, seniorita, pokażę ci ocean. Jak już wcześniej mówiłem, kąpiel w oceanie jest dla mnie jedyną formą wypoczynku, ulgi, odnowy. Może dlatego, że te same wody obmywają brzegi mojej ojczystej Kuby... Może dlatego wydaje mi się, że ta odnowa następuje mimo wszystkich przeciwności. Te wody sięgają mojej ojczyzny, dotykają mojego serca. Rozumie pani, seniorita?

- Tak - odrzekła Natalia, patrząc mu w oczy.

- A więc, popływa pani ze mną?

- Si - odparła z uśmiechem. - To właściwe słowo, prawda?

- Jak najbardziej, seniorita.

- Panowie - zaczęła wstając. Miklow i Santiago również się podnieśli. - Towarzyszu generale, spotkamy się...

- Na plaży za piętnaście minut, tuż przy werandzie. Wystarczy pani czasu?

- Tak - powiedziała.

Miklow odsunął jej fotel, kiedy przechodziła i powiedział:

- Dobranoc, towarzysko major. Odwróciła się, kierując nań spojrzenie.

- Dobranoc, towarzyszu pułkownika. - Gdy mijała Santiaga, ten wyciągnął rękę, jakby chciał ją wesprzeć. Dotknęła jej swoją dłonią i pochyliła się nieznacznie. Był od niej niższy i nie chciała, aby zaczął zwracać na to zbyt dużą uwagę.

- Zatem do zobaczenia - powiedziała cicho i niezobowiązująco. Była to gra, którą już kiedyś uprawiała, i szczerze pragnęła, żeby nie ciągnąć jej do końca.

Odeszła od stołu w stronę podwójnych, dębowych drzwi. Zatrzymała się i odwróciła. Spostrzegła wpatrzony w siebie oczy Santiaga i Mikłowa. Stała przez chwilę, jakby się wahając, po czym ruszyła przez otwarte drzwi ku spiralnie ułożonym schodom. "Być może Santiago wciąż ją widział" - pomyślała. Zatrzymała się u podstawy schodów i lekko opierając prawą dłoń na poręcz, lewą podciągnęła sięgającą kostek suknię, ponad kolana, by móc łatwiej wchodzić. Wkroczyła na schody z nadzieją, że Santiago ją obserwuje; chciała mu dać dobry pokaz.

Obejrzała się za siebie, po czym ruszyła dalej po schodach na górne piętro. Dopiero na korytarzu opuściła suknię.

Nie był potrzebny żaden klucz. Obróciła klamkę i weszła do pokoju. Wcześniej ustaliła, że nie jest on inwigilowany przez kamerę video i nie zauważyła, aby coś się zmieniło podczas jej nieobecności. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, patrząc z ciężkim westchnieniem na błękitny dywan pod pantoflami.

- Świnia - burknęła, lecz tak cicho, że nikt oprócz niej nie mógł tego słyszeć, na wypadek gdyby w pomieszczeniu znajdowały się jednak ukryte mikrofony, których nie wykryła.

Zamknęła drzwi od wewnątrz i przeszła przez pokój, rzucając na łóżko czarną torebkę z pistoletem w środku. Zatrzymała się przed lustrem.

- Morska kąpiel o północy - mruknęła.

"Za lustrem - pomyślała - mogła być kamera." Zaczęła rozbierać się jak przed jakąś niewidoczną publiką. Podniosła ręce do włosów i wyciągając szpilki, rozpuściła je, potrząsając głową, by opadły na ramiona i niżej. Zgarbiła ramiona, sięgając do zamka błyskawicznego na plecach.

Pociągnęła suwak aż do talii, po czym rozpięła pasek, który trzymał sukienkę wokół szyi. Przód ubrania zsunął się w dół i opadł na podłogę. Nie miała na sobie stanika i po opadnięciu góry sukni ujęła piersi w dłonie, poruszając jednocześnie biodrami, by spód sukni ześliznął się z ciała. Zsunęła czarną koronkową halkę. Przyjrzała się swemu odbiciu. Na ciele pozostały czarne, koronkowe majtki bikini, które po chwili ściągnęła kciukami, wyjąwszy wcześniej nóż z futerału. Pochyliła się, zaczepiając palce po obu stronach pończochy na prawej nodze.

Zsunęła jedną i drugą pończochę do kostek, po czym wyszła z porzuconej na podłodze, pozostałej odzieży i podnosząc nogi w górę zdjęła czarny nylon ze stóp. Stała przed lustrem, jak gdyby oceniając siebie, obracając się, patrząc na nogi, podnosząc dłońmi piersi.

Natalia zdecydowała, że wszystko ma swoje granice. Odwróciła się nagle od lustra i poszła do łazienki. Zakładała, że jeśli gdziekolwiek mogła być ukryta kamera - na co nie znalazła żadnych dowodów - to tylko za lustrem. Usiadła na sedesie, czując się względnie bezpieczna.

Skończywszy naturalną czynność, wstała i wróciła do sypialni, gdzie podeszła do swej walizki. Miała tam dwa stroje kąpielowe, oba jednoczęściowe. Wybrała czarny, pozostawiając na miejscu drugi. Przeszła obok lustra, obracając się doń przez chwilę tyłem i usiadła na brzegu łóżka. Założyła strój pochylając głowę, aby zawiązać tasiemkę na karku.

Wróciwszy przed lustro, poprawiła kostium, umyślnie dotykając piersi przy dopasowywaniu go

do ciała. Wykonała pełny obrót i oddaliła się, ponownie czując, że już dosyć.

Z walizki, której nie zdążyła rozpakować, wyjęła biały żakiet plażowy, sięgający do bioder. Ubrawszy go, opasała się aż nazbyt ciasno w talii. W drugiej walizce miała parę czarnych sandałów na wysokim obcasie. Odnalazła buty i założyła je.

Znów wróciła do lustra. Zdjęła kolczyki, odpięła naszyjnik i spojrzała na złotego Rolexa. Obliczyła czas idealnie - miała pięć minut spóźnienia.

Ruszając przez pokój, zatrzymała się przy toaletce i podniosła buteleczkę perfum "Chanel 9". Skropiła się na szyi i za lewym uchem, po czym wzięła z łóżka swą torebkę. Wyjęła z niej pistolet i otworzywszy sprawdziła, czy cztery 125-gramowe naboje są na miejscu. Zamknąwszy broń, schowała ją do torebki i przyciskając ją do siebie, skierowała się do drzwi. Westchnęła. Zpowiadała się długa noc.

ROZDZIAŁ XXI

Sarah Rourke zsunęła się z szorstkiego pomostu do lodowatej wody. Odgarnęła z oczu włosy i rozejrzała się wokół, nasłuchując odgłosów innych niż chlupotanie wody o słupy podtrzymujące molo.

Wcześniej zastanawiała się, czy nie wziąć noża w zęby - poza filmami o piratach, widziała kiedyś Johna, gdy robił to wiele lat temu. Pływali wówczas z przyjaciółmi i jakieś dziecko zaplątało się w coś pod wodą. John bez namysłu, wyciągnął po prostu skądś nóż, włożył go między zęby i skoczył za burtę, by po paru chwilach pojawić się na powierzchni z uratowanym chłopcem.

Jednak zdecydowała się nie brać noża w zęby, rozumując, że gdyby go przypadkiem upuściła, spadłby na dno i byłby stracony.

Zacząła płynąć, pracując energicznie stopami, by rozgrzać ciało i przyzwycząić je do zimna. Pływała niegdyś w szkole średniej i kontynuowała ten sport przez wiele lat, tak że potem potrafiła prawie pokonać Johna. Poruszając się jak najszybciej, zaczęła o tym myśleć. Potrafiła pływać niemal równie dobrze jak mąż. Czy tu był ten problem? Przypomniała sobie, jak siedziała kiedyś w swoim gabinecie w domu na farmie, a John pił kawę i obserwował jej pracę. Poprosiła go wtedy, żeby spróbował coś naszkicować. Był niechętny, ale Sarah upierała się i w końcu zgodził się. Nie chciał rysować z pamięci, ale do tego również go nakłoniła. Po dziesięciu minutach spojrzała - wbrew jego protestom - na szkic. Byli na nim dwaj mężczyźni walczący w dżungli. Szczegóły ich mięśni, kończyn, wyraz twarzy, detale otoczenia - wszystko to zostało oddane z niemal fotograficzną dokładnością. Jednak nigdy nie dokończył tego rysunku.

Sarah zaczęła się zastanawiać, czy istniało cokolwiek, czego John Rourke nie potrafiłby dokonać, wysilając się nieznacznie. Ale zdała sobie sprawę, że jej mąż nigdy nie wysilał się nieznacznie. Zawsze wkładał w to, co robił, całą duszę.

Zatrzymała się, wiosłując nogami w wodzie. Łódź, którą chciała ukraść, była tuż przed nią i poza odległym cieniem radzieckiego strażnika, na przeciwnym końcu mola nie było nikogo widać. Zanurkowała pod wodę, kierując się ku łodzi. Jej właściciel miał poczucie humoru, nadając nazwę "Akdół" - słowo "łódka" czytane wspak.

Domek na farmie opuściła wraz z Harmonem Kleinschmidtem, którego wraz z dziećmi wsadziła na Sama, konia Johna. Razem z nim jechał Michael, żeby dać jej znać, gdyby partyzant zaczął mdleć lub zsuwać się z siodła.

O dziesięć mil dalej znajdowała się farma, gdzie mieszkali znajomi Kleinschmidta - mężczyzna po sześćdziesiątce i jego żona, której chyba niewiele brakowało do wieku męża. Ów człowiek, Ario Coin zgodził się przypilnować koni i podwieźć Sarah z dziećmi swoim Pick-up'em w pobliże Savannah. Silnik w tym wozie przystosowany był do pracy na spirytusie, destylowanym z roślin i trawy na farmie. Ario opowiadał Sarah, że robi to już od wielu lat przed wojną i nie widzi przyczyn, żeby skończyć. Kiedy ukryli samochód, Coin upierał się, żeby im pomóc, twierdząc stanowczo, że Kleinschmidt jest zbyt słaby, by iść o własnych siłach, a za ciężki do prowadzenia przez Sarah i

dzieci. Sarah zgodziła się, acz niechętnie. Wówczas Kleinschmidt powiedział jej, żeby się nie martwiła i sięgając pod płaszcz, wyjął rewolwer. Pamiętała, że gdy go jej pokazał, Coin powiedział: “Smith and Wesson 38/44 Heavy Duty - jeden z najlepszych pistoletów, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Mam taki od trzydziestego siódmego i nigdy nie chciałem innego”.

Sarah zatrzymała się, dotykając pod wodą burty “Akdóła”. Wynurzyła się, chwytając powietrze. Mimo pływania w samych szortach i koszulce było jej zimno. Czekala w wodzie, nasłuchując jakiegoś znaku ludzkiej obecności na pokładzie lub w kabynie. Nie dostrzegła żadnych świateł. Podpłynęła w stronę dziobu, gdzie znalazła na Sterburcie małą drabinę. Chwyciła pierwszy szczebel i podciągnęła się w górę, z nożem zabezpieczonym w foliowym worku przywiązanym do talii. Kiedy wyszła z wody i przycupnęła na drabince, temperatura powietrza i nocny wiatr mroziły ją jeszcze bardziej.

Wyszarpnęła nóż z worka lewą ręką, prawą trzymając się relingu. Następnie z lewą dłonią zaciśniętą na rękojeści, wyjrzała nad burtę do środka łodzi. Nic.

Sarah pokonała pozostałe stopnie i wskoczyła na pokład, przerzucając teraz nóż do prawej ręki. Wciąż w przysiadzie, aby trzymać się poniżej poziomu burt, posuwała się ku rufie, znajdując wreszcie kanciaste, podobne do drabiny, schody prowadzące w dół. Właz nie był zamknięty na klucz. Pomyślała, że to pewnie nakaz Sowietów, mający ułatwić inspekcje łodzi przy pomocy. Ruszyła w dół schodów, pozostawiając za sobą uchyloną klapę włazu.

Gdy zeszła na dolny pokład kabiny, zamarła. Na pokładzie, tuż nad głową usłyszała kroki. Przeszedł ją dreszcz, choć nie od zimna i wilgoci zaimprovizowanego kostiumu pływackiego. Kłapa włazu zaczęła się podnosić.

ROZDZIAŁ XXII

Bez płaszcza, z pasem na pistolety i karabinem na podłodze obok, Rourke odwrócił się w skórzanym fotelu i spojrzał na ogień w kominku.

- Czy zawsze nosisz te pistolety w kaburach pod pachą? Mnie taki ciężar okropnie by przeszkadzał - zauważyła Sissy.

Rourke nie odrywał wzroku od ognia.

- Zanim się przyzwyczaisz, na początku jest niewygodnie, ale ja noszę podwójną pochwę od dłuższego czasu. Teraz już tego nie zauważam. Bardziej niewygodnie jest być nie uzbrojonym - dodał.

Podpalił zapalniczką cygaro i wstał. Czuł się jak zwierzę w klatce. Chciał, żeby Chambers już się zjawił; chciał, żeby Chambers dowiedział się o wielkości grożącej Florydzie katastrofy; chciał, żeby Chambers przejął pałeczkę. Rourke miał wówczas otrzymać transport powietrzny na Florydę, spróbować znaleźć Paula, jeśli starczy czasu, pomóc mu w poszukiwaniu rodziców i uciec. Poza tym wciąż była do odszukania Sarah i dzieci, gdzieś w północnej lub środkowo-wschodniej Georgii.

Rourke wpatrywał się w migocące płomienie. Wiedział, co trzeba robić, ale nie był pewien chęci Chambersa. Tylko z tej przyczyny John zdecydował się przyjąć propozycję lotu do kwatery głównej U.S. II w pobliżu granicy Teksasu z Luizjaną.

Na tablicy pamiątkowej nad kominkiem wisiał wypolerowany do połysku, dwunastocalowy nóż Bowie. Podwójna osłona rękojeści z mosiądzu również błyszczała. Wyciągnął dłoń, dotykając brzeszczotu. Był ostry.

- Rourke... Właściwie doktor Rourke, czy pan Rourke? Nigdy nie mogę się zdecydować, jak pana nazywać, sir!

Rourke odwrócił się, zauważając, że kobieta już wstała. Powoli, patrząc z ukosa na Chambersa, powiedział:

- Panie prezydencie, miło mi znowu pana widzieć.

- A pani jest zapewne Sissy Wiznewski, doktor sejsmolog, która ma dla nas jakieś alarmujące wiadomości - rzekł Chambers, robiąc kilka kroków ku dziewczynie. Uścisnął serdecznie jej dłoń.

Rourke patrzył i słuchał; stwierdził, że Chambers jest w jakiś sposób inny, może teraz bardziej przyzwyczajony do roli prezydenta. "Ale prezydenta czego?" - zastanawiał się.

- Przekaż panu prezydentowi te alarmujące wiadomości, Sissy - powiedział Rourke, naśladując ton Chambersa.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Ja wiem - przerwał John, nie mogąc znieść marnowania czasu. - Ona należała do grupy naukowców badających linie pęknięć tektonicznych i aktywność skorupy ziemskiej w łańcuchu Appalachów. Pomiar porównywali z pęknięciami San Andreas, oddzielającymi płytę kontynentalną od pacyficzną. Po Nocy Wojny większość ich instrumentów nadal funkcjonowała. Poprawiaj mnie, jeśli coś przekreślę - rzucił do Sissy, po czym ciągnął, zwracając się do Chambersa:

- Zaczęli gromadzić odczyty aktywności linii, która wydaje się potężnym, sztucznie wytworzonym pęknięciem tektonicznym. Prawdopodobnie jest to skutek bombardowania. Teraz lada chwila, a na pewno nie dalej niż za kilka dni nastąpi silne trzęsienie ziemi, podobne do tego, które spowodowało oddzielenie się Kalifornii od płyty kontynentalnej i obsunięcie się jej do morza. Półwysep Floryda odłączy się od kontynentu. Według instrumentów jest to stuprocentowy pewnik. O to chodzi? - zakończył Rourke, spoglądając na Sissy.

- Mniej więcej.

- Matko Boska! - Chambers opadł na skórzany fotel, który Rourke zwolnił kilka chwil wcześniej.

John przypalił cygaro od niedopałka poprzedniego, które cisnął w ogień.

- To po prostu... Po prostu niemożliwe! - westchnął Chambers.

- Proszę, panie prezydencie. - Sissy Wiznewski wręczyła mu wydruk z sejsmografu, który miała przy sobie, kiedy Rourke ocalił ją od bandytów. - Jeśli ma pan jakiegoś doradcę naukowego, z pewnością potwierdzi te wyniki. Mógłby je inaczej zinterpretować, ale nie wiem, czy pozostaje jakiś wybór.

- Co pani ma na myśli? - Chambers spojrział na nią, zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się.

- Cóż, nie chcę przesadzać, ale...

- Trzeba ewakuować ludność z Florydy, ile się da, póki czas. - Jeśli w ogóle jest jeszcze czas - wtrącił Rourke.

- Tak, no właśnie... musimy...

- Zaraz - przerwał Chambers. - Ewakuować? Z Florydy? W jaki sposób?! Przecież kontrolują ją kubańscy komuniści.

- Jest sposób, przynajmniej żeby zrobić c o ś - zaczął Rourke, oddalając się od kominka i stając przed fotelem Chambersa.

- Nie mam...

- Nie ma pan sił powietrznych, a nawet gdyby miał, potrzebowałby pan rozejmu z Kubańczykami. Prawdopodobnie potrzebna panu ich pomoc.

- Ich pomoc!

- Chyba znam sposób jej zdobycia: od Rosjan.

- Pan jest szalony, Rourke. Przecież oni pragną naszej śmierci.

- Być może - mówił Rourke. - Może też mają w tym swoją korzyść. Ale jeśli nie otrzymamy jakiegoś rozejmu na okres tych wydarzeń, może dojść do największej katastrofy, jaką znam w historii, wyłączwszy samą Noc Wojny.

Chambers popatrzył szklistymi i nieruchomymi oczyma na Rourke'a.

- Co mamy robić?

- Czy kapitan Reed mówił panu, że w U.S. II jest zdrajca?

- Zdrajca? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wyjaśnię to, ale teraz, żeby dotrzeć do generała Warakowa, muszę tego zdrajcę znaleźć, i to prędko. - Rourke odwrócił się twarzą do paleniska. Rzucił w płomienie palące się cygaro. Ogień pozostał nieporuszony. John miał nadzieję, że to co powiedział prezydentowi, odniosło większy wpływ.

ROZDZIAŁ XXIII

Ściskając rękojeść noża, Sarah przywarła jak najbliżej wewnętrznej ściany sterburty przy podstawie schodów. Słyszała, jak w górze kłapa włazu otwiera się z hałasem. Wpadł snop światła - nie światła naturalnego, lecz latarki elektrycznej. Wstrzymując w napięciu oddech, patrzyła. Czuła krople wody spływające z włosów na jej błękitną koszulkę, na różowe szorty.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy światło latarki zatrzymało się na kałuży wody w miejscu, gdzie przedtem stała. Ze szczytu schodów dobiegł ją głos, męski głos, ale słowa były dla niej niezrozumiałe - rosyjskie. Nie poruszyła się.

Głos odezwał się znowu, tym razem mówił łamanym angielskim:

- Ktokolwiek tam jest, wychodź albo zastrzelę!

Wcisnęła ramiona mocniej w ścianę, żałując, że nie zabrała broni, chociażby zawiniętej w folię automatycznej "czterdziestki piątki".

- Wychodź no stamtąd! Już!

Znowu pozostała nieruchoma. Usłyszała, jak głos - tym razem po rosyjsku - cedzi jakieś słowo. Cieszyła się, że nie rozumie jego znaczenia. Na schodach odezwał się odgłos kroków schodzących w dół, ku niej.

Sarah podniosła nóż niejako automatycznie, nie zastanawiając się nad tym, a po chwili uświadomiła sobie, że trzyma go w górze, gotowa do zadania ciosu.

Kroki zatrzymały się: dostrzegła plecy człowieka w mundurowej kurtce, rosyjską czapkę wojskową, zarys karabinu w rękach. Chciała pchnąć go nożem, lecz nie mogła się na to zdobyć. Plecy były od niej o kilka cali. Wstrzymała oddech.

Patrzyła czując się, jakby obserwowała kolejne sekwencje filmu. Mężczyzna odwracał się w jej stronę. Snop latarki padł w jej oczy i w ciemnym tle poza kręgiem światła ledwie mogła wychwycić rysy twarzy człowieka, do którego należał tamten rosyjski głos.

- Ręce do góry!

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie, wyprowadzając spoza światła cios nożem. Ostrze wbiło się w ciało żołnierza, a gdy utkwilo nieruchomo, zdawało jej się, że kości jej prawej ręki nie wytrzymują.

Nastąpił głuchy łoskot metalu uderzającego o pokład między nimi; "karabin" - zdała sobie sprawę. Ku niej zbliżała się ręka, a druga dłoń z latarką poruszała się również, kreśląc na stropie kabiny jakiś szalony wzór. Poczowała palce na gardle. Szarpnęła rękojeść noża, niemal tracąc równowagę, gdy brzeszczot wychodził z piersi Rosjanina. Widziała, jak latarka wzniosła się w górę, potem opadła. Zadała drugie pchnięcie.

Latarka upadła na pokład; Sarah poczuła coś ciepłego i mokrego na całej prawej dłoni. Lewą podniosła do ręki żołnierza, wciąż zaciśniętej na jej krtani. W oczach miała ciemność, próbując oderwać palce napastnika od swej szyi. Wreszcie runęła naprzód, przykrywając sobą pogrążone w mroku na pokładzie ciało. Puściła nóż, próbowała złapać oddech. Żołnierz był silny. Oburącz starała się rozewrzeć jego palce, rozluźniając nieco ich uchwyt. Sięgnęła za siebie, chwyciła latarkę i

zaczęła nią tłuc w tę dłoń, aż palce odpadły od szyi.

Latarka wysunęła jej się z ręki. Gdy ją podniosła, zobaczyła na szkle czerwone odciski palców, jak preparat w podświetlonym mikroskopie. Dłonie miała lepkie od krwi.

Zaczęła się podnosić, lecz zatrzymała się. W przysiadzie, opierając się o ścianę, wyszeptała:

- Boże... - Upuściła latarkę i zamknęła oczy. Ostrze noża rozcięło policzek Rosjanina i utkwilo w szyi. Te martwe oczy, wpatrzone w nią - wciąż je widziała.

ROZDZIAŁ XXIV

Natalia ominęła werandę i wyszła na plażę, patrząc w lewo i prawo, lecz nie widząc Diega Santiago. Uśmiechnęła się. Bawiłoby ją, gdyby po umyślnym obstawaniu przez nią przy kąpielni, on nie dotrzymał umowy.

- Diego? - zawołała, patrząc na ciemne fale przybrzeżne z białymi grzywami. - Diego?

Nie było odpowiedzi.

Odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę, po czym dosłyszała z tyłu okrzyk i zawróciła ku wodzie.

- Tutaj, Natalio, tutaj!

Machnęła ręką w stronę długiej, leniwej fali, z której wyłoniła się postać, nadbiegająca teraz plażą. Światło księżyca było dość jasne, aby mogła go dobrze widzieć. Był to Santiago, ociekający wodą, z czarnymi, kręconymi włosami, zlepionymi na czole. Zatrzymał się o jard od niej.

- Obróć się wokół, żebym ci się przyjrzał - polecił.

Uśmiechnęła się. Robiąc pełny obrót, rozpięła biały żakiet w pasie; żakiet obsunął się z ramion na łokcie, kiedy zwróciła się znów do niego twarzą.

- Podoba się panu, towarzyszu generale?

- Si... tak, bardzo mi się podoba, towarzyszek majorze. Roześmiali się oboje. Ruszył w jej stronę, a ona postąpiła krok ku niemu. Gdy wyciągnął ręce, odwróciła się.

- Dziękuję - powiedziała, zrzucając z siebie do końca płócienny żakiet. Wskazała gestem biały, metalowy fotel o kilka stóp dalej. - Mógłby pan?

- Oczywiście - odparł Santiago głosem już nieco mniej entuzjastycznym. Podała mu torebkę. Spojrzał na Natalię. - Bardzo ciężka.

- Mam w środku pistolet - rzekła z uśmiechem.

- Ha, ha! Uczciwość, to mi się podoba. - Santiago zaśmiał się i oddalił. Patrzyła, jak kładzie żakiet i torebkę na fotelu, po czym spogląda na nią.

- Kto pierwszy do wody! - krzyknęła, zaczynając biec po piasku i zrzucając buty.

Natalia dopadła morza, słysząc ciężki oddech Santiago. Rzuciła się w fale opływające jej nogi i odpłynęła od brzegu. Woda była zimna. Przypomniała sobie, że nie kąpała się w oceanie od ponad roku. Zawróciwszy do brzegu, płynęła, póki nie poczuła gruntu pod nogami. Wówczas wyszła na plażę, oplatając dłońmi łokcie i widząc Santiago, wynurzającego się z wody parę stóp z tyłu.

- Seniorita Natalia, por favor...

Odwróciła się i spojrzała nań, odgarniając włosy z czoła.

- Co się stało, Diego?

Zbliżył się. Tym razem nie zrobiła nic, czekając spokojnie na to, o czym wiedziała, że jest nieuniknione.

- Co się stało, Diego? - powtórzyła.

- Próbujesz uwieść mnie czy sprowokować do uwiedzenia ciebie? - zapytał, z wodą ściekającą

po wąsach i ciemnym owłosieniu na torsie.

- Nie bądź naiwny - odrzekła.

- Więc czemu jesteś tu ze mną teraz?

- Lubię ocean - odpowiedziała szczerze. Następnie, patrząc mu w oczy, dodała łagodnie: - Zimno mi.

Zrobił krok bliżej. Pozwoliła mu ująć się w ramiona, poczuła delikatny dotyk jego dłoni. Zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ XXV

- Boże - mruknął Rubenstein. Pełzające stworzenie, które przemknęło nagle wokół pnia palmy, za którą był ukryty, wydawało mu się największym karaluchem, jakiego w życiu widział. - Tfu! - skrzywił się. Czytał niegdyś jakiś artykuł o karaluchach i nie dziwiło go wcale, że przetrwały one Noc Wojny. Niektórzy naukowcy snuli teorie, że chociaż całe życie na planecie ulegnie zagładzie, to karaluchy i szczury mogą nadal istnieć w pełnym rozkwicie. "Ten był z gatunku karaluchów drzewnych lub karakanów" - pomyślał.

Uśmiechając się podniósł okulary z nosa i zsalutował do insekta mrucząc:

- Mój bracie Amerykaninie... - Wyjrzał teraz spoza palmy tam, gdzie byli jego prawdziwi bracia Amerykanie. Niektóre z twarzy, które obserwował przez ostatnie kilka godzin, miały rysy hiszpańskie, byli to prawdopodobnie Kubańczycy-antykomuniści. Inni zdawali się być pochodzenia środkowoeuropejskiego. "Jeszcze inni - myślał - są Żydami, jak ja." Drut kolczasty, za którym żyli ci ludzie, budził w nim mdłości.

Paul zostawił motocykl około mili w tyle, w jakiejś zadrzewionej okolicy, a resztę drogi pokonał pieszo. Po oględzinach ogrodzenia obozu wyszukał najmniej widoczne miejsce między wieżami wartowniczymi i obrał je za swój punkt wyjścia. Zabrał z sobą nóż, Browninga i Schmeissera oraz naładowane zapasowe magazynki do obu typów broni.

Uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak przed samym wyjazdem Rourke usiłował wyperswadować mu by nie zabierał ze sobą Schmeissera: "Skąd weźmiesz części zamienne? Co z dodatkowymi magazynkami na zapas? Powinieneś wybrać coś innego". Mimo to, jeden, jedyne raz nie przyjmując rady Rourke'a, Rubenstein postanowił zatrzymać karabin, który nazywał "Schmeisserem" - choć John powtarzał mu wciąż, że to MP-40. Był obeznany z tą bronią i odpowiadała mu siła rażenia, jaką zapewniała.

Rubenstein obserwował obóz, chichocząc w duchu - broń zaprojektowana pierwotnie dla nazistowskiej maszyny wojennej miała mu teraz pomóc w przedostaniu się do obozu koncentracyjnego i - być może - w uwolnieniu niektórych więźniów. Od najdalej wysuniętych drzew do ogrodzenia było dobre sto jardów. Paul przeszukał teren St. Petersburga i odnalazł sklep z narzędziami rolniczymi. Okna były wybite, jednak w środku pozostało kilka przedmiotów. Sprawdził licznikiem Geigera, czy miejsce nie jest napromieniowane, po czym ukradł parę nożyc do drutu z długimi rączkami. Rubenstein pamiętał, jak razem z Rourke'em włamali się na zaplecze sklepu ze sprzętem dla geologów i zabrali stamtąd latarki elektryczne. John tłumaczył mu wtedy, że to nie była kradzież, tylko rekwizycja.

Rubenstein uśmiechnął się do tej myśli - teraz on zarekwirował nożyce do drutu.

Za pierwszą linią drutów ciągnął się pas ziemi o szerokości około dwudziestu pięciu jardów. Paul obejrzał go przez lornetkę Bushnella, którą miał z sobą (identycznej używał Rourke). Nie dostrzegł żadnych śladów świeżego kopania ani zagłębień w rzadko porośniętym trawą gruncie. Miał nadzieję, że nie jest zaminowany.

Za tym otwartym terenem było następne ogrodzenie, wysokie na dziesięć stóp, i mogło być ono pod napięciem. Nie był tego pewien, lecz fakt omijania go z daleka przez strażników dawał powody do zastanowienia. Dalej znajdował się kolejny pas odsłoniętego gruntu o szerokości mniej więcej dziesięciu stóp, a za nim - sześciostopowe ogrodzenie z drutu kolczastego. O nie opierali się ludzie, wyglądając na zewnątrz. Na co patrzyli - tego nie wiedział. Zastanawiał się, czy oni sami wiedzieli.

Od kilku godzin panowała ciemność; Paul śledził kolejne zmiany warty.

Zerknął na Timexa. Wcześniej postanowił wyruszyć dokładnie o tej godzinie, a było już pięć minut później.

ROZDZIAŁ XXVI

Sarah żałowała, że nie ma zegarka. Podniosła oczy, próbując określić godzinę na podstawie położenia księżyca, lecz nie potrafiła. Zwolniła łódź, po czym zatrzymała, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że gdyby nie zabiła młodego rosyjskiego strażnika, ten prawdopodobnie zaalarmowałby patrol portowy i nigdy by się jej nie udało oddalić od pomostu. Wróciła na rufę. Ciało żołnierza wciągnęła na pokład i przykryła jakimś znalezionym brezentem. To było niespełna godzinę temu, a teraz, gdy odkryła materiał, zdawało jej się, że skóra martwego Rosjanina wyraźnie poszarzała. Zdała sobie jednak sprawę, że nawet gdyby było tak w istocie, nie mogłaby tego stwierdzić przy świetle księżyca. Sięgnęła w dół i pociągnęła zwłoki, starając się dotykać ich w miejscach okrytych ubraniem, lecz mimo to niechętnie dotknęła ręki trupa. Cofnęła się. Ciało było zimne, nienaturalnie zimne, jak indyk wyciągnięty z zamrażalnika i pozostawiony do odtajenia. W dotyku przypominało surowe mięso indyka przyrządzanego na Święto Dziękczynienia.

Sarah przechyliła się przez reling. Wiedziała, że dalej na plaży czekają pan Coin, Kleinschmidt oraz dwoje jej dzieci i chciała pozbyć się zwłok, zanim dzieci mogłyby je ujrzeć. Tym samym nożem Michael zabił kiedyś człowieka; mimo to nie chciała, żeby on czy Annie to widzieli. Odwróciła się i spojrzała na ciało, po czym potrząsnęła głową, gdy wydało się jej, że lewa ręka się poruszyła. Nie zamknęła powiek żołnierza, a powinna była. Oczy były rozwarte, wytrzeszczone jak u ryby.

“Ryby” - pomyślała. Teraz nakarmi nim ryby. Pochyliła się, usiłując ponownie chwycić zwłoki, aby pociągnąć je do relingu bakburty i znów dotknęła tej martwej ręki. Odwróciła się gwałtownie i zwymiotowała przez reling do wody. Wierzchem dłoni wytarła usta. W wilgotnych szortach i koszulce z krótkim rękawem zrobiło jej się jeszcze zimniej niż przedtem.

Zgiąwszy się znowu nad trupem, tym razem złapała go za ramiona, czując na rękach dotyk jego dłoni, lecz wszakże teraz ona jego trzymała. Powlokła ciężkie ciało ku bakburcie, gdzie zatrzymała się i objęła rękoma pierś nieboszczyka. Gdy go dźwignęła w górę, widziała jedynie potylicę. Wreszcie umieściła ciało za relingiem.

Raptem przez głowę przemknęła jej koszmarna myśl, że jeśli nie obciąży czymś zwłok, wypłyną one na powierzchnię. Jednak nie potrafiła sobie wyobrazić ściągnięcia ciała na dół, a potem podniesienia i przełożenia znów przez reling. Postawiła nieboszczyka za barierką, po czym pchnęła go naprzód, a gdy głowa i ramiona wygięły się ponad wodą, zobaczyła twarz tego człowieka.

Krzyknęła przeraźliwie, wypuszczając ciało; po chwili zniknęło w mrocznej otchłani.

Sarah stała przez chwilę, cała się trzęsąc.

- Muszę już ruszać - wymamrotała pod nosem. Wychyliwszy się spojrzała w wodę i wydało jej się, że go zobaczyła, jego oczy wpatrzone w nią. Pobiegnęła w stronę steru. Z trudem utrzymywała równowagę na śliskim od krwi pokładzie.

ROZDZIAŁ XXVII

Rubenstein rzucił okiem na zegarek. Biegając nisko pochylony, ruszył ku ogrodzeniu, ze Schmeisserem zawieszonym na prawym ramieniu i nożycami do drutu w lewej dłoni. Dostał lekko zadyszki, nim pokonał dystans do pierwszego płotu. A gdy doń dotarł, przycupnął jeszcze bliżej ziemi, manipulując już nożycami. Zaczynając od dołu ogrodzenia, wyciął pojedynczą lukę, wysoką na około cztery stopy. Z powodu ciężaru drutów potrzebne było jeszcze jedno wycięcie. Ciął poziomo ponad pierwszą luką, po czym odgiął druty na zewnątrz, ku sobie i prześliznąwszy się w ciemności przez szparę, zamknął za sobą tę "bramę". Spojrzał w stronę wież wartowniczych i przypadł do ziemi, płaszcząc się ze Schmeisserem w wyciągniętej prawicy. Snop światła z reflektora przebiegł teren najwyżej na stopę od niego, po czym posuwał się dalej; to samo uczynił Rubenstein.

Biegając przez trawiasty grunt, kluczył - miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się uniknąć wejścia na minę. Dopadł przeciwnej linii drutów, znów bez tchu. Wyciągnął już rękę, gdy nagle wstrzymał się, cofając ją. Na ziemi obok leżał na wpół spalony, martwy szczur.

- Pod napięciem - mruknął do siebie.

Paul rozejrzał się na boki, starając się prędko zdecydować, czy zawrócić, czy też może istnieje jakiś sposób pokonania przeszkody.

- Cholera! - zaklął, po czym porwał wielki nóż gerber i zaczął ryc w błocie zmieszonym z piaskiem. Skoro nie mógł przejść przez płot ani nad nim - postanowił przedostać się pod drutami. Zerknąwszy w górę, przyłgął do ziemi, wstrzymując oddech i niemal dotykając drutu gołą ręką. Krąg reflektora przesunął się środkiem terenu między ogrodzeniami, mijając go zaledwie o cale. Gdy tylko światło oddaliło się, zaczął dalej kopać.

Chociaż raz był zadowolony, że nie jest tak wielki i szeroki w barach jak Rourke. Wybrał ziemię dłońmi, powiększając jamę pod drutami. Reflektor wykonywał kolejną rundę, więc przypadł znów do ziemi, jak najbliższej płotu, zauważając tym razem, że światło omiata częściej i szybciej teren między ogrodzeniem wewnętrznym a zewnętrznym. Tamto przynajmniej nie było pod napięciem. Godzinę temu wszyscy więźniowie kompleksu zostali zapędzeni do namiotów, które służyły im za schronienie, i teren obozu opustoszał. Lecz wcześniej Paul widział ich ręce, twarze - wszystkie dotykające tamtych drutów. "Możliwe - myślał, zaczynając znów kopać - że to mniejsze ogrodzenie podłączono do prądu po odejściu ludzi." Musiał jednak zaryzykować.

Niewielki rów wydawał się już dosyć szeroki i wsuwając się weń akurat w porę, by uniknąć kolejnego przejścia reflektora, zaczął przeciskać się na plecach pod ogrodzeniem. Nagle koszula wyszła mu ze spodni i na plecach poczuł dotyk ziemi.

Pociągnął, ale coś go zatrzymało. Przód koszuli był zaczepiony o kolec najniższego drutu. "Może w tym najniższym nie ma prądu - pomyślał - a może po prostu materiał koszuli go nie przewodzi." Nie wiedział. Wciągnął brzuch, żeby nie dotknąć kolca skórą. Spojrzał na boki i za płot widząc, że reflektor znów się zbliża. Krąg światła przejdzie mu przez stopy, ujawni jego obecność.

Poczuł w środku falę mdłości. Szalony pęd myśli nie dawał mu spokoju. Musiał zaryzykować.

Łokciem okrytym rękawem koszuli dotknął ostrożnie drutu. Nic się nie stało. Rubenstein wyciągnął obie dłonie i odczepił koszulę z kolca, po czym prześliznął się pod ogrodzeniem. Reflektor omiółtł ziemię w momencie, gdy stopy mężczyzny zdążyły uciec w cień. Był po drugiej stronie!

Paul podniósł się na klęczki. Przez chwilę patrzył na druty, by następnie sięgnąć do kieszeni skórzanej kurtki. Nie było tam nic, czego mógłby użyć, jednak musiał to sprawdzić. Wziąwszy nożyce do drutu, wsunął je pod najniższe pasmo ogrodzenia i używając jak szczypiec laboratoryjnych, chwycił martwego szczura i przeciągnął pod drutem ku sobie. Patrząc na przypalone stworzenie, wykrzywił kąciaki ust z obrzydzenia. Nie cierpiał takich rzeczy. Podniósł nożycami szczura i rzucił go na drugi drut od dołu. Wówczas cofnął się, zasłaniając twarz prawą ręką. Zwłoki zawisły przez chwilę na drucie, smaląc się i ciskając elektryczne iskry. Żołądek Paula skurczył się i zdawało mu się, że zwymiotuje, lecz zamiast tego śledził reflektor, który znów się zbliżał. Rzucił się przez kilka stóp terenu do najniższego płotu i ukrył się przy nim. Nie zważając na możliwość porażenia, dotknął nożycami najniższego pasma, następnie wyższego.

- Bogu dzięki! - szepnął, wydając długie westchnienie. Gdy światło przesunęło się obok, zaczął przecinać druty, wykorzystując ten sam sposób, co poprzednio: około czterech stóp pionowo i mniej więcej trzy poziomo.

Obejrząwszy się przez ramię, z nożycami już w lewym ręku, odchylił wyciętą część ogrodzenia i precyzyjnie przeszedł na teren obozu.

Zagiął za sobą z powrotem druty i w przysiadzie, z uchwytem Schmeissera w prawej dłoni, zlustrował okolicę. Dostrzegł tylko jednego strażnika, który szedł powoli wokół terenu w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów. Rubenstein ruszył w stronę najbliższego namiotu. Wsunął się do środka.

Paul zatrzymał się, gdy w nozdrza uderzył mu odór przyprawiający o torsje, a w uszach usłyszał brzęczenie rojących się w całym namiocie much. Spojrzał na twarze ludzi w żółtym świetle pojedynczej żarówki, wiszącej na sznurze w centrum namiotu, wokół której kręciły się muchy i ćmy. Utrudzone twarze były młode i stare, niektóre we śnie, którego nie przerywało natęctwo owadów. Obok śpiącej kobiety kwiliło dziecko. Postąpił bliżej, zmiatając kopniakiem mysz ogryzającą nóżkę niemowlęcia.

Paul Rubenstein stał tam przez chwilę, ze łzami napływającymi do oczu i okularami zaszłymi nieco mgłą. W tym krótkim momencie poczuł wdzięczność do broni, którą niósł ze sobą, do nauk, które pozwoliły mu uniknąć podobnego losu. Był wdzięczny Rourke'owi za wszystkie lekcje przetrwania.

Przypomniały mu się słowa: "Moi bracia Amerykanie...", o których pomyślał wcześniej, poza drutami, na widok karalucha przy palmie. Rubenstein stał płacząc, z prawą pięścią zaciśniętą mocno na kolbie karabinu.

ROZDZIAŁ XXVIII

Sarah stała za kołem sterowym rybackiej łodzi, spoglądając w stronę brzegu, by przekonać się, czy potrafi jeszcze dostrzec w mroku pana Coina. Nie potrafiła.

- Było ciężko, prawda, pani Rourke? - zapytał Harmon Kleinschmidt.

Spojrzała na młodego człowieka, siedzącego u jej stóp, podczas gdy ona stała przed przyrządami nawigacyjnymi.

Zanim odpowiedziała, popatrzyła ku rufie. Na brezencie przykrywającym krew młodego żołnierza drzemali Michael i Annie.

- Nazywam się Sarah - oświadczyła. - Nie musisz nazywać mnie panią Rourke. Nie jestem aż tak wiele starsza od ciebie. Tak, było raczej ciężko.

- Widziałem te plamy krwi. Musiałaś kogoś zabić, tak?

- Sądziłam, że dżentelmeni nie zadają takich pytań.

- Nie jestem aż tak bardzo dżentelmenem... a ty z pewnością też... Sarah.

Oderwała wzrok od wody z przodu, by ponownie spojrzeć na Kleinschmidta.

- Co masz na myśli? - zapytała, wciąż marznąc w przemoczonym ubraniu.

- Zaraz to wytłumaczę. To chyba nie w porządku, żebyś ty z dziećmi robiła dalej to, co robisz. Trzeba ci mężczyzny, żeby się wami wszystkimi zaopiekował. Chyba mógłbym się zgłosić na ochotnika. Lubię cię bardzo, Sarah.

Zapłonila się. Nie wiedziała, co odpowiedzieć temu mężczyźnie, czy raczej chłopcu. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, może mniej.

- To uprzejmie z twojej strony, Harmon.

- To nie żadna uprzejmość, Sarah, mówię, co myślę.

- Wielu mężczyzn ma takie uczucia dla kogoś, kto im pomógł, jak na przykład pielęgniarka.

- To wcale nie tak - odparł stanowczo.

- Wiesz, lepiej teraz odpocznij - zaczęła.

- Mam dość odpoczywania, dość tej całej wojny, dość wszystkiego.

- Ja też - powiedziała szczerze. - Parę godzin temu zabiłam nożem człowieka. Mój syn Michael również kiedyś zabił. Od wybuchu wojny zabijałam ludzi. Bywaliśmy chorzy, zmarznięci, przemoczeni, obywaliśmy się bez snu. Ja też mam tego dość.

- Słyszałem, że północno-wschodnia Kanada nie oberwała mocno. Spotkałem kiedyś faceta, co stamtąd wracał, przez całą drogę nie trafił na komuchów. Podobno miasto Nowy Jork jest całe zniszczone, ale dalej, na północy, jest wciąż jak dawniej. Komuchy się tam nie pchają, bo pewnie im za zimno. Człowiek mógłby tam sobie ułożyć życie, z odpowiednią kobietą i dziećmi jak te.

Sarah spojrzała na niego pragnąc, żeby nie siedział tak blisko.

- Jak daleko jest ta wyspa?

- Trzymasz się wciąż wskazań kompasu?

- Uhm - przytaknęła.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia minut. Tylko płyn przy wygaszonych światłach, żeby nas nie zauważyły łodzie patrolowe. Myślę, że moglibyśmy zabrać tę łódkę i dostać się nią do Kanady... Zostawić to wszystko za sobą...

- A co z ruchem oporu, z ludźmi w więzieniu, o których mówiłeś? - zapytała Sarah.

- Nie wiem... Ale chyba im nie pomogę, jak dam się zabić. Zrobiłem swoje. Zdaje się, że ty też zrobiłaś już swoje.

- Gdzieś tam jest mój mąż, który nas szuka.

- Nie wiadomo. Może nie żyje. A jeśli żyje, może myśli, że ty i dzieciaki nie żyjecie... Może znalazł inną kobietę.

- Może... - odrzekła Sarah. - Wszystko to jest możliwe. Ale jeżeli on żyje, to na pewno nas szuka. A powtarzanie sobie, że tak jest, to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu.

- A gdybym ci powiedział, że jest martwy? Albo tak bardzo zajęty życiem, że nie ma czasu ciebie szukać? A gdyby...

- A gdyby wojna wcale się nie zdarzyła? - Omiotła wzrokiem ciemny, oświetlony księżycem horyzont w poszukiwaniu jakiegoś śladu wyspy.

- Jak to się stało, że on nie był z tobą, kiedy to się zaczęło? To nie mój interes, wiem. Ale jak to było?

- My... - zaczęła. - Żyliśmy w separacji. Nic formalnego. Po prostu nie mogliśmy ze sobą wytrzymać przez ostatnie kilka lat. Przed samą wojną John wrócił. Zdecydowaliśmy się, postanowiliśmy spróbować jeszcze raz. To była moja wina, naprawdę. On chciał odwołać pracę, którą miał w Kanadzie, i zostać w domu. Ja powiedziałam, że potrzebuję czasu na zastanowienie, przemyślenie, żeby zacząć od nowa. Noc Wojny wypadła w czasie, kiedy miał wracać do mnie.

- Samochodem?

- Nie, samolotem.

- Z Atlanty nic nie zostało, Sarah, jeśli on tam wylądował. Słyszałem, że mnóstwo samolotów pasażerskich rozbiło się, kiedy zabrakło im paliwa i nie miały gdzie lądować albo po prostu wyleciały w powietrze, przeleciały za blisko rakiety czy wybuchu jakiejś bomby. On nie żyje... na pewno.

- Nie znasz mojego męża - odparła. - On jest inny niż ktokolwiek, kogo znasz.

- Jest jakimś supermanem, czy co?

- W pewnym sensie, chyba tak. Michael jest do niego bardzo podobny. Nie spodziewałabym się po chłopcu trzy razy starszym od niego tego, co on zrobił. To nie jest normalne.

- Co masz na myśli? - zapytał Kleinschmidt.

Księżyc przysłoniła chmura. Sarah nie widziała już młodej, zmęczonej twarzy Harmona, kiedy spojrzała w dół, w miejsce, gdzie siedział obok jej nóg, oparty o burtę.

- John Rourke jest prawie doskonały, naprawdę. Wydaje się, że wszystko umie, potrafi wszystko zrobić, rozwiązać każdy problem. On nie jest podobny do ciebie - oświadczyła Kleinschmidtowi. A po chwili dodała tak cicho, żeby nikt prócz niej samej nie słyszał: - Ani do mnie.

ROZDZIAŁ XXIX

Rubenstein poruszał się od namiotu do namiotu uważając, żeby nie zdradzić swojej obecności. Po wyjściu z pierwszego namiotu zwymiotował. Potem rozmawiał ze starszym mężczyzną, który nie spał, odpędzając muchy od ropiejącej rany na nodze. Światła w namiotach pozostawiano całą noc, aby mieć pewność, że nikt nie wychodzi i aby ułatwić inspekcję zagląającym wartownikom. Nie było żadnych wygod sanitarnych ani warunków do pielęgnacji małych dzieci, a niektórzy strażnicy - jak wyznał starzec - lubili znęcać się nad ludźmi. Byli wśród nich i uczciwi, lecz ci nie robili nic, kiedy inni zaczęli bić więźniów.

Starzec nigdy nie słyszał o emerytowanym pułkowniku sił powietrznych Dawidzie Rubensteinie ani o jego żonie.

Paul zatrzymał się teraz przed następnym namiotem, już piątym z kolei. Potrząsnął głową, zmusił się do wejścia, pochylając się nisko. Nadal starał się pozostać nie zauważony. Nie był pewien, czy odór w tym namiocie nie był aż tak obrzydliwy, czy też już się do niego przyzwyczaił. Było tu więcej dzieci - zmęczone twarze, zapadnięte oczy, wydęte brzuchy. Starzec - Rubenstein nie zapytał go o nazwisko - mówił, że większość dorosłych oddaje sporo swej żywności dzieciom i młodym matkom. A dzienny przydział jedzenia dla każdego dorosłego składa się z miski kaszy i niedobrej wody, dodatkowo dwa razy w tygodniu dawano rybę lub mięso. W kaszy było robactwo, a ryby i mięso zwykle cuchnęły. Wielu ludzi w obozie miało dyzenterię, tak mówił starzec.

Rubenstein szedł przez namiot, szukając rodziców, szukając znajomej twarzy i nie będąc pewnym, czy rozpoznałby kogoś z przyjaciół rodziców. W przeciwnym końcu siedziała kobieta z dzieckiem w ramionach, dziecko miało ciężki oddech. Nie spała i gdy ją mijał, zapytała szeptem: - Ktoś ty?

- Nazywam się Paul Rubenstein - powiedział, rozglądając się po namiocie.

- Co tu robisz?

- Szukam moich rodziców. Zna ich pani? Ojciec jest siwowłosa, na imię ma Dawid. Matka nazywa się Rebeka Rubenstein. Ojciec był pułkownikiem lotnictwa, zanim odszedł na emeryturę.

- A więc nie ma go tutaj - oświadczyła kobieta.

Paul wciągnął powietrze zastanawiając się, o co kobiecie chodzi; obawiał się zapytać.

- Nie może być tutaj. Ja też miałam być w innym miejscu - mówiła, odpędzając muchę. - Ale byłam w ciąży, więc zostawili mnie tutaj. Straciłam dziecko - ciągnęła głosem nie zdradzającym cienia emocji. - Nie wiem, co potem z nim zrobili. Nigdy mi o nim nie mówili... to był chłopiec. Mój mąż Ralf byłby z niego dumny, takie ładne dziecko. Ralf też jest z lotnictwa, dlatego go zabrali. Do jakiegoś obozu specjalnego koło Miami, dla wojskowych i ich rodzin. Mam nadzieję, że nic nie zrobili Ralfowi. Nazwałabym dziecko Ralf, po ojcu. To był śliczny chłopak. Nie wiem, co z nim zrobili. Nazwałabym go Ralf, wiesz?

Rubenstein popatrzył na nią, szepnął: "Przykro mi" i wyszedł z namiotu. Przykucnął przed wejściem, płacząc cicho.

- Niech ich szlag - burknął.

Zaczynało padać, a w dali, pod ciemnymi chmurami dało się widzieć cienki sztylet słonecznego światła, lekko czerwony. Obóz wkrótce się obudzi; musiał wydostać się, nim go złapią. Obejrzał się na namiot. Słyszał, jak kobieta mówi do siebie.

Powziął decyzję. Zamierzał pojechać do Miami i odnaleźć rodziców, w jakimkolwiek przeklętym obozie by byli, o ile w ogóle jeszcze żyją. Ale najpierw miał zamiar zrobić coś tutaj. Nie wiedział jeszcze, co. Był tu ten człowiek z Wywiadu Wojskowego. "Może on mógłby pomóc" - pomyślał Rubenstein.

Paul wtulił się w płótno namiotu. Usłyszał hałas, warkot silnika. Spojrzał na prawo - zbliżał się amerykański jeep wojskowy, w środku jechało trzech Kubańczyków. Deszcz zaczął teraz lać strumieniami, zerwał się porywisty wiatr. Rubenstein poprawił okulary, odgarnął z czoła czarne, rzadzące włosy. Pociągnął rączkę zamka Schmeissera, ładując go.

Paul Rubenstein podniósł się na nogi, stając prawie na wprost jeepa, którego reflektory rzucały światło tuż na lewo od niego. Wydobywając z płuc całą moc, młody człowiek krzyknął:

- Żreć ołów, sukinsyny! - I pociągnął za spust Schmeissera. - Kontrolowanie cyngla! - zawołał, powtarzając wieczne ostrzeżenie Rourke'a, aby przyciskać i popuszczać spust, utrzymując serie po trzy pociski z trzydziestu sztuk w magazynku. Kierowca jeepa upadł na kierownicę, człowiek obok poszedł w jego ślady, a trzeci, siedzący z tyłu, wyciągnął pistolet. Paul nacisnął ponownie spust Schmeissera, pakując trzy kule w pierś mężczyzny. Kubańczyk runął w tył, staczając się w błoto.

Rubenstein biegł obok samochodu, który pędził teraz prosto na jeden z namiotów.

Paul skoczył od przodu, stawiając lewą nogę w samochodzie i jednocześnie ręką odpychając martwego Kubańczyka z kierownicy.

Wyhamował ostro, zauważając po raz pierwszy, że nad obozem snuje się szare światło. Świtało. Przeturlał ciało pasażera, a następnie kierowcy przez prawą burtę wozu, zwracając pojazd w przeciwną stronę. Z namiotów wychodzili ludzie. Gdy ślizgiem obrócił jeepa wokół, dusząc hamulec i szarpiąc się z wrzuceniem pierwszego biegu, spostrzegł biegnących ku niemu z odległego końca obozu wartowników.

Zacisnął zęby i dodał gazu, ruszając naprzód. Chlapała nań woda z kałuż, gdy pędził przez błoto. Niektórzy więźniowie rzucili się w stronę nadbiegających Kubańczyków.

- Nie! - ryknął Rubenstein widząc, jak seria karabinu maszynowego kosi kobiety i starców.

Paul odpiął lewą ręką magazynek Schmeissera, by zastąpić go nowym. Zbił przednią szybę. Oparł stalowoczarny karabin na desce rozdzielczej i otworzył ogień.

Z blaszanych baraków wypadały tuziny - tak mu się zdawało - strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe lub pistolety. Byli na wpół ubrani, krzyczeli i strzelali do niego. Rubenstein nie przerywał ognia. Spojrzał w lewo - obok jeepa biegł Kubańczyk, wyciągając ręce, by go pochwycić.

Paul podparł kierownicę kolanem i wyciągnawszy z pasa nożyce do drutu, cisnął stalowe narzędzie za siebie, po czym obejrzał się. Żołnierz upadł, nożyce utkwili w jego piersi.

Z uśmiechem Rubenstein wcisnął sprzęgło i zmienił bieg. Jeep przemykał obok namiotów, baraków, mijał wściekłych, wrzeszczących strażników.

Rubenstein posłał następną serię ze Schmeissera, trafiając mężczyznę wyglądającego na oficera. Paul miał nadzieję, że to komendant obozu.

Schmeisser był pusty, więc cisnąwszy go na siedzenie obok, chwycił wysłużonego browninga. Odciągnął bezpiecznik i wypalił w twarz kubańskiego żołnierza, który rzucił się na maskę

samochołu.

Żołnierz spadł; ozwał się wrzask, kiedy jeep podskoczył na nierówności. Rubenstein nie dbał o to, co to było.

Z plującym ogniem browningiem w prawej ręce, lewą szarpnął kierownicę, wprowadzając pojazd w ostry zakręt i dodał gazu. Ręką z pistoletem przełożył dźwignię biegów na "trójkę". Ryk silnika wzmógł się tak bardzo, że Paul ledwie słyszał krzyki żołnierzy.

Sto jardów z przodu była brama, a do niego biegło dwóch Kubańczyków. Rubenstein wyciągnął w prostej ręce browninga i strzelił dwukrotnie - bliższy mężczyzna podniósł dłonie do twarzy i upadł. Drugi wskoczył do jeepa, wyciągając ręce do gardła Paula. Rubenstein próbował otworzyć ogień, ale człowiek mu przeszkadzał, a jego dłonie zaciskały się na szyi, gdy tymczasem samochód wymykał się spod kontroli.

Paul upuścił browninga i chwycił Kubańczyka za twarz, a wepchnąwszy mu palce do ust, za lewy policzek, szarpnął z całej siły.

Twarz mężczyzny rozpekła się po prawej stronie, palce rozluźniły się na szyi Rubensteina, który znowu sięgał po pistolet. Nacisnął spust i lufa chlusnęła ogniem w pierś żołnierza; wrzask z rozerwanej twarzy zabrzmiał mu głośno w uszach, gdy raniony zwałił się w błoto.

Rubenstein skręcił kierownicą w prawo, waląc lewym błotnikiem w stosy jakichś skrzyń, które runęły na ziemię. Ściskając w dłoni broń, skręcił jeszcze ostrzej w prawo. Do głównej bramy miał nie więcej niż pięćdziesiąt jardów. Stało tam z tuzin strażników, ziejąc ku niemu ogniem z karabinów.

Paul wcisnął pistolet za pasek spodni i sięgnął na siedzenie po Schmeissera. Przytrzymując nogą kierownicę, wymienił magazynek. Pociągnął dźwignię zamka i opierając lufę na masce, wrócił lewą ręką do kierownicy. Nie strzelał.

Odległość od bramy skurczyła się do dwudziestu pięciu jardów. Przypomniawszy sobie, co Rourke mówił mu o praktycznym zasięgu siły rażenia. Dwadzieścia jardów. Strażnicy przy bramie wciąż strzelali. Przy piętnastu Paul zaczął strzelać seriami po dwa pociski, celując w największe skupisko żołnierzy. Jeden upadł, za nim następny. Reszta pierzchnęła na boki przed pędzącym samochodem.

Paul utrzymywał równomierny strumień ognia, trafiając kolejnego Kubańczyka. Zbliżając się do bramy, nadepnął pedał gazu do oporu.

- Teraz! - krzyknął do siebie. W tej samej sekundzie przód pojazdu trzasnął w bramę, roznosząc ją na strzępy. Jeep zabuksował przez chwilę, by zaraz skoczyć do przodu. Rubenstein skierował karabin za siebie i opróżnił magazynek, skręcając ostro na drogę.

Gdy przemykał obok ogrodzenia, hałas strzelaniny z tyłu niemal całkiem ucichł. Spojrzał w prawo na obóz. Widział mężczyzn, kobiety i dzieci; zdawało mu się, że dostrzega starca z ropiejącą raną nogi, który tak wiele mu powiedział, młodą kobietę z martwym niemowlęciem. Łzy zakręciły się w oczach Paula. Uznał, że przyczyną tego jest pęd powietrza podczas jazdy. Więźniowie pozdrawiali Rubensteina.

ROZDZIAŁ XXX

Natalia stała pod prysznicem, czując na ciele gorący strumień wody. Zdała sobie sprawę, że pragnie splukać z ciała coś więcej niż piasek. Puściwszy przez chwile zimny strumień, zakręciła wodę i wyszła. Wzięła ręcznik i zawinęła nim włosy, drugim owinęła się cała. Z jeszcze nieco mokrymi stopami opuściła łazienkę i przeszła przez dywan sypialni do podwójnych, oszklonych drzwi na przeciwnym końcu. Tu wyszła na mały balkon z widokiem na morze. Była rozczarowana. Nie zdążyła na wschód słońca.

Mimo chłodu stała tam przez chwile, po czym wróciła do środka, by wytrzeć się do sucha i założyć długi do kostek szlafrok. Wyjęła z szuflady papierosa i zaciągnęła się nim mocno. Następnie, z włosami ciągle zawiniętymi w ręcznik, ponownie wyszła na balkon i stając przy balustradzie, patrzyła na plażę i ocean.

Chciała jak najszybciej zapomnieć o minionej nocy. Rozumiała, dlaczego Santiago był taki, jaki się okazał wobec kobiety. Nie sądziła, żeby było to spowodowane nadmiernym podnieceniem. “To problem, który może mieć tylko mężczyzna” - myślała. Przeprosił ją wówczas, po czym zamilkł. I teraz miała wrażenie, że zaufał jej, będąc przekonany, że Natalia zna jakiś jego nieczysty sekret.

Mimo że umyła trzykrotnie uda, wspomnienie tego, co przytrafiło się Santiago, zanim był zdolny zrobić to, co chciał z nią zrobić, wciąż pozostało. “W normalnych okolicznościach czułabym dla niego współczucie” - myślała. Ale on był taki obłudny, taki fałszywy. Pozornie męski, niemal “samczy”, generał zachował się jak młody chłopak.

Była zadowolona, że nic mu się nie stało - tego nie chciała. Kiedy żył jeszcze Karamazow, Natalia wykorzystywała czasami swój urok w celu zdobycia informacji. Jednak nigdy tego nie lubiła, nawet mimo zapewnienia Władimira, że nie będzie jej winił za nic, co uczyni.

Kiedy Santiago ją całował, myślała tylko o Rourke’em, wyobrażała sobie, że jest z nią, a po fakcie zdała sobie sprawę, że z Rourke’em wyglądałoby to zupełnie inaczej. Objęła się rękoma w chłodzie wiatru, patrząc ku niebu, które wróżyło deszcz.

- John... - szepnęła.

Rourke zabił Karamazowa, ale zrobił to dla niej, jak tłumaczył jej wuj. Czy powinna dotrzymać przyrzeczenia, że go uśmierci?

“Ta niepewność w środku wyniszcza mnie” - pomyślała Natalia. Jednakże teraz bardziej niż kiedykolwiek była pewna, że kocha tego Amerykanina. Zastanawiała się z roztargnieniem, czy odnalazł już swoją żonę i dzieci. Gdyby był z nimi, to chyba uprościłoby sytuację. Wówczas on nie miałby powodu, aby o niej myśleć, a ona wiedziałaby, że jest nieosiągalny.

Natalia uśmiechnęła się. Była pewna, że jeśli ma walczyć z czymś, co mieszka tylko w sercu Rourke’a, nigdy nie będzie w stanie zwyciężyć.

ROZDZIAŁ XXXI

John Rourke wychylił pół szklaneczki whisky, spojrzął na zegarek i odszedł od stołu w kierunku zasłoniętego okna. Odchylił zasłonę, mrugając oczyma w blasku słońca. Na horyzoncie zbierały się ciemne chmury, ale nad nimi słońce świeciło jasno. Rozsunął kotary tak, że pokój zalał się światłem.

Przeszedł ponownie przez izbę, gasząc po drodze lampę, która oświetlała stół przez całą noc i wczesny poranek. Spojrzął na Chambersa, następnie na Sissy Wiznewski.

- Nie wiem, kto z nich jest agentem komunistów. Informacje w ich aktach osobistych są nieścisle.

- To wszystko, co mamy - odrzekł Chambers.

- Wiem. - Rourke pokiwał głową. - Ufam Reedowi. Nie sądzę, żeby to on był zdrajcą. To nie może być jakaś płotka, raczej ktoś z dostępem praktycznie do wszystkiego, co robicie.

- Dlaczego nie zaatakowali tutaj? - zapytała dziewczyna.

Chambers wzruszył ramionami. Rourke odpowiedział za niego:

- Przeprowadzenie tutaj ataku na dużą skalę byłoby czasochłonne, kosztowne i wymagałoby dużej ilości wojska, na którym Rosjanom nie zbywa. Dopóki mają pod lupą prezydenta Chambersa, znają każdy jego ruch, dopóty ich to nie martwi. To jest lepsze niż schwytanie go. Gdyby pojмали pana prezydenta, funkcję przywódcy przejąłby ktoś inny i nie mieliby pojęcia o planach i działaniach U.S.II. A w ten sposób wiedzą wszystko. Kiedy tylko znajdziemy zdrajcę, będzie to całkiem inna historia. Ta okolica stanie się chyba dla ciebie za gorąca. - Odwrócił się do Chambersa. - Będzie pan musiał stąd wyjechać i poszukać kryjówki gdzie indziej. - Ponownie zwrócił się do Sissy: - Ten zdrajca, kimkolwiek jest, jest powodem, dla którego nie pchają się tutaj. Tak oczywiste, prawdopodobnie mogliby przy odrobinie wysiłku wykorzystać tego szpiega do zamordowania prezydenta. Ale ludzie z KGB nie są aż takimi idiotami, żeby samym sobie robić szkodę.

- Jest pan pewien, że tutaj jest zdrajca? - zapytał ochryple Chambers.

- Musi być. I widzę tylko jeden sposób, żeby go stąd wykurzyć. Najlepszy podstęp bez używania w ogóle podstępu. Niech pan zwoła nadzwyczajne zebranie.

- Dlaczego nigdy nie startował pan w wyborach na prezydenta, panie Rourke? Zagłosowałbym na pana. - Chambers uśmiechnął się.

Rourke odwzajemnił uśmiech.

- Są lepsze rzeczy do roboty - rzekł.

ROZDZIAŁ XXXII

Sarah Rourke stała na plaży z pledem na ramionach i wciąż zmarzniętym ciałem. Harmon Kleinschmidt obejmował ją w pół, "żeby się podeprzeć" - przekonywała samą siebie. Michael i Annie stali kilka kroków przed nią. Obejrzała się przez ramię na rybacką łódź, kołyszącą się na przybrzeżnej fali.

Przeniosła wzrok w głąb plaży ku skałom za nią. Od pewnego czasu śledziła tam jakiś ruch, a teraz wreszcie ludzie, którzy ją obserwowali, zaczęli schodzić na dół.

Sarah, nie uzbrojona postąpiła krok naprzód, obok niej szedł Kleinschmidt.

- Sarah, idą - odezwał się do niej.

Patrząc skinęła tylko głową. Przez plażę szło około dwu tuzinów kobiet, niektóre niosły pistolety, inne karabiny. Jedna trzymała niemowlę, które ssalo jej lewą pierś, w prawej ręce zaciskała pistolet. Były wśród nich także dzieci w wieku zbliżonym do Michaela i Annie. Większość kobiet wyglądała młodo.

Michael spojrzał na nią. Sarah kiwnęła głową uspokajając:

- W porządku, Michael. To dzieci, z którymi ty i Annie będziecie mogli się bawić. Zobaczysz. - Widziała, jak syn patrzy na Kleinschmidta, świdrując go wzrokiem i zaciska szczękę, jak często robił to John.

- No widzisz, Sarah... Twoje dzieciaki będą miały z kim się bawić, kiedy mu tu będziemy czekać.

- Czekać?

- Chcę, żebyś ze mną została, Sarah. Naprawdę. Przekonam cię do tego.

- Hej, Harmon! - zawołała kobieta z dzieckiem na rękę. Zatrzymała się, wierząc w piasku gołymi palcami stóp.

- Hej, Mary Beth. To jest Sarah, a to Michael i Annie, dobre dzieciaki.

Sarah obserwowała spojrzenie, jakie Michael rzucił Kleinschmidtowi. Nie bardzo podobało jej się to, co zobaczyła w jego oczach.

- Poślę kogoś, żeby wyprowadził i zatopił łódź - odezwała się Mary Beth.

- Nie trzeba - odparła Sarah. - Jestem tu w charakterze taksówkarza. Harmon był ranny, więc go przywiozłam. Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał nic przeciw, jeśli zostaną tu przez jakiś czas, dam odpocząć dzieciom. A potem odpływam.

- Oboje wypływamy - oświadczył Harmon.

Sarah podniosła wzrok, patrząc mu w oczy. Nie była pewna, czy podoba jej się to, co w nich ujrziała.

- Więc wprowadźcie łódź na płyciznę, tam dalej wzdłuż plaży. - Mary Beth wskazała kierunek pistoletem. - Przycumujcie ją i zamaskujcie. Jak Ruskie wypatrzą tu łódź, na pewno zaczną nas szukać.

- Zgoda - rzekła Sarah.

- No to chodźmy - powiedziała Mary Beth uśmiechając się. - Zaprowadzę cię i przypilnuję

dzieciaków. Dziewczęta pomogą zaprowadzić Harmona do jaskini. A potem chyba wszyscy pomożemy ci z tą łodzią. Idziemy. - Ruszyła do dzieci, ale Michael objął siostrę i nie pozwalał się prowadzić. Mary Beth popatrzyła na rodzeństwo. - Bądź grzeczny, chłopcze. Rób to, co inni.

- Zobaczysz - szepnął Harmon Kleinschmidt. - Wszystko będzie dobrze.

Sarah tylko nań popatrzyła. Był jedynym dorosłym mężczyzną na wyspie i nie potrafił zrobić dwóch kroków bez czyjejs pomocy. Pokręciła głową, drżąc lekko. Wcale nie sądziła, że wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ XXXIII

John Rourke czekał w cieniu przy rogu budynku obserwując. Chambers zwołał zebranie nadzwyczajne, nie zawiadamiając o przybyciu Johna, lecz ujawnił obecność Sissy Wiznewski. Prezydent poinformował doradców o grożącej Florydzie katastrofie, powiedział im o wszystkim, co nie miało związku z planem Johna, dotyczącym wykrycia zdrajcy. Jeszcze przed zebraniem Chambers wybrał jedenastu mężczyzn, Rourke był dwunastym. Tych dwunastu zostało wyselekcjonowanych spośród Wywiadu Wojskowego. Byli to ludzie, którzy według prezydenta, cieszyli się zaufaniem Reeda.

Wreszcie zebranie zakończono. Rourke czekał. Przez czysty przypadek zdecydował się śledzić Randana Soamesa, dowódcę Ochotniczej Milicji Teksasu. Każdy z pozostałych mężczyzn miał również śledzić jednego doradcę. "Gdyby ktoś opuścił teren, byłby to prawie niezbity dowód, iż to on jest zdrajcą" - stwierdził Rourke.

Obserwując teren w poszukiwaniu jakiegoś śladu Soamesa, Rourke myślał o tym, że sprawa nie ogranicza się, niestety, do znalezienia zdrajcy. Po wykryciu go trzeba będzie śledzić jego ruchy, aby dotrzeć do ludzi czy środków, za pomocą których porozumiewa się z Sowietami. A przez ten łańcuch mógłby skontaktować się z Warakowem. Czas już wymykał się z rąk i istniała niewielka nadzieja na ewakuację.

John postawił kołnierz kurtki, zasłaniając szyję przed zimnym wiatrem. Swój pas z bronią zostawił przy motocyklu. Gdy zapiął skórzane odzienie, sprawdził bliźniacze "czterdziestki piątki" Detonics w podwójnej pochwie Alessi pod pachą - były bezpieczne, a zapasowe magazynki znajdowały się przy pasku spodni w specjalnych kieszeniach, zabezpieczających przed tarciami.

Wciąż czując zimno, Rourke wcisnął się w niszę, przy której stał. Nagle znieruchomiał. Przez teren w kierunku bramy szedł Randan Soames, ubrany w Levis'y i kraciastą koszulę w westernowym stylu, na głowie miał czarnego Stetsona. "To zbyt łatwe" - pomyślał Rourke. Gdy tylko Soames zniknął za bramą, John rzucił się za nim w pościg, a dopadłszy bramy, kiwnął na wartownika i wyjrzał na drogę, Soames szedł powoli. Rourke zwrócił się do strażnika. Zarówno ludzie z wywiadu, jak i z żandarmerii wojskowej byli pod rozkazami Reeda.

- Czy ten człowiek mówił, dokąd wychodzi, kapralu?
- Nie, proszę pana... Chyba po prostu na spacer. On wiele spaceruje, niektórzy inni też.
- Na jak długo zwykle wychodzi?
- Pan nazywa się Rourke, prawda?
- Racja, synu - odrzekł John.
- Około pół godziny. Ale gdyby chodził gdziekolwiek pieszo, przez ten czas mógłby dotrzeć tylko do miasta, żeby zdążyć wrócić. Miasto jest teraz opuszczone i nie miałby tam czasu na nic więcej niż zawrócić i przyjść z powrotem.
- Czy zawsze chodził tą drogą? - zapytał Rourke, wskazując ulicę.
- Przynajmniej za każdym razem, kiedy go widziałem, proszę pana.

- Dziękuję, kapralu. - Rourke uśmiechnął się i ruszył ulicą w ślad za Soamesem, trzymając się muru ogradzającego teren, dopóki mężczyzna nie zniknął za wzniesieniem. Wówczas zaczął biec ile sił w nogach, by dotrzeć do wzniesienia i paść tam obok drogi.

Randan Soames nie szedł prędko, nie oglądał się - nie miał żadnych powodów do podejrzeń. Rourke czekał. Może rzeczywiście Soames szedł tylko na przechadzkę - dla mężczyzny w jego wieku zdawało się to całkiem naturalne, a cały dzień pracy za biurkiem mógł zmęczyć każdego. Obserwował, jak Soames pokonuje kolejne wzniesienie - nie było nawet widać, żeby miał broń. Rourke nie widział, żeby ktokolwiek w tych czasach wychodził nie uzbrojony, chyba że był kompletnym idiotą.

John podbiegł do następnego wzniesienia w samą porę, żeby zdążyć dojrzeć, jak Soames rzuciwszy spojrzenie za siebie, skręca ku grupce drzew. Rourke patrzył i czekał myśląc, że w drzewach może być ukryte radio. Ale gdy zaczął się podnosić, by ruszyć w stronę drzew, Soames pojawił się ponownie, pchając przed sobą niewielki motocykl. Była to Honda, jedna z tych produkowanych wiele lat wcześniej i projektowanych z zamiarem pomniejszenia rozmiarów, kierownicę miała składaną dla ułatwienia przechowywania. John czytał kiedyś coś na temat tego pojazdu. Prędkość maksymalna wynosiła trzydzieści pięć mil na godzinę.

Soames rozejrzał się po drodze, po czym dosiadł motocykla, zapuścił silnik i ruszył w kierunku opustoszałego miasta.

Rourke zrozumiał teraz, w jaki sposób szpiegowi udawało się tak prędko odbyć swój "spacer", sprawiając jednocześnie wrażenie, że gdyby dochodził do miasta, nie miałby tam na nic czasu. "Musiało być ryzykowne trzymać tutaj motocykl" - pomyślał Rourke. Lecz wszakże szpiegostwo też nie było bezpiecznym zajęciem.

Jedyne, co mu teraz pozostało, to biec. Rourke ruszył w dół wzniesienia. Żałował, że nie był na tyle przezorny, by zostawić w pobliżu własny motocykl. Żałował też, że nie może wezwać przez radio jakiegoś środka transportu. Ale nie miał pojęcia, na jakiej częstotliwości Soames kontaktuje się z Sowietami i użycie radia było wykluczone. Biegł więc ile sił w nogach, zdejmując z pleców skórzaną kurtkę i ściskając ją w lewej dłoni.

Musiał liczyć na to, że Soames kieruje się do miasta i pozostawi motor na lub przy drodze. Tym małym motocyklem nie dało się jechać przez teren poza jezdnią - przynajmniej taką nadzieję żywił Rourke. Droga - jak pamiętał z przestudiowanej wcześniej mapy - wiła się, omijając nierówności gruntu i Rourke pobiegł teraz na skróty.

Kiedy drogą przed nim przejeżdżał Soames, zsunął się po niskim nasypie i staczając się w jakieś krzaki, przywarł do ziemi. Gdy motocykl go minął, Rourke podniósł się i przeskoczył przez jezdnię. Pobiegł trawiastym polem i dotarł znów do drogi akurat w miejscu, gdzie zaczynała skręcać do miasta. Z twarzą i szyją ociekającą potem, z rękoma pracującymi w przód i w tył jak u długodystansowca, John biegł dalej, by nie stracić z oczu Randana Soamesa.

Kiedy Soames skręcił, zatrzymał się i zanurkował do rowu przy drodze.

Dowódca paramilitarnych sił zbrojnych Teksasu zahamował motocykl i obejrzał się za siebie, a potem na boki. Rourke, wyglądając zza wysokiej trawy, dostrzegł uśmiech na jego twarzy. Motocykl ruszył dalej drogą w kierunku miasta.

Rourke wyskoczył z rowu i przekroczywszy jezdnię, ruszył równoległe do niej. Miał nadzieję, że Soames go nie zauważy, gdyby się obejrzał w tył. Wreszcie John dobiegł do budynku na skraju miasta.

Znak drogowy wyznaczający granice miasta był przewrócony, ale Rourke ocenił na podstawie zabudowań i ulic, że przed wybuchem wojny było to miasto zamieszkałe przez trzy do czterech tysięcy ludzi.

Wyjrzał zza węgła pustej remizy strażackiej, przy której stał. Soames skierował motor na ulicę prowadzącą w przeciwny koniec miasta.

Rourke zaczął znowu biec, czując ból w płucach. "Za dużo cygar" - pomyślał.

Mijał bloki, wybite okna sklepów, skrzynkę pocztową, przewróconą widocznie przez jakiś samochód spieszący się przy ewakuacji, odkręcony hydrant pożarowy, z którego wciąż kapały krople wody. Dobiegł do przecznicy i spojrzął na nią, by się upewnić, czy Soames go nie zwodzi, czy nie zawrócił. Potem ruszył dalej.

Przy ulicy był szeroki pas wypalanej trawy, na którego przeciwnym końcu stał kościół baptystów. Rourke zatrzymał się na chwilę dla złapania tchu, patrząc na kościół.

- Czemu nie został zniszczony? - zapytał siebie na głos, po czym potrząsnął głową i kontynuował pościg.

Miał do pokonania ostatni odcinek ulicy do miejsca, w którym Soames skręcił w przecznicę. Rourke dopadł wreszcie ściany narożnego budynku - kiedyś musiał się tu mieścić jakiś urząd - i oparł się oń ciężko, by wyrzeć zza węgła.

Przez chwilę serce w nim zamarło. Soames zniknął. Na drugim końcu ulicy, o jakieś dwie przecznice dalej, było natomiast widać potężny stadion i boisko lekkoatletyczne.

Rourke przyjrzał się dokładniej. Wydawało się, że stadion musiał kosztować więcej niż wszystkie pozostałe budynki miasta razem wzięte.

John sięgnął pod lewą pachę, wydobywając z pochwy jeden z Detonics'ów. Odbezpieczył go, pochylił się nisko i dalej ruszył biegiem, trzymając się blisko ścian mijanych budynków. Przeciął poprzeczną ulicę, po czym zwolnił, mając do stadionu nie więcej niż dwieście jardów. Widać było jeszcze białe linie na żuźlowej bieżni, za którą wznosiły się trybuny.

Jakiś wewnętrzny głos podszeptał Rourke'owi, że Soames jest właśnie tam. Wiatr znowu zaczął wiać. John założył z powrotem skórzaną kurtkę. Następnie ruszył wolnym truchtem przez boisko, wyciągnął spod prawego ramienia drugiego Detonics'a i odbezpieczył go.

Zatrzymał się przy wejściu na stadion, oglądając pył na betonowej powierzchni. Uśmiechnął się. W piasku widział prawie niedostrzegalny ślad opony.

Rourke ruszył wejściowym tunelem, a gdy dotarł do jego końca, omiół wzrokiem nieckę stadionu, mrużąc oczy w blasku słońca mimo ciemnych okularów. Widocznie rozgrywane tu mecze były transmitowane przez lokalne radio. Obok łoży na górze, po przeciwnej stronie trybun, była niska antena. Nadany przez tego rodzaju antenę sygnał mógł być przyjęty przez odbiornik o dość dużej mocy w promieniu około pięćdziesięciu mil.

Nie było widać żadnego śladu Soamesa ani jego motocykla.

Rourke wszedł po niskich, betonowych schodach na trybunę główną, po czym ruszył po obwodzie stadionu ku łożu i antenie.

Z Detonics'em w każdej dłoni John posuwał się wolno, rozglądając się na boki. Nie dbał już o to, czy Soames wykrył jego obecność, ponieważ nie było miejsca, gdzie szpieg mógłby uciec. Mógłby wprawdzie zniszczyć radio, ale to było mało prawdopodobne. Zamiast niszczyć środek kontaktu ze swymi sowieckimi mocodawcami, będzie raczej próbował o niego walczyć. Być może Soames miał broń ukrytą gdzieś na stadionie; może schował ją przy sobie - krótki rewolwer w

pochwie albo średniej wielkości automat za cholewą kowbojskiego buta. "To bez znaczenia" - pomyślał Rourke.

Zatrzymał się w pół drogi wokół stadionu obok łoża reporterskiej. Antena była przerdzewiała od deszczu, ale wyglądała na odnowioną, biegł od niej błyszczący kabel koncentryczny, który przechodził przez - jak się zdawało - świeżo wywiercony otwór w betonie pod trybuną główną.

Rourke rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem najbliższych schodów, prowadzących do kompleksu pod trybunami. Znalazłszy je, ruszył w tę stronę, by zatrzymać się na szczycie stopni. Spojrzał na pistolety w dłoniach, trzymając je, jakby ważył ich ciężar.

Z bronią gotową do strzału, z łokciami przyciśniętymi do boków - pomyślał, że musi wyglądać jak kowboj z niemych filmów - biegł po schodach w dół.

Zatrzymał się w połowie drogi, by poprawić okulary przeciwsłoneczne.

Dotarłszy do podnóża schodów, znieruchomiał z jedną nogą na ostatnim stopniu i drugą na betonowej posadzce tunelu. Wstrzymał oddech nasłuchując. Głosy. Usłyszał dwa głosy; słowa były niezrozumiałe, lecz dosyć wyraźne, by rozpoznać angielski. Dochodziły z przeciwnego końca tunelu.

Rourke zaczął iść, przyciskając ciało do szorstkiego betonu ściany. Pistolet w prawej ręce miał uniesiony, ten w lewej trzymał przy udzie.

Usłyszał głosy wyraźniej. Zatrzymał się, widząc czarną linię koncentrycznego kabla, który schodził z góry i biegł wzdłuż tunelu do końca. Rourke zdjął okulary i włożył do futerału pod kurtkę, po czym powoli i ostrożnie ruszył naprzód.

Teraz potrafił już rozróżnić słowa rozmowy, przynajmniej częściowo. Jeden z głosów należał do Soamesa:

- Nie dbam o to, Weskowicz. Czym tu się martwić? Co wielkiego się stanie, jak to cholerne trzęsienie ziemi zabije kolejnych Amerykanów i garść tych zawszonych Kubańczyków? Tak czy owak, twoich dowódców gównem oni obchodzą.

- Mądrze zrobiłeś, żeś przyszedł - zaczął drugi głos, Weskowicza, jak domyślał się Rourke. - Ale nie masz racji. Musimy się skontaktować z kwaterą główną. To poważna sprawa. Na Florydzie może w tej chwili pracować wartościowy personel. Przynajmniej ich trzeba stamtąd wydostać. Nie do mnie ani do ciebie należy rozsądzać, kto ma żyć, a kto umrzeć. Mówisz o katastrofie, która może pochłonąć miliony istnień. Chciałbyś to wziąć na swoje sumienie?

Rourke, stojąc w mroku przy ścianie, uśmiechnął się. Agent sowiecki, prawdopodobnie z KGB, wydawał się niemal ludzki. Natomiast Soames sprawiał wrażenie krwiożerczego zwierzęcia. John posunął się naprzód, jeszcze wolniej i ostrożniej, gdyż nie widział przed sobą w cieniu dalej niż na sześć stóp.

Zatrzymał się nagle, wstrzymując oddech i przeklinając w myśli. Pochylił się i roztarł gołeń prawej nogi, którą uderzył przed chwilą w motocykl Soamesa. Widocznie do tunelu prowadził jakiś podjazd. Rourke wsunął Detonics'a za pasek spodni i odnalazłszy wentyl przy tylnym kole, przy pomocy nierdzewnego kluczyka do kajdanek, ze swego kompletu, spuścił powietrze. Nie chciał, żeby Soames użył motocykla do ucieczki.

Włożywszy pęk kluczy do kieszeni, Rourke z powrotem wyciągnął pistolet. Ominął motor i przylgnął znów do ściany tunelu, posuwając się dalej.

Głosy były już teraz całkiem wyraźne:

- W takim razie idź i zadzwoń do Warakowa, czy kto tam odbierze... Ale powiadom, że to ja przesyłam te informacje.

- Wciąż się obawiasz, że generał Warakow przyjdzie po ciebie w środku nocy i zabije za nagabywanie dzieci, co? Nie spodobałeś mu się. Bałeś się go i on o tym wie.

- Stul pysk - warknął Soames.

Rourke postąpił dwa kroki naprzód, w wąski stożek światła, rzucając z niszy w ścianie tuż przed nim. Obrócił się i z wymierzoną bronią zajrzał do małej izdebki.

- Zgadzam się z tobą, Soames, ale stulicie pysk obaj - powiedział Rourke szeptem, celując jednym odbezpieczonym pistoletem w Soamesa, drugim w Weskowicza.

- Kto...

- Nie ruszać się, bo zabiję - przerwał Rourke.

Soames rzucił się w stronę radia; tego John nie przewidział. Rourke wypalił z Detonics'a i kula przeszła lewy bok szpiega, rzucając go na przeciwną ścianę.

Ale ku niemu, strzelając z pistoletu, biegł już Weskowicz.

Rourke strzelił z lewej ręki, ale Rosjanin, postrzelony w lewą nogę, rzucał się już na niego. Odezwał się głośny krzyk bólu i wściekłości. Pistolet Weskowicza wypalił i Rourke poczuł gorąco wybuchu na lewej ręce, gdy trzasnął "czterdziestką piątką" w prawej w poprzek szyi agenta KGB. Spojrzawszy na swą dłoń, nie dostrzegł rany, ale kula musiała przejść blisko, może nawet drasnęła skórę.

Lewa pięść Weskowicza wędrowała w górę, ale John zablokował ją przedramieniem. Rosjanin wrzasnął:

- Radio, Soames, rozwał radio!

Wytrącając kolaniem broń z ręki napastnika, Rourke spojrział ponad jego plecami ku Soamesowi. Ten, zataczając się, odchodził od ściany, z pistoletem wymierzonym w radio. Rourke usiłował podnieść Detonics'a do pozycji strzeleckiej, ale mocujący się z nim Rosjanin napał nań i "czterdziestka piątką" wypaliła w betonowy strop. Pocisk odbił się rykoszetem od ścian. Rourke uderzył przeciwnika na odlew, zwalając z nóg.

Wówczas wycelował oba pistolety i pociągnął jednocześnie za spusty. Obie kule trafiły Soamesa w środek ciężkości ciała. Teksański dowódca runął w tył, pistolet Detective Special 38 w jego dłoni strzelił w posadzkę.

Gdy w małym pomieszczeniu dźwięczało jeszcze ogłuszające echo wystrzałów, Rourke wykonał zwrot w prawo. Agent KGB podnosił broń do strzału.

Nie mając czasu na wycelowanie broni, Rourke rzucił się bokiem na Rosjanina. W chwili gdy upuszczone pistolety zagrzechotały o podłogę, Rourke lewą ręką dosięgnął uzbrojonej dłoni Weskowicza, prawą chwytając go za gardło.

Pistolet przeciwnika wypalił i czując dzwonienie w uszach, Rourke po raz pierwszy spostrzegł, że jest to Detonics taki jak jego własne, tylko chromowany. Trzymając Rosjanina za przegub ręki, w której trzymał broń, Rourke trzasnął nią o posadzkę. Pistolet ponownie wystrzelił.

Rourke puścił gardło mężczyzny i uderzył go prawą pięścią w szczękę.

Głowa Weskowicza poleciała w tył i John podniósł się na kolana, by dosięść go okraciem. Popatrzył mu w oczy - powieki były zamknięte, drgały. Zerwawszy palce mężczyzny z broni, Rourke schylił się, by posłuchać oddechu. Dotknął palcami jego szyi, potem przegubu. Wreszcie podniósł nieco głowę. Cios zadany Rosjaninowi był tak silny, że przetrzącił mu kark i mężczyzna nie żył. Tego Rourke nie zamierzał.

Zabezpieczył zdobyczną broń i wsunął za pas. Odnalazł własne pistolety, po czym podszedł do

Soamesa. Mimo trzech kul z "czterdziestki piątki" dowódca sił paramilitarnych jeszcze oddychał.

Rourke obrócił delikatnie jego ciało. Oceniał, że rany spowodują śmierć, ale jeszcze nie w ciągu najbliższych minut, jeśli ten człowiek miał dobrą kondycję.

- Soames, w jaki sposób kontaktujesz się z Rosjanami?

- Idź do diabła...

Rourke odbezpieczył pistolet i dotknął wylotem lufy kości policzkowej zdrajcy. Zaczął mówić tonem niemal ciepłym:

- Mogę pozwolić ci umrzeć bezboleśnie albo w męczarniach, Soames. Wiesz, że jestem lekarzem. Pod kurtką mam mały zestaw pierwszej pomocy - skłamał. - Mogę dać ci zastrzyk. - W rzeczywistości zestaw ze strzykawkami został przy motocyklu. - Może morfina, co? Mógłbyś jeszcze pożyć wiele godzin. - Kłamał nadal Rourke. Zabezpieczył i schował swoje Detonics'y.

Jak gdyby wcale nie interesował go Soames, John wyciągnął teraz pistolet nieżyjącego już agenta KGB i przyglądał się mu uważnie. Wyjął na wpół pusty magazynek, opróżnił komorę. Pistolet był jak nowy, wciąż miał oryginalne, kratkowane okładziny z orzechowego drewna. John zanotował w pamięci, że należy przeszukać zwłoki i izbę w poszukiwaniu zapasowych magazynków, które pasowały do jego własnej broni.

- No więc? - Rourke obserwował bladą, wyschłą twarz Soamesa. Wiedział, że pozostało mu nie więcej niż kilka minut życia, lecz miał nadzieję, że szpieg nie spodziewa się tego. - Śmierć w męczarniach czy zastrzyk morfiny?

- Daj mi ten zastrzyk - stęknął Soames.

- Najpierw radio. Powiedz mi, jak się z nimi skontaktować. Wtedy wypróbuję to i jeśli będzie w porządku, dostaniesz zastrzyk.

- Dobra, dobra - charczał Soames przez zaciśnięte zęby. - "Słowik do Kondora Jeden, prośba... prośba o kanał..." - Soames zakrztusił się.

- Jaki kanał? - zapytał Rourke, starając się utrzymać spokojny ton głosu. Z ust Soamesa pociekła strużka krwi.

- Prośba o... kanał... dziewiętnasty. Wtedy cię...

- Połączą - zakończył Rourke, po czym pochylił się nad Randanem Soamesem i zamknął mu martwe powieki.

John wstał. Podszedł do radia i włączył je. Przypuszczał, że używają angielskiego - w ten sposób przechwycony sygnał wzbudzałby mniejsze podejrzenia. Rourke podniósł mikrofon, popatrzył nań przez chwilę, a potem na mężczyzn, dla których to radio było tak ważne.

- Słowik do Kondora Jeden! - zawołał. - Proszę o kanał dziewiętnasty, odbiór.

Po chwili radio zatrzeszczało i odezwał się głos:

- Kanał dziewiętnasty do Kondora Jeden. Proszę czekać.

Rourke zapalił cygaro. Donikąd się nie wybierał.

ROZDZIAŁ XXXIV

- Może i Harmon ma rację - mruknęła Mary Beth, z oczyma utkwionymi w ogień na środku dna pieczary.

- Co masz na myśli? - zapytała Sarah. Siedziała nago pod kocem.

- Że wybiera się do Kanady... Jutro wieczorem wszyscy nasi chłopcy będą martwi. Zanim wczoraj przyплыnęliście z Harmonem, był tu taki gość z Wywiadu Wojskowego, co przywozi nam jedzenie. Mówił, że jutro jest egzekucja. Chcą pokazać ludziom z ruchu, co się z nimi stanie, jeśli nie przestaną walczyć.

Sarah siedziała w milczeniu jak reszta kobiet w pieczarze. Harmon Kleinschmidt spał w głębi, gdzie znajdowała się jakby druga izba. Niektóre kobiety były częściowo rozebrane i najwyraźniej żadna nie przejmowała się tym, że Harmon może się obudzić i je zobaczyć. Sarah zawinęła się w koc.

- Nie macie zamiaru spróbować zrobić czegoś, żeby ratować swoich mężczyzn? - zapytała wreszcie.

- Niby co na przykład? - zapytała Mary Beth, patrząc ponad ogniem w jej oczy.

- Na przykład... - Sarah przerwała. - Spróbować ich odbić - zakończyła słabo.

- Kleinschmidt nie może nic zrobić. Do niczego się nie nadaje.

- Tak, ale niekoniecznie potrzebujemy do tego mężczyzny. Mogłybyśmy zrobić to same.

- My? - zaciekawiała się Mary Beth.

- No, mam na myśli kobiety... nie siebie osobiście. Kobiety mogłyby ich odbić; nie potrzeba mężczyzny na przywódcę.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - Uśmiech Mary Beth nie spodobał się Sarah,

- No cóż, ja się na tym nie znam...

- Tak myślałam. Puste gadanie - burknęła Mary, patrząc z powrotem w ogień.

Sarah poczuła wypieki na policzkach. "Może to gorączka - pomyślała - przeziębienie." Ale chyba jednak coś innego.

- W porządku - odezwała się niskim, cichym głosem, który ledwo sama mogła usłyszeć. - W porządku - powtórzyła głośniejszym głosem. - Zrobię to. Jeżeli potrzebujecie kogoś do przewodzenia tej akcji, zrobię to ja.

- Co?

- Zrobię to - oświadczyła, wstając i owijając się kocem. Nagle poczuła się głupio i ruszyła w przeciwny kąt pieczary, by znaleźć suchą odzież. Nie było czasu do tracenia w czechach dyskusjach z dziewczętami. Poczuła się jakoś jeszcze bardziej głupio.

- Zrobię to - powtórzyła jeszcze raz nie obracając się. Modliła się tylko w duchu, żeby wiedzieć jak.

ROZDZIAŁ XXXV

Rourke siedział przy radiu, cedząc wolno słowa do mikrofonu:

- Mówi John Rourke. Proszę powiedzieć generałowi Warakowowi, że chcę z nim rozmawiać. To ważne, o wiele ważniejsze niż mógłby przypuszczać.

Po chwili ciszy w odbiorniku odezwał się głos, ledwie słyszalny z powodu niskiej mocy i kilkakrotnego przechodzenia przez stacje przekaźnikowe:

- Chwileczkę. - I znowu cisza. Rourke czekał. Zgasił wypalone cygaro i zapalił nowe, przesuwając je w lewy kącik warg. Obserwował odbiornik. Był on zasilany przez akumulatory, a te ładowało się najwyraźniej za pomocą generatora na pedały, umieszczonego w kacie.

- Tu Warakow. Rourke?

- Mówi Rourke, generale. Czy możemy rozmawiać swobodnie?

Przez chwilę panowało milczenie. John zastanawiał się, czy aby Warakow nie myśli, że celem ich rozmowy jest dyskusja o śmierci Karamazowa, której obaj byli współautorami.

- Sądzę, że tak - powiedział Warakow. Rourke pamiętał ten głos z pobytu w Teksasie, gdy uratował Chambersa i zmusił Karamazowa do odprowadzenia go.

- Mam wiadomości, które chyba uzna pan za poważne. I mówiąc otwarcie, potrzebuję pańskiej pomocy - zaczął Rourke.

Po dłuższej chwili ciszy usłyszał:

- Mojej pomocy?

- Tak. Ponieważ szanuję pana i wydaje mi się, że rozumiem. Potrzebuję pana pomocy.

Znów nastąpiła przerwa, po czym przez trzaski zakłóceń odezwał się zmęczony głos:

- Proszę mówić, Rourke. Obiecuję tylko wysłuchać.

- Zgoda, sir - rzekł powoli Rourke. Zaczął od samego początku, od uratowania Sissy Wiznewski przed bandytami. Następnie opowiedział o dostarczonych przez nią informacjach dotyczących sztucznie stworzonej linii tektonicznej, która niebawem spowoduje trzęsienie ziemi, w wyniku czego Floryda oddzieli się od reszty lądu; o setkach i tysiącach istnień ludzkich, które taki kataklizm może pochłonąć. Wreszcie, zanim zakończył, Rourke dodał:

- Być może źle pana oceniłem, ale nie przypuszczam. Czy może pan pomóc?

Znów zapadła cisza, aż Rourke przez chwilę myślał, że urwało się połączenie.

- To wszystko prawda? Daje pan na to słowo?

- Według tego, co wiem, generale, tak.

- Widział pan na własne oczy ten wydruk sejsmografu?

- Jeden arkusz. Reszta przepadła razem z jej motocyklem.

- Jest pan człowiekiem nauki. Czy to wszystko jest możliwe?

- Chyba tak - przyznał John.

- I prosi pan mnie o zawarcie rozejmu między waszymi siłami U.S.II i Sowietami?

- Czasowego rozejmu, oczywiście.

- Oczywiście. A co z Kubańczykami? Myśli pan poważnie, że uwierzą panu... albo mnie?

- Jeżeli potrafimy ich skłonić do potraktowania tego wystarczająco serio, przypuszczam, że sami się ewakuują. A wówczas mogą wkroczyć pańscy i nasi ludzie, by przystąpić do ewakuacji ludności cywilnej.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Nie wiem - odrzekł Rourke szczerze, wpatrując się w głośnik nad radiem, jak gdyby mógł w jakiś sposób ujrzeć w nim twarz Warakowa. - Nie wiem - powtórzył.

- Ale uważa pan, że jednak to zrobię?

- Tak, myślę, że tak, o ile będzie pan mógł.

- Tam jest Natalia, na misji razem z pułkownikiem Miklowem. Mają przeprowadzić z Kubańczykami rozmowy na temat kilku pomniejszych trudności. Mogę się z nią skontaktować, żeby przekazała tę wiadomość kubańskiemu dowódcy. Ale pan musi zrobić dwie rzeczy.

- Jakie? - zapytał cicho Rourke.

- Sądzę, że ta kobieta... Wiznewski, z tym dziwnym imieniem... musi jechać na Florydę, pokazać ten kawałek papieru i porozmawiać z dowódcą Kubańczyków. I pan chyba również powinien pojechać. W razie konieczności, obiecuje pan nie ewakuować się, zanim nie uczyni tego major Tiemerowna. Zgoda?

- Dlaczego pan to mówi?

- Ona zostanie, żeby pomóc w ewakuacji... Wie pan o tym.

- Przypuszczam, że tak - rzucił Rourke do mikrofonu, mając nagle umysł wypełniony jej obrazem: ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy, jej ciepło i zarazem odwaga. - Tak, na pewno to robi. Zgadzam się. Nie wyjadę bez niej. I przypuszczam, że ta dziewczyna powinna tam pojechać. Ale kiedy tylko Kubańczycy dadzą się przekonać, muszę otrzymać kontakt z waszymi dowódcami sił wyjątkowych. Mój przyjaciel Paul Rubenstein jest teraz na Florydzie. Nie jestem pewien, gdzie dokładnie.

- Ten Żyd? Ja chyba wiem. Na początku myśleliśmy, że to był pan. - Warakow zreferował Rourke'owi po krótko raport wywiadu radzieckiego, dotyczący przeprowadzonego w pojedynkę ataku na kubański obóz więzienny.

Młody człowiek walczył podobno "jak lew", a większość więźniów obozu stanowili Żydzi. - To musiał być Rubenstein. Dobrze, pomożemy panu go odnaleźć, w zamian za dopilnowanie major Tiemerownej.

- Była kapitanem - zauważył Rourke.

- Awansowałem ją... za dzielną postawę. Rozumie pan? Rourke uśmiechnął się, żałując przez chwilę, że nie może zobaczyć twarzy swego rozmówcy. Czy jego oczy były smutne? Czy też pozostała w nich odrobina humoru?

- Tak, generale. W jaki sposób będziemy się kontaktować? Mógłbym zabrać ze sobą to radio do kwatery.

- Dobrze - padła odpowiedź po krótkiej pauzie. - Porozmawiam z panem Chambersem i omówimy szczegóły zawieszenia broni. Czy pan...

Rourke uśmiechnął się znowu.

- Soames? Ten od czynów nierządnych z dziećmi? Czy go zabiłem?

- Tak... Przypuszczam... - Głos urwał się.

- Wasz człowiek, Weskowicz był bardzo dzielny i zginął z honorem. Jeśli miał rodzinę... - Rourke zawiesił głos.

- Dopilnuję, żeby się dowiedzieli. Do widzenia, Rourke. - Radio zamilkło.

John siedział obok niego w żółtym świetle, nic nie mówiąc. Przed oczami przesuwały mu się różne obrazy. Czasem twarz, czasem sposób stania lub chodu... a czasem, o ile można to zobaczyć w wyobraźni, był to głos. Natalia. Wiedział, że znowu mają się spotkać.

ROZDZIAŁ XXXVI

- Faktem jest, generale Santiago, że jeśli te nieprzemyślane akcje waszych dowódców liniowych przy granicy będą się powtarzać, nie przysłuży się to sprawie harmonii w stosunkach między waszymi i naszymi ludźmi - oświadczył Miklow nienagannym hiszpańskim. Następnie odchylił się znad stołu i zdawał się obserwować ponad dzielącym ich, wypolerowanym blatem twarz kubańskiego dowódcy.

Natalia przed wojną często grywała w tenisa. Jednakże zawsze bardziej lubiła obserwować mecze w wykonaniu dobrych przeciwników. Gdy teraz zwróciła wzrok na Santiago, miała podobne odczucie. Do generała należało teraz odebrać zaserwowaną przez Mikłowa piłkę lub przegrać mecz.

- Ale według doniesień moich dowódców liniowych, pułkownikowi Miklow, nie miały miejsca tego typu incydenty, poza wykonywaniem normalnego patrolowania i ściganiem usiłujących zbiec partyzantów ruchu oporu czy im podobnych. Nie było żadnych umyślnych wypraw na terytorium waszego kraju.

Natalia spojrzała z powrotem na Mikłowa uśmiechając się.

- Jednakże, generale Santiago, musi pan zdawać sobie sprawę, że niezależnie od przyczyn tych wypraw przez granicę, naprawdę niewiele mają one wspólnego z umacnianiem harmonijnych stosunków. Żywię nadzieję, że potrafimy definitywnie je powstrzymać i w tym celu tu przybywam - aby przedyskutować te problemy oraz opracować wzajemnie korzystne rozwiązanie.

Natalia zaczęła odwracać się do Santiago, lecz naraz jej wzrok zatrzymał się na wkraczającym do pokoju śniadym stewardzie w białym uniformie. Ten stanął obok Santiago i postawił przed nim srebrną tackę. Generał podniósł z niej złożoną notkę i odesławszy stewarda skinieniem głowy, rozłożył ją i przeczytał. Następnie spojrzał na Natalię i oświadczył:

- Moja droga major Tiemerowna, jest do pani wiadomość radiowo-telefoniczna. Jeśli pani sobie życzy, może odebrać ją przez telefon w swoim pokoju.

- Dziękuję. - Natalia wstała i zarówno Santiago, jak Miklow zaczęli się podnosić. - Nie trzeba, panowie - rzuciła, przesuwając się obok stołu i po drodze dotykając lewą dłonią epoletów na ramieniu Santiago.

Czując na sobie wzrok Kubańczyka, przeszła przez pokój i wyszła. Zamknąwszy za sobą podwójne drzwi, oparła się o nie na chwilę, patrząc na dywan pod stopami. Wreszcie ruszyła do schodów i wbiegła na drugą kondygnację domu. Dotarwszy do swego pokoju, usiadła na brzegu łóżka i wygładzając spódnice, podniosła słuchawkę telefonu. Zanim przytknęła ją do ucha, odpięła kolczyk.

- Major Tiemerowna, słucham - rzuciła do mikrofonu.

- Natalio, słuchaj uważnie - usłyszała głos swojego wuja. - Kontaktował się ze mną Rourke i przekazał ważne wiadomości. Skorzystał z jednego z naszych własnych aparatów radiowych. Ale nie to jest istotne. Słuchaj uważnie.

Natalia spojrzała na swoje kolana, by następnie powędrować oczyma przez skraj jasnobłękitnej sukienki, wzdłuż obnażonych nóg ku stopom, a potem przez niebieski dywan do oszklonych drzwi,

wychodzących na balkon i za odsłonięte kotary. Za oknem widziała ocean.

- John Rourke - szepnęła do telefonu. Wysłuchiwała, jak wuj mówił o zbliżającej się zagładzie Florydy, o spotkaniu, które miała zaaranżować między Rourke'em i tą Wiznewski a generałem Santiago pod flagą zawieszenia broni. Wysłuchiwała tego wszystkiego, ale w pamięci utkwiły jej tylko słowa: "John Rourke". Znowu go zobaczy...

Przez kilka minut po rozmowie z wujem leżała nieruchomo na łóżku. Stała w obliczu całkiem nowej sytuacji, kiedy potrafiła jednocześnie kogoś kochać i rozważać możliwość zabicia go.

ROZDZIAŁ XXXVII

- Nie wiem, o czym ty mi tu, u diabła, gadasz, chłopie - powiedział do Rubensteina mężczyzna o czerwonej twarzy i wyдутym od piwa brzuchu, po czym odwrócił się, by powrócić do pracy przy swej łodzi.

- Kapitan Reed podał mi twoje nazwisko, Tolliver. Mówił, że ty jesteś ich tutejszym człowiekiem.

- Nie znam żadnego kapitana Reeda. A teraz wynocha stąd!

Paul Rubenstein, w lejącym się z nieba żarze, czując napięcie w nogach, zdał sobie sprawę, że na przemian zaciska i otwiera pięści. Wyciągnął lewą dłoń i schwycił rumianego na twarzy Tollivera za ramię, by odwrócić go i zdzielić prawą pięścią w podbródek. Mężczyzna zwałił się na przód swej łodzi.

Tolliver podniósł się na łokcie i spojrzał z ukosa na Rubensteina.

- Kim ty, u diabła, jesteś, koleś?

- Mówiłem już - rzekł Paul spokojnym tonem. - Nazywam się Paul Rubenstein. Potrzebna mi twoja pomoc. Znam kapitana Reeda z U.S.II. On dał mi twoje nazwisko, kiedy mu powiedziałem, że przyjeżdżam tutaj. Jesteś ode mnie większy i może silniejszy, ale wierz mi, potrafię być bardziej nieprzyjemny niż przed chwilą. Potrafię to od czasu wybuchu wojny. No więc - krzyknął - potrzebna mi twoja pomoc!

- W czym?

- Przechodziłeś kiedyś koło tego obozu, tego wielkiego?

- Może.

- Mam zamiar wszystkich stamtąd wyciągnąć. A ty mi pomożesz.

- Pieprzysz bzdury, koleś.

Rubenstein rzucił spojrzenie przez ramię. Nie ujrzał nikogo na piaszczystym brzegu zatoczki, gdzie odnalazł Tollivera, pracującego na przycumowanej łodzi. Paul sięgnął pod kurtkę i wyciągnął spod niej Browninga High Power, by podsunąć lufę pod nos Tollivera. Kurek bezpiecznika cofnął się ze słyszalnym, podwójnym trzaskiem.

- Jeśli potrafisz spać spokojnie, widując tych ludzi tam w środku, to cokolwiek ci zrobię, będzie przysługą. Albo pomożesz mi zebrać paru ludzi z ruchu oporu i uwolnić tamtych więźniów, albo zabiję cię, tak jak tu stoisz.

- To ty zrobiłeś tę całą rozróbę dziś rano, co? Rubenstein skinął głową.

- Owszem, ja.

- Odłóż tę spluwę. Trzeba było od razu tak mówić. Pomogę, a potem wszyscy razem pójdziemy do nieba. Nigdy mi się za bardzo nie podobało zdychanie w samotności.

Paul zabezpieczył browninga i zaczął go chować na miejsce, kiedy przed oczyma mignął mu zamazany kształt. Prawa pięść Tollivera wypadła do przodu i Rubenstein upadł na piasek. Zaczął sięgać po broń.

- Spokojnie, chłopie. To tylko dla wyrównania rachunku. Jeśli mnie zastrzelisz, nigdy nie znajdziesz ludzi z oporu.

I rumiana twarz Tollivera zmarszczyła się w uśmiechu, gdy wyciągnął do Paula prawą dłoń.

Rozcierając szczękę, Rubenstein spojrział na większego od siebie mężczyznę i obaj wybuchnęli śmiechem.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Rourke otworzył drzwi samolotu DC-7 i spojrzał na płytę lotniska. Potrafił odróżnić generała Santiago po szlifach na mundurze. Ale jedynym znajomym mu obliczem była twarz Natalii. Popatrzył w jej oczy i dostrzegł, że go rozpoznała. Podeszedł do trapu.

- Chodź, Sissy - rzucił do dziewczyny stojącej nieco za nim.

Ruszył w dół schodów, pomagając zejść towarzysze. Gdy zaczął obracać się ku Natalii i Santiago, znieruchomiał nagle z rękami w pół drogi do Detonics'a pod kurtką. Otaczał go półokrąg mężczyzn, żołnierzy kubańskich z karabinami AK-47 w dłoniach, wymierzonymi w niego.

Rourke minął wzrokiem beznamiętne twarze żołnierzy. Santiago starał się ukryć uśmiech; ale John nie potrafił odczytać wyrazu oczu Natalii. Santiago wykrzyknął komendę, Rourke zrozumiał słowa: "Aresztować tego człowieka. Brać kobietę i pilota samolotu. Natychmiast!"

Rourke widział, jak Natalia wzięła Santiago pod rękę, przytulając się do niego. Oczy, które spoglądały przed siebie, miały zimny wyraz.

- Co się dzieje? - zapytała Sissy Wiznewski słabym, drżącym głosem.

John - pod okiem śledzących każdy jego ruch żołnierzy - ujął ją za rękę, mówiąc:

- Powiem ci natychmiast, jak tylko sam się dowiem. To nie było w stylu Natalii, sprzeciwiać się życzeniom wuja, wykorzystywać komunistów kubańskich jako narzędzie swego prywatnego odwetu.

Próbował przez dzielącą ich odległość rozszyfrować jej twarz. Powiedziano mu, że z Natalią ma być jakiś pułkownik Miklow. Jednak nie dostrzegł żadnego rosyjskiego oficera, nawet nikogo w cywilnym ubraniu.

Wystąpił ku niemu mężczyzna, najwyraźniej dowódca oddziału, i odezwał się łamaną angielszczyzną:

- Proszę podać broń.

Rourke rzucił ponowne spojrzenie na Natalię - i nic. Postanowił zaryzykować. Sięgnął pod kurtkę i wydobyl oba Detonics'y, by wręczyć je kolbami do przodu dowódcy oddziału. Jako że człowiek ten nie poprosił o jego nóż, Rourke nie kwapił się z oddaniem go.

- Pójdziecie ze mną - oświadczył dowódca. Rourke ruszył naprzód, wciąż ściskając dłoń Sissy. - Ta kobieta ma się widzieć z generałem.

Rourke zmierzył żołnierza wzrokiem, po czym spojrzał nad jego ramieniem z powrotem ku Natalii. Wydało mu się, że dostrzegł nieomal niezauważalne skinienie głową. Lecz mógł to być wytwór jego wyobraźni albo po prostu pobożne życzenie. Ponownie zaryzykował.

- Sissy, wszystko powinno być w porządku. Tylko mocno się postaraj przekonać generała, że to trzęsienie ziemi nie jest wymysłem. Nie przejmuj się - dodał.

Wówczas puścił jej rękę i ruszył naprzód. Żołnierze uformowali wokół niego szeregi. Kątem oka widział, jak dowódca oddziału oddaje jego Detonics'y generałowi Santiago. Natalia spojrzała na pistolety; jej wargi poruszyły się, gdy coś mówiła. Wówczas generał uklonił się i wręczył pistolety Natalii. Przyjęła je z uśmiechem i po raz pierwszy John usłyszał jej głos. Natalia śmiała się.

ROZDZIAŁ XXXIX

Paul Rubenstein popatrzył ponad maską jeepa, po czym przeniósł spojrzenie na rumianą twarz siedzącego obok za kierownicą Tollivera.

- To obóz śmierci - rzekł powoli, patrząc teraz na teren w dole, gdzie za drogą znajdował się obóz.

- Komendant jest znany z wrogości do Żydów.

- Więc mianują antysemitę szefem obozu więziennego na obszarze o dużym procencie ludności żydowskiej - przerwał Paul. - To nie może być przypadek, rząd kubański wie, co robi.

- Ludzie mówią, że ten komendant, kapitan Gutierrez nienawidzi Żydów prawie tak samo jak kubańskich przeciwników Castro. Tępi wszystkich, kiedy tylko uda mu się ich znaleźć.

- Dlaczego nic do tej pory nie robiliście? - zapytał Rubenstein.

- To proste, zaraz zobaczysz. Patrz. - Tolliver wskazał palcem za siebie.

Rubenstein, ze spoconymi dłońmi, obejrzał się. Pierwszy człowiek Tollivera, wolny Kubańczyk Pedro Garcia poszedł sprowadzić resztę ludzi z ruchu oporu. Paulowi ręce opadły na ich widok. Zbliżało się dwóch mężczyzn w wieku zbliżonym do jego, kobieta około dwudziestki i może szesnastoletni chłopak.

Tolliver westchnął ciężko.

- Właśnie dlatego, Rubenstein. Dwóch mężczyzn, kobieta i chłopak, ja i Pedro - to wszystko. No i ty. Nadal chcesz to zrobić?

Rubenstein odwrócił się na przednim siedzeniu jeepa i spojrzał na obóz w dole.

- Tak, do diabła - oświadczył głosem tak spokojnym, że sam był nim zaskoczony. - Chcę.

Paul poczuł, jak ziemia drży i spojrzał na towarzysza z niemym pytaniem. Tolliver powiedział:

- Takie lekkie wstrząsy zdarzają się tu mniej więcej od tygodnia. Nie wiem, czemu. To nie jest obszar trzęsień.

Drżenie gruntu ustało. Rubenstein rzekł:

- Opracujemy szczegóły, a potem zaczynamy.

- Zaczekamy, aż zrobi się ciemno, nie? - zapytał Tolliver.

Paul myślał przez chwilę. Nauczył się od Rourke'a, że należy ufać własnemu rozsądkowi i intuicji, niezależnie od zdania innych.

- Nie...- zaczął z roztargnieniem. - Nie. Oni nie będą się spodziewali ataku w dzień. Poza tym, chyba nie mamy czasu na czekanie. Pójdziemy wkrótce.

Rubenstein ciągle śledził obóz. Zastanawiał się, czy to "wkrótce" nie będzie za późno.

ROZDZIAŁ XL

Natalia wyszła ze swego pokoju i zbliżyła się do barierki nad pierwszą kondygnacją domu. Zatrzymała się, patrząc niewidzącym wzrokiem i myśląc o Rourke'u. Generała Santiago łatwo było przejrzeć. Uśmiechnęła się do siebie. Dowódca wojsk kubańskich wykorzystał ostrzeżenie Warakowa o grożącym kataklizmie oraz przyjazd Rourke'a i Sissy Wizniewski jako pretekst do odkrycia rzekomego spisku. Z tej przyczyny, kiedy wysłał swoich ludzi w celu aresztowania pułkownika Mikłowa, a ten sięgnął po broń, Natalia go rozbroiła i przekazała generałowi. To działanie zadowoliło Santiago; ona zadowoliła Santiago. A to, że nim gardziła - kurczyła się wewnątrz pod jego dotykiem i spojrzeniem - pozostawało dla Kubańczyka tajemnicą. Wydawało mu się - wiedziała o tym - że w jakiś sposób ją pociąga. I dzięki temu pozostała wolna, wciąż uzbrojona i ze swobodą poruszania się. Sissy Wizniewski przebywała w gabinecie Santiago, usiłując go przekonać o prawdziwości nadchodzącego trzęsienia. Rourke i Mikłow zostali uwięzieni w suterenie przystosowanej dla więźniów, których Santiago osobiście pragnął przesłuchać i torturować.

Przeciągnęła dłońmi po udach, po czym sięgnęła po swą czarną torebkę, leżącą na podłodze obok stóp. Zawierała jej własny czterostrzałowy pistolet typu Magnum COP 357, dwie automatyczne "czterdziestki piątki" Rourke'a, szminkę i zmianę bielizny.

Wzruszywszy ramionami, odwróciła się od barierki i ruszyła w dół schodów, rzucając uśmiech stewardowi, który przemknął obok drzwi gabinetu Santiago. Zatrzymała się przy nich i zarzucając torebkę na lewe ramię, prawą ręką zapukała,

- To ja, Natalia, Diego - powiedziała tonem tak słodkim, na jaki mogła się zdobyć.

Po usłyszeniu odpowiedzi z wnętrza, otworzyła drzwi i weszła do środka. Santiago podniósł się z uśmiechem. Sissy Wizniewski już stała. Sprawiała wrażenie uczennicy, która właśnie oblała najważniejszy egzamin maturalny.

- To wszystko bzdury - oznajmił Santiago tonem nieomylnego autorytetu. - Ten wymysł z trzęsieniem ziemi jest niczym innym jak spiskiem, mającym skłonić nas do ewakuacji z Florydy, ażeby mogły tu wkroczyć wojska Warakowa. Mądrze uczyniłaś, opuszczając swoich przyjaciół z KGB i dołączając do nas, moja droga.

Uśmiechając się, przeszła przez pokój, rzucając okiem na leżący na konferencyjnym stole sejsmogram, następnie przeniosła spojrzenie na zalęknione oczy Sissy Wizniewski.

- Tak - mruknęła, pochylając się i całując w policzek Santiago, gdy ten na powrót usiadł.

Gdy odrywała usta od jego twarzy, podniosła w górę magnum i przystawiła lufę do lewej skroni Kubańczyka.

- Jednak, generale, to wszystko prawda. A teraz zrobisz dokładnie to, co ci powiem, bo w przeciwnym wypadku twój mózg ozdobi za chwilę sufit nad tobą. Trzymam w ręku magnum 357 z jednymi z najsilniejszych naboju w środku - 125-gramowe pociski Hollow Point. Znasz się na broni? Jeśli nie, to szkoda, ale testy przeprowadzone dla amerykańskiej policji wykazały, że są to prawdopodobnie najskuteczniejsze naboje do tego pistoletu. Chciałbyś się przekonać?

Santiago obrócił nieznacznie głowę, gdy patrzyła mu z uśmiechem w oczy.

- Oszukałaś mnie - powiedział.

- To powinno być oczywiste, nawet dla ciebie, kochanie - zaszcebiotała. - A teraz zadzwonisz, żeby przysłano tu pułkownika Mikłowa, natychmiast. Straże zaczekają na niego przed drzwiami. Jednak do tego czasu wydasz swoim dowódcom rozkazy zawarcia rozejmu. Rozkażesz również, aby nadano sygnał radiowy zezwalający na lądowanie samolotom U.S.II i radzieckim, a dowódcom liniowym, żeby rozpoczęli ewakuację ludności cywilnej. Łącznie z tym obozem koncentracyjnym w pobliżu lotniska. Wszystkich. I, mój drogi Diego, jeśli będziesz bardzo grzeczny, ty również będziesz mógł na koniec wyjechać, kiedy zrobią to wszyscy inni. - Spojrzała na Sissy Wiznewski i jakby mimochodem zapytała: - Ile czasu zostało?

- Generał... generał mówił, że przez ostatnie pięć dni występowały w okolicy drobne wstrząsy. Sądzę, że jest to kwestia kilku godzin, może nawet mniej.

Natalia uśmiechnęła się do dziewczyny, po czym zwróciła się ponownie do generała Santiago:

- Ze względu na twoje własne dobro, Diego, mam szczerą nadzieję, że zostało dosyć czasu. - Przycisnęła silniej wylot lufy magnum do jego głowy. - Wykonaj pierwszy telefon, kochanie.

ROZDZIAŁ XLI

- Co się tam, do cholery, dzieje? - burknął Tolliver, padłszy na ziemię za pniem palmy. Rubenstein legł za nim ze Schmeisserem w prawej dłoni.

- Wygląda na to, że wychodzą z obozu. Ale czemu? Co się dzieje? - Rubenstein błędził oczyma po obozie. Ze swych posterunków biegli strażnicy, wśród nich również oficerowie. Paul spojrział w górę. Od zachodu niebo wypełniły samoloty o najprzeróżniejszych kształtach. - To amerykańskie samoloty!

- Komuchy używają tych, które znaleźli.

- Nie... Lecą ze wschodu, może z Teksasu albo Luizjany.

- Marzyciel z ciebie, chłopcze - mruknął Tolliver.

- Nie! Patrz, coraz ich więcej!

Warkot w powietrzu był bardzo głośny. Rubenstein nie słyszał nigdy czegoś tak hałaśliwego. Niebo było wypełnione samolotami, ziemia pociemniała od ich cieni. Wtem grunt zaczął drzeć, lecz tym razem gwałtowniej niż wcześniej.

Rubenstein wstał, strząsając z siebie próbującą go powstrzymać rękę Tollivera.

- To trzęsienie ziemi. Niektóre z samolotów lądują. - Popatrzył w dół ku obozowi, z którego uciekali kubańscy strażnicy i oficerowie, zostawiając za sobą otwartą bramę. - Ewakuują się. Będzie trzęsienie ziemi.

- Jesteś wariat, chłopcze.

Paul spojrział na Tollivera i już miał coś powiedzieć, ale w tym momencie grunt zatrzęsł się silnie i Rubenstein odskoczył w bok przed otwierającym się pęknięciem w ziemi, szerokim na osiemnaście cali. Zwalilo się drzewo palmy, o włos mijając Pedra Garcie i pozostałych partyzantów.

- Cholerne trzęsienie ziemi!

Jakby dla podkreślenia okrzyku Tollivera, grunt zaczął drzeć mocniej, tak mocno, że Paul Rubenstein runął na twarz w kurz gleby.

- O, mój Boże! - jęknął.

ROZDZIAŁ XLII

John Rourke siedział w więziennej celi, z nogami założonymi na kant pryczy, z oczami utkwionymi w strażnika siedzącym tuż za kratami po drugiej stronie pomieszczenia. Rourke podjął decyzję. Czekał już wystarczająco długo. Wsunął do lewej dłoni swój chromowany nóż Sting IA firmy A.G. Russel. Nie poddano go przeszukaniu.

- Straż - warknął po angielsku.

Kubański wartownik po drugiej stronie krat wstał. -Si?

- Doskonale - Rourke uśmiechnął się i jego lewa ręka pomknęła do przodu.

Nóż wysunął się z dłoni i poszybował ostrzem naprzód kilka stóp do krat, by wbić się prostopadle w środek piersi strażnika. Rourke w tej samej chwili był już na nogach i rzucał się ku kratom z wciągniętymi rękoma, by złapać wartownika, zanim upadnie.

Schwytawszy kółko z kluczami, puścił ciało, które upadło na posadzkę sutereny. Zaczął nerwowo szukać właściwego klucza. Znalazłszy go, otworzył zamek i uchylił furtkę na tyle, na ile pozwalały leżące zwłoki, po czym przecisnął się na zewnątrz.

Pochylił się, by wyszarpnąć nóż, po czym wytarł ostrze o mundur nieboszczyka i schował narzędzie do pochwy. Sięgając po AK-47 Kubańczyka, zamarł nagle na dźwięk znajomego głosu za plecami:

- Zaczekaj, John!

Rourke odwrócił się, podnosząc się wolno na nogi. Wbił wzrok w Natalię, lustrując jej wysoką, smukłą sylwetkę, widoczną pod czarnym ubraniem. W rękach miała jego bliźniacze Detonics'y z odwiedzionymi bezpiecznikami.

- Co to ma znaczyć? Chcesz mnie zabić?

- Dlaczego zabiłeś Władimira?

Rourke nie widział powodu, żeby kłamać. Zresztą kłamstwo nie było w jego stylu.

- On był zwierzęciem, zabiłby ciebie.

- Mój wuj ci to powiedział?

- Tak - zawahał się. - Ale sam też to wiedziałem. Czy zadał ci ból?

- Na wiele sposobów.

- A ja zadałem ci ból?

- Tylko dlatego, że nie miałeś wyboru, ponieważ masz honor.

- Przykro mi - rzekł John miękko.

Natalia spuściła na chwilę oczy ku swoim dłoniom, po czym zrobiła mały krok w jego stronę, obracając pistolety w rękach i podając mu je rękojeścią do przodu.

- To trzęsienie ziemi... już się zaczęło na wybrzeżu Zatoki. Jest mało czasu.

- Wiem - powiedział ciepłym głosem.

- Obejmij mnie, John... choć przez chwilę... Proszę.

Z pistoletami w dłoniach, Rourke wziął Natalię w ramiona, czując jej ciemne włosy na pokrytej

kilkudniowym zarostem twarzy.

- Chyba nie bardzo wypada powiedzieć, że wszystko będzie w porządku, prawda?

- Raczej nie - usłyszał szept dziewczyny. - Nigdy mnie nie okłamuj, John. Chyba nie zniosłabym tego.

Odsunęła się od niego, a Rourke położył pistolety na małym stoliku obok drzwi celi. To było coś, czego zrobić nie zamierzał.

Dłońmi ujął ją za łokcie i przyciągnął do siebie, patrząc w oczy. Pocałował ją, zgniatając wargami jej usta i czując jej ciało przytulone do siebie. Obejmując ją, słyszał i czuł jej oddech,

- Kocham cię - wyszeptała.

Rourke otwierał już usta, ale kobieta dotknęła mu palcami warg. - Nie... - powiedziała tylko.

John patrzył na nią przez chwilę, po czym uśmiechnął się.

- Dobrze - rzekł powoli i schylił się, by podnieść broń.

- Sprawdziłaś je?

- Tak. W każdym magazynku jest pięć naboji, jeden w komorze. Dokładnie tak, jak je nosiłeś.

Z nabitą i odbezpieczoną bronią w rękach, Rourke ruszył od drzwi celi. Po chwili obok była Natalia z karabinem AK-47 martwego strażnika.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał ją, gdy dotarli do podstawy schodów.

- Miklow, dobry z niego człowiek, trzyma na muszce Santiago. Zmusiłam Santiago, żeby rozpoczął ewakuację i zarządził rozejm, aby nasze i wasze samoloty mogły wylądować. Ta dziewczyna, Sissy, jest z Miklowem. Będzie bezpieczna.

Rourke odwrócił się i spojrzał na Natalię, zatrzymując się w pół kroku.

- Wiesz, tam wtedy, ja...

- Rozumiem cię lepiej niż sobie wyobrażasz - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Wiem o tym - odparł, po czym zaczął wchodzić po schodach, po dwa stopnie na raz.

Otworzył kopnięciem drzwi do głównej części domu. W hallu biegali w różnych kierunkach uzbrojeni ludzie, służący, i żaden nie obdarzył Johna i Natalii czymś więcej niż przelotnym spojrzeniem.

Nagle poczuli pod stopami, że podłoga zaczyna drżeć. Rourke zerknął na wysokie sklepienie, rozciągające się ponad drugą kondygnacją. Z roztargnieniem dostrzegł, że wisi tam kryształowy żyrandol, który właśnie w tym momencie zaczął się huścić.

Rourke odwrócił się, popychając Natalię z powrotem do korytarza przy schodach i osłaniając ją ciałem. Podłoga zatrzęsała się mocno i nastąpił huk podobny do eksplozji. John obejrzał się za siebie. Żyrandol uderzył w posadzkę rozbijając się.

Po chwili odezwał się wystrzał, głośny, choć stłumiony, a po nim przeraźliwy krzyk kobiety.

Natalia spojrzała w oczy Rourke'owi.

- To Sissy... Santiago! - krzyknęła i już biegła przez hall, przeskakując nad resztkami żyrandola.

Rourke ruszył za nią. Zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do gabinetu Santiago, po czym trzasnęła w nie lewym butem i drzwi rozwarły się. Rourke przepchnął się obok niej przez próg. Oboje zatrzymali się.

Pośrodku pokoju stała Sissy Wiznewski, z dłońmi przy otwartych ustach, z rozwartymi szeroko oczyma. Na podłodze obok niej leżało dwóch mężczyzn - jednym z nich był Miklow. Z jego piersi, tuż poniżej szyi, sterczał nóż. Drugie zwłoki należały do Santiago. John poznał to po mundurze, ale tylko po tym. W miejscu twarzy była krwawa, papkowata miazga. W jej środku widniało coś

ciemnego, zapewne oko. Rourke nie miał pojęcia, co się stało z drugim okiem.

ROZDZIAŁ XLIII

Rourke wypadł pędem na frontowe schody domu, strzelając z obu Detonics'ów do żołnierzy kubańskich, których miał przed sobą. Opadł na kolano i wyrwawszy martwemu żołnierzowi AK-47, przestawił broń na pełną serię automatyczną, po czym zaczął pruć z sowieckiego karabinu przed siebie. Słyszał, jak Natalia obok również otworzyła ogień.

- Do ciężarówki! Tam! - krzyknął, ruszając w dół schodów.

Natalia z tyłu wrzasnęła do dziewczyny:

- Sissy, bierz broń i pasy z amunicją, pędem! Rourke dopadł ciężarówki i uderzył kolbą karabinu w szczękę kubańskiego żołnierza, czepiającego się stopnia przed kabiną. Następnie wspiał się do środka, nabił pistolety i oparł AK-47 o siedzenie. Obrócił kluczyk. Silnik półgąsiennicowej ciężarówki z rumorem obudził się do życia.

- Chodźcie! - krzyknął.

Natalia cofała się w dół schodów, strzelając do biegnących Kubańczyków z AK-47 precyzyjnie wymierzonymi, trójstrzałowymi seriami. Rourke otworzył drzwi kabiny i porwawszy karabin, wychylił się na zewnątrz. Wypalił, trafiając dwóch żołnierzy, nacierających na Natalię z lewej.

- Chodźcie!

Sissy Wiznewski niosła broń i amunicję. Biegła potykając się ku ciężarówce. Rourke zeskoczył na dół czując, jak ziemia drży pod stopami. Chwycił pęk karabinów i wepchnął dziewczynę do pojazdu, po czym krzyknął znów do Natalii:

- Szybciej! Chodź!

Podniósł wzrok w górę. Niebo było ciemne, prawie zielone; na twarzy poczuł deszcz. Wystrzelił serię z AK-47, gdy Natalia znalazła się obok niego.

- Wchodź do kabiny. Musimy zdążyć na lotnisko. Już!

Podsadził Rosjankę i wszedłszy za nią, siadł za kierownicą. Nie zamykając drzwi, zwolnił hamulec awaryjny i puszczając sprzęgło, dodał gazu. Półgąsiennicowy pojazd ruszył zwirową alejką.

Drzwiczki kabiny zatrzasnęły się, kiedy Rourke skręcił ostro w prawo, omijając blokującą drogę samochód. Przejechał przez niski, kamienny krawężnik i wpadł na trawnik. Natalia przez cały czas strzelała z przeciwnego okna. Słyszał, jak Rosjanka uczy Sissy wymieniać magazynki w AK-47. John szarpnął kierownicą w lewo, krzycząc:

- Trzymać się!

Wrócił z trawnika na zwirową alejkę, prowadzącą do żelaznych, okratowanych wrót na końcu. Drżenie ziemi było coraz silniejsze - czuł je, nawet jadąc ciężarówką.

Rourke sięgnął do włącznika wycieraczki. Deszcz zaczynał lać jak z cebra. Podwójne, żelazne wrota były kilka jardów przed nimi i John, wciskając sprzęgło, by zmienić bieg i nabrać prędkości, krzyknął do kobiet:

- Schylcie głowy, przebijamy się!

Do bramy pozostał jard, a podtrzymujące kolumny z cegieł zaczęły się kruszyć, gdy grunt przy

alejce pękł, otwierając bruzdę. Rourke nadepnął pedał gazu, puścił, wciskając sprzęgło, zwiększył bieg i znów wdusił gaz. Pęknięcie z przodu rozszerzało się. Nie miał innego wyjścia, jak przez nie przejechać.

Poczuł, że przednie koła wpadły w szczelinę. Silnik ryknął i po chwili tylna gąsienica podskoczyła na nierówności. Wcisnął gaz do oporu. W chwili gdy przód pojazdu uderzył we wrota, cegły kolumn zaczęły się sypać, uderzając w kabinę. Przednia szyba pękła w poprzek na całej długości.

Brama rozwarła się i Rourke skręcił ostro w prawo, wjeżdżając na drogę biegnącą obok posiadłości. Zerknął w bok na Natalię. Jej włosy ociekały wodą z deszczu. Wychylała się przez okno, strzelając do ścigających ich Kubańczyków.

John ujrzał, że pęknięcie gruntu rozszerza się i biegnie teraz wzdłuż drogi, zdając się posuwać szybciej niż oni.

- Muszę wyprzedzić tę szczelinę! - krzyknął Rourke przez ryk silnika i wycie wiatru. - Natalia, schowaj się do środka!

Zmniejszył nacisk na pedał gazu i wrzucił "czwórkę". Silnik zawył. John zerknął w prawo. Zaczynał pędzić szybciej niż pęknięcie ziemi. Lecz w duchu zastanawiał się, czy zdąży je minąć, zanim przetnie drogę przed nimi i odetnie ich od jedynej szansy ucieczki - lotniska, położonego dziesięć mil dalej.

ROZDZIAŁ XLIV

Sarah Rourke ledwie dostrzegła twarze swoich dzieci, Michaela i Annie, na rufie rybackiej łodzi. Były tam upchnięte wraz z Harmonem Kleinschmidtem, dwiema kobietami i kilkanaściorgiem innych dzieci. Sarah przekonywała, że od czasu ataku na radziecki obóz więzienny wyspa nie jest już bezpiecznym miejscem. Mary Beth, o dziwo, zgodziła się z nią.

Teraz Mary Beth stała za sterem ukradzonej kiedyś przez Sarah łodzi, kierując ją ku brzegowi. Sarah uśmiechnęła się ponownie na myśl, że nosi pożyczone ubrania. Przekonała kobiety, że najlepszym sposobem na dotarcie do więzienia i uwolnienie skazanych na śmierć mężczyzn jest wyglądać jak najbardziej nieszkodliwie. Stąd też większość kobiet miała na sobie teraz sukienki, niektóre - łącznie z nią samą - trzymały zawiniątka, mające wyglądać na niemowlęta. Wewnątrz tobołka Sarah znajdował się półmaszynowy pistolet MAC-10 kalibru 45. Pod długą po kostki spódnicą miała automatycznego colta "czterdziestkę piątkę", przymocowanego gumką do lewego uda.

Wyprowadziła łódź z zatoki przy pomocy Mary Beth i ośmiu innych kobiet, po czym popłynęły, z trudem pokonując wysokie fale przyboju i silny wiatr.

Od brzegu było dwie godziny marszu do miasta. Pod wpływem nalegań Sarah, kobiety rozdzieliły się na dwie grupy, żeby zwracać na siebie mniejszą uwagę i aby nie zniweczyć całej akcji w razie schwytania jednej grupy.

Teraz Sarah, kołysząc w rękach rzekome dziecko, znajdowała się w połowie drogi od bramy fabryki, zamienionej obecnie w więzienie. Spojrzała na pożyczony zegarek na przegubie. Jeśli jakiś sowiecki oficer nie zjawi się w ciągu pięciu minut, będzie musiała zrezygnować z planu "A", jak go nazwała, i odwołać się do planu "B". Ten drugi jednak wymagał od niej i reszty kobiet szturmu na bramę więzienia, a to byłoby samobójstwo.

Wciągnęła powietrze. W ulicę skręcił radziecki oficer z jakimś kadetem i zbliżali się ku niej. Zastanawiała się, czy starczy jej zimnej krwi. Nadal kołysząc na rękach zawinięty pistolet i śpiewając doń cicho, ruszyła w ich stronę.

Nie miała pojęcia, jaki stopień miał starszy mężczyzna, ale sądząc po wyglądzie, uznała, że ma wystarczająco wysoką rangę, aby jego życie było ważne. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Zatrzymała się kilka kroków przed oficerem i towarzyszącym mu żołnierzem.

- Proszę pana...

Oficer przerwał prowadzoną rozmowę, zatrzymał się i zwrócił ku niej twarz. Pokiwał głową.

- Jeśli ma pani kłopoty ze swoim dzieckiem, to w mieście są lekarze, którzy udzielą wszelkiej możliwej pomocy medycznej. Najbliższy ośrodek jest.. - tu zaczął gestykulować w kierunku ulicy za sobą.

- Nie, proszę pana - powiedziała Sarah z wymuszonym uśmiechem. - To nie to. Ale chodzi tu o moje dziecko. Proszę, mógłby pan na nie spojrzeć? - Miała nadzieję wziąć go na litość. Bezradna kobieta, prosząca go o radę. Miała nadzieję, że Rosjanin tak to odbiera. Teraz nie miała już odwrotu. Do egzekucji pozostało niewiele czasu.

Oficer spojrział na żołnierza obok i pokręcił głową, mówiąc coś po rosyjsku.

- Dobrze, proszę pani. Ale mam kłopoty ze wzrokiem...

Zbliżyła się do niego, obserwując oczy młodszego żołnierza. Te drgnęły, kiedy Sarah poprawiała swoje "dziecko". Radziecki żołnierz zaczął otwierać usta, lecz Sarah już trzymała "niemowlę" w pozycji strzeleckiej, zrzuciwszy wypłowiały, niebieski koc na ziemię. Lufa MAC-10 wycelowała w żołnierza, palec wskazujący prawej ręki pociągnął za spust i Rosjanin padł martwy.

Sarah, stojąc na rozstawionych nogach, skierowała broń na oficera, szepcząc:

- Ciebie też zabiję, jeśli się ruszysz.

Brama więzienia była otwarta, nadbiegli od niej żołnierze.

- Jak się nazywasz? - zapytała oficera.

- Jestem major Borozeni.

- Majorze - zaczęła, nie próbując nawet wymówić nazwiska - proszę powiedzieć tym żołnierzom, żeby zatrzymali się, gdzie są i rzucili broń, bo inaczej pan zginie.

Rosjanin wybuchnął śmiechem:

- Proszę pani, nie jestem tak ważny, żeby zostać wykorzystany jako zakładnik...

Sarah wygarnęła serię w bruk ulicy przed błyszczącymi butami oficera, po czym podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Dla pana dobra byłoby lepiej, gdyby jednak pan był. Major krzyknął coś gardłowo po rosyjsku i żołnierze stanęli jak wryci. Sarah uśmiechnęła się.

- Widzi pan, jest pan ważniejszy niż myślał. Czy to nie jest przyjemne uczucie?

Rosjanin przestał się uśmiechać.

- Chodźmy - oświadczyła.

Gdy major szedł przed nią w kierunku, który wskazała lufą, z zaułków i bram zaczęły wychodzić pozostałe kobiety. Z karabinami w rękach zbliżały się do sowieckich żołnierzy i otwartej bramy więzienia. Sarah poczuła skurcz żołądka. Przed chwilą zamordowała człowieka i to, według wszelkich danych, poczciwego człowieka, zupełnie niewinnego, nie chcącego jej wcale skrzywdzić. Powstrzymała wymioty - teraz nie mogła sobie na nie pozwolić.

Żołnierze rozstępowali się przed nią stopniowo. Jeden z nich poruszył się, lecz po chwili padł, ścięty z nóg strzałem Mary Beth.

- Niech nikt tego więcej nie próbuje - wrzasnęła Sarah - bo będzie po nim!

Po chwili, tknięta myślą, krzyknęła do majora, idącego kilka kroków przed nią z podniesionymi rękoma:

- Majorze, proszę to powtórzyć po rosyjsku. I proszę pamiętać, że jeśli ktokolwiek będzie próbował coś zrobić, pan zginie pierwszy, przysięgam - jej głos brzmiał przekonywająco, bo wierzyła w swoje słowa.

Major wszedł w bramę, Sarah kilka kroków za nim. Wewnątrz było co najmniej pięćdziesięciu uzbrojonych Sowietów, lecz Sarah nie zatrzymywała się.

- Czego pani właściwie chce? - zapytał major. - Na pewno nie uda się pani...

- Ma pan rację - przerwała. - Właśnie tego chcę. Tych piętnastu partyzantów ruchu oporu. Niech pan każe ich wyprowadzić, pozwoli wziąć broń, a wtedy odejdziemy i nikomu włos z głowy nie spadnie.

Major zatrzymał się. Nie odwracając się, spojrział na nią przez ramię.

- Pani jest szalona!

- O tym też proszę nie zapominać, majorze - odparła lekko drżącym głosem.

- Jeśli nawet uda się pani stąd wyjść, odnajdę panią - oświadczył major z nienawiścią.

- Wie pan, że to niemożliwe. Gdybym uważała to za możliwe, zabiłabym pana. A teraz proszę wydać rozkazy.

- Nie... nie mogę. Nie jestem tu komendantem.

- Wydaj rozkazy, już!

Major znów obejrzał się na nią przez ramię, po czym skinął głową i zawołał coś po rosyjsku. Żaden z żołnierzy nie drgnął. Wówczas, z czerwieniejącą twarzą, krzyknął powtórnie, tym razem głośniej.

Najpierw jeden żołnierz, a za nim następny, poruszyli się i niebawem szeregi Sowietów rozstały się, ukazując z tyłu piętnastu mężczyzn. Jeńcy mieli wychudłe twarze, ubrania podarte i niewyobrażalnie brudne. Sarah słyszała, jak major szczeknął kolejną komendę i pierwszy rosyjski żołnierz przekazał swą broń najbliższemu partyzantowi.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie zabijać nikogo bez konieczności! - krzyknęła.

Jeden z wynędzniałych bojowników ruchu oporu obrócił się, popatrzył na nią przez chwilę, po czym opuścił lufę karabinu i skinął głową. W chwilę później pozostałych czternastu mężczyzn również miało broń.

- Proszę wezwać ciężarówkę, majorze - rzekła do oficera, stojącego przed nią wciąż z podniesionymi rękoma.

- Nie!

- Majorze, proszę, bo będę musiała pana zabić - powiedziała cicho.

Obrócił się, by znów na nią spojrzeć, po czym skinął głową. Usłyszała, jak krzyczy po rosyjsku i za moment odezwał się hałas zapuszczanego silnika.

- Mary Beth, zabierz wszystkich do środka! - zawołała. - Niech trzymają pod bronią cały teren. I żadnego strzelania, chyba że Rosjanie zaczną!

Patrzyła ponad ramieniem majora, jak ciężarówka się wypełnia i Mary Beth siada za kierownicą. Sarah powiedziała miękko:

- W porządku, majorze, pan pójdzie z nami. Proszę się dobrze zachowywać, a wyjdzie pan z tego cały i zdrowy. Obiecuję.

- A co, jeśli nie pójdę?

- To - odparła, wskazując na broń, trzymaną w rękach.

- Zgoda - powiedział niemal szeptem, napiętym głosem.

- Dziękuję - Sarah Rourke uśmiechnęła się.

Po następnych dwóch minutach, jak oceniła, wsiadła wraz z majorem do samochodu. Oficer usiadł między nią a Mary Beth. Odezwała się do niego:

- Wiem, że będą nas śledzić, ale proszę im coś powiedzieć, żeby trzymali się w pewnej odległości. Niech pan powie, że pana zabiję, jeśli zobaczą kogoś za nami.

- Zrobiłaby to pani? - zapytał.

- Oczywiście - odparła z uśmiechem.

Major krzyknął coś i radzieccy żołnierze przy bramie cofnęli się. Ciężarówka ruszyła naprzód i wjechała w bramę. Zaczynało padać i Mary Beth włączyła wycieraczki, kiedy samochód wyjechał na ulicę. Następnie skręciła ostro w przecznicę.

- Gazu, Mary Beth! - krzyknęła Sarah.

- Nigdy się wam nie uda uciec - oświadczył major uśmiechając się.

- Lepiej by było dla pana, gdyby jednak się nam udało, majorze - odrzekła, wyglądając przez okno za siebie.

Cokolwiek major powiedział żołnierzom, zadziałało i w zasięgu wzroku nie było żadnych radzieckich pojazdów. Jednakże Sarah wiele się nauczyła od Nocy Wojny. Wiedziała, że Sowieci byli tam, na równoległych ulicach, czekając na swój ruch lub wzywając helikoptery, żeby prowadziły obserwację ciężarówki.

Teraz, po uwolnieniu z więzienia piętnastu partyzantów, poczuła, jak zbiera jej się na wymioty. Nie miała żadnego dalszego planu. Musiała liczyć na odwagę i szczęście.

ROZDZIAŁ XLV

Paul Rubenstein patrzył z nisko lecącego samolotu na ziemię pod sobą. Na jej powierzchni widoczne były pęknięcia, które zdawały się poszerzać z każdą chwilą. Deszcz lał strumieniami i Paul modlił się w duchu za pilota.

Na lotnisko dotarł z trudem razem z Tolliverem, Pedrem Garcia i resztą. Wszystkie obozy pozostawiono otworem, kiedy kubańscy strażnicy zbiegli, ratując własne życie. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci zostały oswobodzone.

Wielu kubańskich żołnierzy uciekło łodziami; Rubenstein widział je, kiedy posuwali się autostradą. Tam Paul wysiadł z samochodu i poszedł odnaleźć swego Harleya, by wrócić na drogę tuż przed czołem stosunkowo wolno posuwającego się konwoju, złożonego z wszelkich możliwych do wyobrażenia pojazdów. Ludzie wisieli przyklepieni do burt ciężarówek, jechali na maskach aut i dachach kabin. Dotarcie do lotniska zabrało dwie godziny, a samo lotnisko przedstawiało scenę największego masowego zamieszania, jakiego Rubenstein był kiedykolwiek świadkiem. Do kubańskich samolotów wsiadali Kubańczycy, maszyny radzieckie i amerykańskie zabierały amerykańskich uchodźców; niektórych byłych więźniów obozów trzeba było siłą wpychać na pokłady samolotów radzieckich. Drżenie ziemi trwało nieprzerwanie, pęknięcia pojawiały się wszędzie na powierzchni pasów startowych.

I wówczas Rubenstein dostrzegł kapitana Reeda, który był zajęty załadowywaniem jednego z amerykańskich samolotów, przeznaczonych do ewakuacji. Paul przedarł się przez pasy startowe i przydybał kapitana, żądając wiadomości o tym, co się dzieje.

Kiedy Reed mu odpowiedział, serce Rubensteina zamarło. Odczuwalne wstrząsy okazały się początkiem silnego trzęsienia ziemi, które miało spowodować oderwanie się półwyspu od reszty Stanów Zjednoczonych - a przynajmniej tego, co z nich zostało. Rubenstein zażądał kategorycznie jakiegoś samolotu, który by go zabrał do Miami, gdzie byli jego rodzice, lecz wtedy dowiedział się o Rourke'u. Rourke i kobieta sejsmolog, którzy pierwsi przynieśli wiadomość o grożącej katastrofie, udali się do Miami w celu przekonania dowódcy Kubańczyków o prawdziwości zbliżającego się kataklizmu. Chociaż Reed przypuszczał, że powiodło się im - sądząc po zarządzeniu ewakuacji - tu jednak od tamtego czasu nie było o nich żadnej wieści.

Paul ponownie zażądał transportu i Reed zgodził się. Na lotnisku był sześćosobowy samolot typu Beechcraft Baron, specjalnie zmodyfikowany, aby zwiększyć dodatkowo prędkość lotu o około pięćdziesiąt mil na godzinę. Właśnie nim Reed sam przyleciał.

A teraz Rubenstein obserwował pęknięcie gruntu na dole, śledził, jak pilot manipuluje sterami i gapił się na strugi deszczu. Zastanawiało go, czy zanim dotrze do Miami, w ogóle jeszcze będzie ono istnieć. Tam był Rourke, tam zostawił matkę i ojca. Nawet Natalia tam była, jak mu powiedział Reed.

Gdyby Rourke zginął, a on, Rubenstein, w jakiś sposób ocalał, wiedział, że miałby honorowy obowiązek kontynuowania poszukiwań żony Johna i dwójki jego dzieci.

Paul zastanawiał się, co zrobi, kiedy samolot wyląduje? Czy wyprowadzi Harleya Davidsona, którego Reed i pilot z niechęcią pomogli mu zabrać na pokład? Czy będzie w stanie znaleźć swych rodziców albo Rourke'a czy Natalie? A jeśli tak, to czy nie zginie wraz z nimi, kiedy trzęsienie ziemi doprowadzi do zapadnięcia się całego półwyspu pod wodę?

Po kręgosłupie Paula przebiegł zimny dreszcz. Lepiej byłoby umrzeć niż żyć, nie podjąwszy próby ratowania ludzi... Przerwał swe rozważania, poprawiając z uśmiechem okulary na nosie. "Ludzi, których kocham" - mruknął do siebie cicho.

ROZDZIAŁ XLVI

Główny pas startowy zaczynał pękać. Rourke wyrwał małe dziecko z rąk kobiety uwolnionej z obozu i podał dziewczynkę na pokład samolotu DC-9, po czym pomógł wejść kobiecie. "Nie powinienem był pozwolić odejść Natalii" - pomyślał. Na lotnisko dotarli, kiedy ewakuacja była już w toku, a większość kubańskiego personelu pomagała cywilom lub była zbyt zajęta ratowaniem własnego życia, by stawiać jakiś opór. Rourke i Natalia wsadzili Sissy Wiznewski do jednego z pierwszych samolotów, mających startować po ich przybyciu, po czym Rosjanka odeszła, aby pomóc grupie uchodźców, a Rourke, wraz z radzieckim kapitanem i amerykańskim majorem, zajął się przywracaniem jako takiego porządku i zwiększaniem częstotliwości startów. Wiele samolotów gotowych do lądowania krążyło w powietrzu. Graniczyło z cudem, że dotąd nie zdarzyła się żadna kolizja.

Posadził na pokład ostatnie dziecko, a za nim płaczącą matkę chłopczyka. Następnie klepnął dłonią w kadłub, gdy załoga zaczęła zamykać drzwi. Wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę.

- Rourke do wieży kontrolnej. DC-9 do startu!

- Tu wieża. Zezwalam na start.

John wepchnął krótkofalówkę do kieszeni, po czym odwrócił się, szukając wzrokiem Natalii. Deszcz zaczął ostro, a gdy śmigła mijającej go maszyny nabrały prędkości, woda lunęła mu w twarz. Odgarniając z czoła ociekające włosy, zaczął biec, prześlizgując się obok małego, dwusilnikowego samolotu, który lądował. Rozejrzał się w prawo i w lewo wzdłuż pasa. Na drugim krańcu lotniska było więcej maszyn, do których wsiadali uchodźcy, i Rourke ruszył w tamtym kierunku. Nie chodziło tu już o obietnicę daną Warakowowi, że przypilnuje wyjazdu Natalii, lecz o coś więcej. Jednak John odepchnął od siebie te myśli i biegł, rozpryskując kałuże, czując porywy silnego wiatru i podmuchy od mijanych samolotów.

Dotarł do swego celu, lecz Natalii nigdzie nie było widać. Chwycił za kołnierz przechodzącego lotnika i krzyknął po rosyjsku:

- Ta Rosjanka, gdzie ona jest?

Mężczyzna popatrzył przez chwilę tępym wzrokiem. Silny poryw wiatru szarpnął nimi i zerwał Sowietowi kapelusz z głowy, by ponieść go nad lotniskiem.

- Zaraz - zająknął się mężczyzna. - Taka piękna kobieta... ciemne włosy, niebieskie oczy?

- Tak. Gdzie? - Rourke przekrzykiwał wiatr.

- Chyba tam! - Lotnik wskazał centrum kontroli operacyjnej, kompleks niskich budynków o jakieś pięćset jardów dalej, bliższy wody poza lotniskiem niż pasów startowych.

Rourke ruszył biegiem, wołając przez ramię:

- Dziękuję!

Ale młody lotnik odwrócił się już i pomagał zabrać jakieś dziecko na pokład najbliższego samolotu.

ROZDZIAŁ XLVII

Znajdowali się poza miastem i nie spostrzegli żadnego sowieckiego pościgu. Sarah Rourke domyślała się przyczyn. Ziemia pod ciężarówką drżała, a deszcz padał tak gęsto, że nie sposób było cokolwiek przezeń zobaczyć.

- Mary Beth! Zatrzymaj ciężarówkę!

Kobieta za kierownicą spojrzała na nią i przycisnęła hamulce. Samochód posunął się trochę, by stanąć ze zgrzytem.

Sarah wyjrzała przez okno na deszcz, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Mary.

- Chcesz ich zawieść do kryjówki, gdzie ten rybak zabrał twoje dzieci. Ale moje dzieci miał przewieźć na wybrzeże, żebyśmy mogli stamtąd odpłynąć. Więc teraz was zostawiam.

- Jesteś szalona. Zabiją cię tu samą - Mary przekrzykiwała szum deszczu.

Sarah uśmiechnęła się.

- Nie dam się.

Wysiadła z kabiny pod strumienie deszczu czując, jak spódnica przylepia się do nóg.

- Wychodź! - zwołała do radzieckiego majora, machając lufą broni.

Mężczyzna popatrzył na nią przez chwilę, po czym wygramolił się na zewnątrz,

- Co robisz, Sarah? - wrzasnęła Mary Beth.

- Dałam temu człowiekowi obietnicę. Chcę przypilnować, żeby została dotrzymana i żeby nikt go nie zabił.

Autostradą jechał jakiś samochód, ślizgając się w deszczu z powodu zbyt dużej prędkości. "Rosjanie" - pomyślała Sarah i przycisnęła się do ciężarówki, kiedy wóz wypadł z przeciwnego pasma i mijając o włos przód ich pojazdu, trzasnął w przydrożny słup.

Sarah kiwnęła pistoletem MAC-10 i major pobiegł obok niej ku samochodowi.

Był to jeden z nowszych modeli forda. Dwaj sowieccy żołnierze w środku byli martwi. Odwróciła się od oficera.

- Wyciągnij ciała. Tylko żadnych sztuczek. Rosjanin spojrzał na nią.

- Dobrze.

Sarah sięgnęła pod swą przemoczoną spódnicę, by wyciągnąć przywiązaną do uda automatyczną "czterdziestkę piątkę", po czym odbezpieczyła ją.

Mierzyła pistoletem w Rosjanina, gdy ten wywlókł zwłoki z tylnego siedzenia i położył je obok drugiego nieboszczyka, leżącego już na ziemi.

- Mary Beth, broń! - Sarah wyciągnęła w lewej ręce MAC-10. Po chwili kobieta była przy niej.

- Czy ty wiesz, co robisz?

- Uhm - mruknęła potakująco. - Życzę szczęścia wam wszystkim. Zmykajcie stąd.

Kątem oka widziała, jak Mary Beth pobiegła z powrotem do ciężarówki i wsiadła do kabiny. Ciężarówka odjechała.

Sarah zwróciła się do majora:

- Przez cały czas nosił pan pistolet, prawda? - Zmierzyła wzrokiem futerał przy jego pasie.

- To nie było zbyt przebiegłe z pani strony.

Robiąc ku niemu krok, z wodą ściekającą z włosów i po twarzy, powiedziała:

- Niech go pan wyjmie i wyrzuci w te krzaki.

- Tak - odparł. Powoli wyciągnął broń z kabury, przyjrzał się jej przez moment, po czym cisnął w dal.

- A teraz proszę uruchomić jakoś ten samochód; może usiąść za kierownicą lub coś takiego. Chcę go odciągnąć od tego słupa.

- Chyba nie będę mógł go uruchomić. Zaczęła mówić, ale major przerwał jej:

- Wiem, lepiej dla mnie, żeby był na chodzie. Rosjanin usiadł wolno za kierownicą. Odezwał się warkotliwy hałas i po kilku nieudanych próbach rozrusznik zadziałał. Sarah pokazała gestem, żeby major wycofał się. Trzymała pistolet wycelowany w jego głowę.

Przez mgnienie oka wydawało się jej, że oficer próbuje uciec, ale samochód zatrzymał się. Gdy odsunęła się od drzwiczek, Rosjanin wyszedł.

- Nie do wiary - uśmiechnął się. - Dopisuje pani dziś szczęście. Ten samochód jeździ!

- Teraz proszę stanąć tam, obok słupa - rozkazała.

- Żeby mnie pani zastrzeliła?

- Lepiej dla pana... - Urwała, nie mogąc uwierzyć w dźwięk, który wydobywał się jej z gardła: śmiech. Major uśmiechał się półgębkiem, po czym też wybuchnął śmiechem. Powoli cofał się, nie spuszczając z niej oka, aż doszedł do przydrożnego słupa. Wówczas ruszyła do samochodu, by usiąść za kierownicą.

- Proszę pani!

Spojrzała mu w twarz. Uniósł prawą dłoń i zasalutował jej, kłaniając się lekko.

- Do kolejnej kampanii, proszę pani!

Sarah Rourke odłożyła pistolet na siedzenie, wrzuciła bieg i zjechała z pobocza drogi, ślizgając się kołami w błocie. W lusterku wstecznym wciąż widziała majora, kiedy wjechała na jezdnię. Nadal stał tam na deszczu, pod zgiętym, przydrożnym słupem. Silnik krztusił się, przednia szyba była pęknięta, a na desce rozdzielczej widniała krew, lecz samochód pracował dobrze.

Miała cichą nadzieję, że majorowi uda się przeżyć.

ROZDZIAŁ XLVIII

Rourke dopadł wyważonych drzwi frontowych terminalu. Odepchnął w bok potłuczone szkło, przebiegł przez kałuże w korytarzu prowadzącym do środka. Co Natalia mogła tu robić? - zadawał sobie pytanie. Lecz gdy skręciwszy za róg, wpadł do hallu głównego, nie było czasu na szukanie w myślach odpowiedzi.

Zatrzymał się jak wryty. W pomieszczeniu na końcu hallu znajdowało się około trzydziestu osób: mężczyźni i kobiety, jedni starzy, inni w wieku zbliżonym do jego.

Była tam też Natalia. W wyciągniętej prawej ręce trzymała swój maleńki pistolet. Przed nią stało pięciu kubańskich strażników i jeden oficer.

Rourke przycisnął się do ściany korytarza i cal po calu ruszył naprzód, próbując zrozumieć coś z prowadzonej po hiszpańsku rozmowy.

- ...To jest dla mnie nieistotne, seniorita. Dopóki nie wylądują bezpiecznie kubańskie samoloty, dopóty ci więźniowie pozostaną ze mną. Nie pragnę śmierci oficera KGB, nawet samozwańczego. Jednakże, powtarzam ostatni raz, jeśli natychmiast nie odsunie się pani i nie opuści tego pokoju, moi ludzie otworzą ogień. Jeżeli tak bardzo zależy pani na tym amerykańskim personelu wojskowym i ich żonach, to sądzę, że nie chciałyby pani narażać ich na śmierć, kiedy moi ludzie zaczną do pani strzelać.

Twarz Rourke'a zmarszczyła się w uśmiechu. Spokojny alt Natalii zaczął nienagannym hiszpańskim:

- Kapitanie, abstrahując od faktu, że jestem od pana wyższa stopniem, ja również strzelę panu w twarz, o ile nie wyda pan swoim strażnikom rozkazu złożenia broni. Wielu z tych ludzi, nawet jeśli kiedykolwiek byli amerykańskim personelem wojskowym, jest na emeryturze. Nie ma już żadnego prawdziwego wojska amerykańskiego. Cokolwiek pan zamierza, niech pan pamięta, że ciąży na panu obowiązek ewakuacji. A teraz - rzekła, gestykulując pistoletem - proszę zejść mi z drogi, bo zastrzelę.

Rourke pokręcił głową, po czym odszedł od ściany i wypalił z Detonics'a w krzesło stojące w pół drogi między miejscem, gdzie stał, a wejściem do pokoju w końcu korytarza.

- Nie ruszać się! - krzyknął po angielsku, po czym dodał: - Sus mannos arriba!

Oficer kubański zrobił dokładnie to, czego Rourke się spodziewał: odwrócił się ku nowemu wyzwaniu. W tym momencie Natalia poruszyła się błyskawicznie i po chwili trzymała już pistolet przy jego skroni.

- No, kapitanie - warknął Rourke po angielsku. - Ta młoda dama chyba poprosiła pana o zrobienie czegoś. Proszę rozkazać swoim ludziom, żeby rzucili broń. Już!

Natalia dodała cichym głosem, tym razem po angielsku:

- W przeciwnym wypadku zabiję pana, kapitanie.

Oficer nie ruszał się przez długą chwilę. Rourke trzymał oba Detonics'y skierowane w stronę pięciu strażników, którzy wciąż mieli go na linii strzału swoich AK-47.

- Zróbcie, jak mówią - zawołał wreszcie kapitan po hiszpańsku. Wówczas żołnierze jeden po drugim upuścili karabiny na podłogę.

- A teraz pasy z pistoletami - rozkazał John. Kubański oficer skinął głową i jego ludzie wykonali polecenie.

- Natalio, weź pistolet kapitana.

Rourke ruszył naprzód, czując znów pod stopami drżenie. Rzuciło go na ścianę korytarza, ale odepchnął się i po chwili był już w środku izby. Wstrząsy podłogi wzmagały się. Spojrzał na oficera i mruknął:

- Gdybym miał teraz czas, sprabym cię jak psa. Chcesz tu czekać na kubański samolot, żeby cię zabrał razem z twoimi więźniami. Myślisz może, że kogoś tam na Kubie to obchodzi, że cały półwysep zsunie się do morza? Potrafisz sobie wyobrazić, jakie fale uderzą o Hawanę? - Wcisnąwszy pistolet za pas, Rourke uderzył Kubańczyka na odlew lewą pięścią w twarz. - Idiota! - krzyknął. - Chodźcie - powiedział, popychając najbliższego z uchodźców ku drzwiom. Następnie odwrócił się do strażników, z których dwóch podtrzymywało krwawiącego z ust oficera. - Wy, chłopcy, też. Nie ma sensu umierać!

Obok niego stał siwowłosy, starszy mężczyzna i Rourke, chwyciwszy jeden z karabinów AK-47, zapytał go:

- Umie się pan tym posługiwać?

- No pewnie, synu - odrzekł człowiek, kierując lufę w najbliższego strażnika.

Ziemia pod nimi zatrzęsała się gwałtownie. Ściany i podłoga pod stopami zaczęły pękać.

- Zabierajmy się stąd! - wykrzyknął Rourke, łapiąc za rękę Natalię, i zaczął biec. To samo uczynili uchodźcy. Ściskając wciąż dłoń Rosjanki, skręcił w korytarz wyjściowy, gdy dach zaczął się załamywać. Pochylny, dopadł rozwalonych drzwi i wybiegł na płytę lotniska. Ponad ramieniem rzucił spojrzenie za siebie. Widział, jak siwowłosy mężczyzna z jakąś kobietą i resztą uchodźców, a nawet Kubańczycy, pędzą, by ratować swe życie.

Rourke rozejrzał się po pasach startowych. Podczas minut spędzonych wewnątrz budynku deszcz wzmógł się, pęknięcia powierzchni poszerzyły, a wszystkie, z wyjątkiem kilku, samoloty wystartowały. Nie widać było następnych, podchodzących do lądowania. Tylko jedna maszyna stała na pasie - DC-3, którym Rourke i Sissy Wiznewski przylecieli. John rozpoznał jego oznakowania.

- Tam! - zawołał, rzucając się w stronę samolotu, ciągle trzymając rękę Natalii, a w prawej dłoni Detonics'a. Przez gęstą zasłonę deszczu nie widział prawie nic. Usłyszał krzyk Natalii i odwrócił się, by zobaczyć, jak pada. Podnosząc ją, sam o mało nie stracił równowagi od coraz gwałtowniejszych wstrząsów. Puścił dłoń Rosjanki. We dwoje zaczęli pomagać starszym uchodźcom, to samo czynili niektórzy Kubańczycy. Do samolotu było jeszcze pięćdziesiąt jardów, jak ocenił Rourke. A przed nim widniała szczelina, niemal niedostrzegalnie rozszerzająca się. John zaczął znowu biec, pomagając jakiejś starszej kobiecie. Teraz na pasie lądował kolejny samolot. Był nim dwusilnikowy Beechcraft. Rourke zauważył to machinalnie kątem oka.

“Idiota” - pomyślał.

Staruszka, z którą biegł, potknęła się i o mało nie upadła. Policzki miała czerwone od wysiłku. Rourke wepchnął Detonics'a za pas, po czym porwał kobietę na ręce i pędził dalej ile sił w nogach, przeskakując po drodze pęknięcie.

Stopami rozpryskiwał głębokie kałuże, wiatr z deszczem chłostał go po twarzy. Widząc, że luk załadunkowy samolotu DC-3 zaczyna się zamykać, krzyknął:

- Czekaście! Czekaście! Nie odlatujcie!

Wtedy zobaczył tuż przed sobą Natalię. Z ciemnymi włosami zlepionymi na głowie biegła co tchu przez lotnisko, machając rękoma w stronę samolotu.

Maszyna zaczęła już kołować, lecz Natalia zabiegła drogę, uniemożliwiając start i samolot zatrzymał się.

Po chwili Rourke był przy kadłubie. Luk otworzył się i wychyliły się z niego ręce, przyjmując podniesioną przez niego kobietę. Wydało mu się, że słyszy jej szept: "Niech cię Bóg błogosławi, synu".

Rourke obrócił się, widząc siwowłosego mężczyznę z AK-47, a obok niego jednego z Kubańczyków. Obaj podsadzali na pokład jakąś staruszkę. Natalia pomagała wspinać się do środka innemu starszemu człowiekowi.

- Nie ma już miejsca! - krzyczał przez luk załadunkowy członek załogi. - Nie mogę was czworga zabrać! Za duży ciężar!

Rourke napotkał oczyma wzrok Natalii. Skinął głową. "Sarah, dzieci. Co się z nimi stanie, jeśli zginę?" - przemknęło mu przez głowę. Spojrzał poza Natalię.

- Ten cholerny samolot tam! Ten Beechcraft! Chodźmy!

Rourke oddalił się od kadłuba DC-3. Na pasie startowym pozostał tylko on, siwowłosa mężczyzna z AK-47 i jego żona oraz Natalia. John wolałby, żeby to byli Kubańczycy, na przykład ich oficer. Zaczął krzyczeć coś do staruszka.

- Wszystko w porządku - przerwał ten.

- Nie! - krzyknął Rourke. Stał przez chwilę, po czym dał sygnał człowiekowi w drzwiach DC-3. - Chodźcie! -zawołał do Natalii i starszego małżeństwa. - Pierwszy dopadnę samolotu... Zatrzymam go! Natalia, zostań tu z nimi! - I pochylony w strumieniach ulewy pędził co sił w stronę niewielkiego samolotu na drugim końcu płyty.

Beechcraft kołował, ale Rourke nie był pewien, czy wytraca on prędkość po lądowaniu, czy przygotowuje się do startu.

- Czekaście! - krzyknął. - Czekaście!

Nie przerywając biegu, wyrwał zza pasa oba Detonics'y.

Ziemia trzęsła się tak gwałtownie, że ledwie mógł utrzymać się na nogach, pęknięcia płyty rozszerzały się.

Samolot sunął po pasie startowym, oddalając się od Johna. Rourke podniósł pistolety i zaczął strzelać.

Jeden strzał, drugi, następny, potem jeszcze dwa. Samolot nie zwalniał. Rourke nie przerywał ognia. Kolejny wystrzał, potem dwa naraz i znowu dwa. Stracił rachubę, jeden pistolet opróżnił się, po nim drugi. Ale maszyna hamowała.

Rourke wcisnął nie zabezpieczoną broń na miejsce i spróbował przyspieszyć bieg. Pasażerskie drzwi nad prawym skrzydłem otworzyły się. John nieomal upadł z ulgi.

- Paul! Paul!

Zobaczył, jak Paul zsuwa się ze skrzydła i biegnie przez płytę ku niemu. Gdy się spotkali, splekli się w uścisku.

- John! Dzięki Bogu, że to ty!

- Paul... co ty tu, do cholery, robisz?

- Moi rodzice, John... Muszę ich znaleźć.

- Miałem zamiar zostać i szukać ciebie - powiedział Rourke. - Spróbować - zaczął, po czym przełknął ciężko, odzyskując oddech. - Chciałem spróbować wylądować gdzieś blisko St. Petersburga, o ile on jeszcze istnieje.

- Obawiam się, że nie. Ale moi rodzice... tam chyba są.

- Mogli już się wydostać - sapnął Rourke.

- Muszę to wiedzieć, John! Rourke skinął tylko głową.

- Trzeba zabrać stąd Natalię i parę staruszków. Twoim samolotem.

- Co?

- Tam! - Rourke wskazał za siebie.

Grunt zaczynał się teraz rozpadać, płyta dzieliła się na wielkie odłamy. Paul Rubenstein nic nie powiedział. Zaczął biec przez lotnisko, przeskakując szczeliny, ku Natalii i pozostałej dwójce. Rourke stał przez chwilę w ulevie, ledwie utrzymując równowagę we wzmagającym się wietrze.

I zaraz rzucił się do biegu. Dwadzieścia pięć jardów z przodu widział Paula, jak porwał w ramiona starszą kobietę i ucałował; widział, jak siwowłosa mężczyzna ściska Rubensteina. Natalia cofnęła się o krok, po czym na jej ustach pojawił się uśmiech.

Rourke przestał biec.

- Jezu - szepnął. Nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności starszy mężczyzna z gęstwiną srebrnych włosów i jego żona, którzy jako jedyni ze wszystkich uchodźców pozostali, okazali się być rodzicami Paula Rubensteina. Nagle obok Johna znalazła się Natalia i wspinając się na palce, szepnęła mu do ucha:

- John, teraz rozumiem motyw twego działania. - I pocałowała go w policzek.

Rourke spojrzął na nią, po czym zawołał:

- Paul, chodźcie!

Chwytał dłoń Natalii i ruszył w stronę Beechcrafta. Dopadł otwartych drzwi, wspiął się po skrzydle i minął pilota. Zauważywszy motocykl Rubensteina, wyciągnął nóż i odciął przytroczony doń ekwipunek. Poprowadził motocykl do drzwi.

- Sprawię ci nowy, chłopie - krzyknął do Paula. - Za dużo waży.

- Racja! - Rubenstein pomógł mu wylądować Harleya na zewnątrz.

Po kilku chwilach Natalia podsadziła matkę i ojca Paula do samolotu. Sam Rubenstein wszedł ostatni na pokład.

- Ruszaj to żelastwo! - zawołał Rourke do pilota.

- Nigdy się stąd nie wydostaniemy - padła odpowiedź. John przesunął się do przodu i spojrzął nad ramieniem mężczyzny. Pas startowy zaczynał pękać w pół, ulewa była jeszcze silniejsza, rękaw powietrzny na wieży kontrolnej kręcił się jak oszalały. Ziemia pod samolotem trzęsła się. Na przeciwnym skraju Rourke ujrzał ścianę podnoszącej się wody, kiedy wielka połać płyty lotniska osunęła się po plaży do oceanu.

- Bzdura! - Rourke odepchnął pilota z drogi i wśliznął się za stery. - Paul, siadaj tu jako drugi pilot!

- Nie umiem latać.

- Nauczę cię. Spodoba ci się to! - krzyknął Rourke, zapuszczając lewy silnik, następnie prawy. Poślinił palce i ujął koło sterowe.

- Trzymać się! Ruszamy!

Samolot ruszył w szalejącym wietrze, omijając zygzakami coraz szersze pęknięcia.

Przygotowywał się do startu.

- Dobra, teraz albo nigdy! - wykrzyknął. Tuż na prawo od końca prawego skrzydła podniosła się ściana wody, a cała płyta lotniska zaczynała oddzielać się i sunąć do morza.

Rourke zwiększył obroty i samolot pędził dalej, przeskakując nad szczeliną i osiadając po drugiej stronie. John spojrział na prawo. Pas startowy był na wpół zanurzony, z przodu samolotu zaczęły podchodzić fale.

- Już! - krzyknął, podrywając maszynę i zwiększając gaz. Samolot wzniósł się nierówno. Pod spodem ryczała woda, gdy pas startowy osunął się w dół.

Z przodu wyłoniła się wieża kontrolna i Rourke szarpnął sterem, starając się przechylić samolot na prawe skrzydło, żeby jej lewym nie zawadzić.

- Módl się! - zawołał do Natalii, czując jej rękę na udzie, kiedy zakręcił ostro. Wieża kontrolna runęła na lewo, gdy cały budynek zaczął się walić.

Wyrównawszy lot, Rourke popatrzył w dół. W miejscu, gdzie przed sekundami była płyta lotniska, teraz szumiał ocean. Jak okiem sięgnąć rozciągał się bezkres wody.

ROZDZIAŁ XLIX

Sarah Rourke z poślizgiem zatrzymała samochód. Hamulce miał kiepskie, ale przynajmniej dowiózł ją na wybrzeże. Wsiadając z auta, zobaczyła ruszającego ku niej spośród skał na plaży rybaka z dziećmi.

Przebiegła w poprzek zalanej deszczem szosy i opadła na kolana w błoto, by przytulić do siebie Michaela i Annie.

Podniosła oczy na rybaka.

- Dziękuję panu. Z nimi nie udałoby mi się wrócić.

- Wiem, proszę pani. A ten Kleinschmidt to porządny facet, ale chyba nie dla pani. Hej...

“O co tu chodzi?” - pomyślała.

- Nie rozumiem.

- Pani ma na imię Sarah?

- Tak, ale myślałam, że pan... - Przerwała. Przysłała dzieci do tego miejsca z Mary Beth i nie widziała rybaka z odległości mniejszej niż kilkaset stóp.

- Po prostu, skojarzyłem to razem... panią i te dzieciaki. Sarah, Michael i Annie, tak powiedział.

- Kto? - Sarah skoczyła na nogi, odgarniając z oczu mokre włosy.

- Już go nie ma. Pojechał przez granicę do Teksasu, do kwatery głównej U.S.II. Miał tam jakieś zadanie. Nazywa się John Rourke. Szukał pani.

Sarah opadła z powrotem na kolana, tuląc do siebie przemoczone dzieci.

- Tata żyje!

Teraz po jej policzkach spływał nie tylko deszcz, lecz i łzy. Sarah Rourke spojrzała na rybaka.

- Kiedy zdobędę konie, jak daleko to będzie?

- Nie wiem, o co pani chodzi.

- Jak daleko jest do Teksasu? - Objęła znowu Michaela i Annie, nie słuchając odpowiedzi.

ROZDZIAŁ I

John Rourke stał na deszczu. Sprowadza samolot na ziemię, ponieważ paliwo było na wyczerpaniu. Na ile tylko potrafił to ocenić na podstawie map, wylądował około dwudziestu pięciu mil od kwatery głównej Chambersa i U.S.II.

Paul siedział w środku maszyny, rozmawiając z rodzicami. Pilot odszedł w poszukiwaniu jakiegoś środka transportu. Radio nie funkcjonowało dobrze z powodu zbyt silnych zakłóceń atmosferycznych.

Obok Rourke'a stała major Natalia Tiemerowna.

- Rozejm niedługo się skończy, John. Może już się skończył.

- Przynajmniej pokazaliśmy wszyscy, że wciąż jesteśmy ludźmi, prawda? - powiedział John cicho. Lewą ręką osłaniał swoje cygaro, prawą obejmował Natalię.

- Nadal będziesz prowadził poszukiwanie? - zapytała. - Tak.

- Dokąd planujesz jechać?

- Do Karoliny, może do Georgii, gdzieś koło Savannah. Prawdopodobnie tam się kierowała.

- Mam nadzieję, że ją odnajdziesz... i dzieci. Rourke popatrzył na Rosjankę. Deszcz spływał strugami po jej twarzy - tak samo jak po jego.

- Dziękuję, Natalio.

Kobieta uśmiechnęła się, po czym spuściła oczy. Stała obok Rourke'a w lejących się z nieba strumieniach deszczu.